

*Miroslav
Žamboch*

*Mroczny
Zbawiciel*

tom pierwszy

2008

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Drsný spasitel

Data wydania:

2007

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Ilustracja na okładce:

Igor Kieryluk

Projekt okładki:

Paweł Zaręba

Przełożył:

Rafał Wojtczak

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-7574-092-9

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

DREWNIANA SZCZELINA – JEŹDZIEC NIE WIADOMO SKĄD

Nie wiem, kiedy ludzie całkiem wszystko spieprzyli, ale myślę, że miarka się przebrała, kiedy ukrzyżowali Chrystusa. Ten drugi raz.

Wioska wyglądała, jakby zatrzepotały nad nią straszne ogniste skrzydła. Sądząc po wypalonych dachówkach, musiały być gorsze niż ogień piekielny. Z niektórych ścian pozostały tylko nadtopione kikuty, inne w pewnym stopniu oparły się płomieniom i mogłyby wytrzymać jeszcze kilka lat. Lecz nienaturalnie zielona roślinność z przebarwionymi aż do niebieskości korzeniami przedzierała się każdą szczeliną, kruszyła zaprawę murarską i łodygami wypychała nawierzchnie ulic w górę.

W końcu do ludzi zaczęło docierać, że oprócz naszego świata istnieje drugi, ukryty pod spodem. Kiedy zwycięzcy zniszczyli już bożków i ołtarze zwyciężonych, nie zapomnieli o wzniesieniu własnych, żeby stale być pod czyjąś opieką.

Kazałem Micumie jechać w stronę szerokiego przejścia między dwoma największymi budynkami. Kościół i dom miejscowego bogacza? Czy raczej hotel i stacja benzynowa? Po ruinach nie dało się już tego poznać. Kobyła zrobiła kilka kroków i zaczęła węszyć. Nie poganiałem jej, sam też dokładnie rozglądałem się wokoło. Micuma była jednym z ostatnich biobotów wyprodukowanych przez Mitsubishi. Pod względem fizycznym przewyższała każdego żywego konia, a oprócz umiejętności regeneracji i odporności na uszkodzenia miała zamontowaną interaktywną bazę danych Chico. Czasem odnosiłem wrażenie, że to nie zwykły komputer, na którym pracuję, ale prawdziwa istota. Bzdura. Sztuczne inteligencje przestano produkować jeszcze przed Krachem, a te, które przetrwały do dziś, nie służyły ludziom, tylko pilnowały własnych interesów.

Nawet na drugi rzut oka w tym rumowisku nie było nic specjalnego. Kiedyś budowano solidnie, miałem ogromną ochotę przyjrzeć się sklepieniom domów. W środku mogło zostać coś użytecznego, coś, co dałoby się spieniężyć albo wymienić.

Micuma zarżała i spojrzała w lewo. Zerknąłem w tym samym kierunku i wtedy go zobaczyłem – kościotrupa opierającego się o zwęglony słup, który kiedyś był drzewem.

Widziałem masę kościotrupów i zazwyczaj nie robiły na mnie wielkiego wrażenia, ten jednak był szczególny. Nie został na nim nawet gram mięsa, a mimo to cała konstrukcja trzymała się solidnie, jak gdyby kości wciąż tkwiły w torebkach stawowych. Puste oczodoły gapiły się prosto na mnie.

Gdy ludzie zaczęli zabijać pogańskich bożków, a nawet wielkich bogów, których czcili pierwotne plemiona, wszystko było w porządku. Bóg z krzyża miał ich w swojej opiece i starał się, żeby to, co niewidzialne, niewidzialnym pozostało. Przez ponad dwa tysiące lat nic specjalnego się nie działo. Zapomniano o nocnych koszmarach, krwawych ofiarach i strachu przed nieznanym, a potem jeszcze większym – przed poznanym. Ta idylla jednak już dawno przeszła do historii.

Sięgnąłem do sakwy i wyciągnąłem małą lornetkę. Z boku miała wygrawerowane logo i nazwę producenta – Zeiss. Jeśli spoglądało się wprost na soczewki, na ich powierzchni widniała swastyka z wykrzywioną trupa czaszką na każdym ramieniu. Jeśli jednak przyłożyło się urządzenie do oczu, wówczas nie widziało się żadnych hakowatych krzyży, za to mnóstwo innych rzeczy.

Przez chwilę się wahałem. Korzystanie z tego diabelskiego ustrojstwa wciąż było lepsze niż rozbudzanie drugiej części mojego ja. Zsunąłem kaptur z czoła i popatrzyłem przez lornetkę. Wzdrygnąłem się, jak zawsze, gdy z niej korzystałem. Tym razem zadowolili się kawałkiem mięsa z mojego przedramienia – w końcu na ciele są jeszcze wrażliwsze miejsca. Podczas gdy z rany wyciekała gęsta, czarna krew, pole widzenia rozjaśniało się i wyostrzało.

Kościotrupa spowijał zwój niebieskoszarych włókien przypominających spleśniałą watę cukrową. Watę cukrową? Zaskoczyło mnie to porównanie. Nie wiedziałem, z której części mojej podświadomości się wydostało, ale zbytnio się nad tym nie zastanawiałem i skoncentrowałem się na obserwacji. Nie chciałem karmić urządzenia wyprodukowanego przez jakiegoś Zeissa kolejnymi kawałkami własnego ciała.

Od kościotrupa w stronę budynków, które wydawały się puste, ciągnęły się delikatne włókna. Lornetka zmieniła ostrość obrazu i rozbite okna wypełniły się płataniną pajęczych sieci, a za nimi, wewnątrz domu, zatliło się złowieszcze karminowe światło. Potem urządzenie, ponownie bez mojego udziału, przesunęło pole widzenia i ukazało mi muślinowy welon trzepocący na wietrze tuż przed Micumą.

Oderwałem lornetkę od oczu i niemal poczułem złość ukrytego w niej ducha, że pozbawiłem go dalszej wyzerki. Kimkolwiek był ów Zeiss, jego urządzenia działały precyzyjnie i nie domagały się niczego ponad to, co wymieniono w instrukcji obsługi.

Poluzowałem trochę siodło, pociągnąłem za uzdę, a Micuma posłusznie zawróciła w miejscu. Wydawało mi się, że wciąż widzę przed sobą zarys delikatnego welonu, ale innej drogi powrotnej nie było. Popędziłem konia, pochyliłem się i wystrzeliliśmy naprzód. To było jak smagnięcie rozżarzoną biczem z ołowiu, połowę twarzy miałem we krwi. Oczywiście tę bardziej wrażliwą, bardziej ludzką połowę.

Zatrzymałem się piętnaście kroków dalej i zerknąłem za siebie. Kościotrup w zadumie wpatrywał się we mnie pustymi oczodołami. Wyglądał złowieszczo, ale jednocześnie chyba chciał mnie ostrzec. Przypadek?

I wtedy kościotrup rozsypał się na kawałki, jakby jego zadanie właśnie dobiegło końca. Stworem sterował przebiegły telepata. Przez moment wahałem się, czy nie umieścić ostrzeżenia przed pierwszym budynkiem, ale ostatecznie dałem sobie spokój.

W tym świecie każdy jest zdany wyłącznie na siebie.

* * *

Na początku nie bardzo wiedziałem, czym żywi się urzędująca w wiosce bestia. Wreszcie dostrzegłem, że ścieżkę, wąską i czasami tak niebezpieczną, iż musiałem zeskakiwać z siodła, by posuwać się naprzód, regularnie wydeptywano. Regularnie, niezbyt często, ale też niezbyt rzadko. Odkryłem pozostałości odnawianych obozowisk, tu i tam jakieś ślady. Żadnych szczątków, resztek, odchodów, odpadów, nic takiego. A zatem ci, którzy chodzili tą ścieżką, byli doświadczeni. Wszelkie ślady ludzkiej obecności zwałyby Ich.

Zanim bestia dorośnie i zmądrzeje na tyle, aby dojść do ścieżki, ludzie przestaną nią chodzić i zaniknie zupełnie. Taki był los wszystkich ścieżek na peryferiach zamieszkanego świata. Powolny i nieodwracalny. W mieście wszystko działo się szybciej.

* * *

Do Drewnianej Szczeliny dotarłem po trzech dniach. To dosyć dziwna nazwa dla miasteczka, ale można spotkać jeszcze gorsze. Okoliczne pola były uprawiane, na miedzach stały ołtarzyki bogów, w których wierzyli właściciele. Na jednym z większych łąnów dostrzegłem elektryczny traktor z przyczepą, a na niej pojemnik z rozpryskiwaczem. Sądząc po narysowanej na nim pomarańczowej czaszce z głupkowatym uśmiechem, ciecz w środku nie była zbyt zdrowa. Tylko że kiedy człowiek chce ochronić zbiory przed zarazą totemicznego Boly, Pana Choroby, a nie ma wsparcia żadnego z bogów czy choćby demonów, nie może zaufać szafranowi albo lukrecji.

Ostrożnie jechałem dalej, omijając pułapki. Było ich zatrzęsienie. Niewybuchy, miny przeciwpiechotne, wykopane jamy z czyhającymi w środku zaostrozonymi palami. W miarę jak się zbliżałem, drewniana palisada wokół miasteczka rosła, aż w końcu stanąłem przed otwartą bramą, zrobioną z deski z jakiegoś sprężystego tworzywa sztucznego, poruszającą się po wąskiej szynie. Mechanizm działał dzięki dwóm wiecznym agregatom akumulatorowym. Kolektor jednego z nich był pęknięty i starannie posklejany wąską, przezroczystą taśmą.

Wejścia pilnowało dwóch uzbrojonych mężczyzn przy bramie i jeszcze dwóch na drewnianych wieżach stojących zaraz przy drodze.

Pilnowałem, by kaptur skrywał czoło i połowę mojej twarzy, a także by nie było widać lewego ramienia, tylko samą dłoń w rękawicy.

Strażnicy, obydwaj opasani na krzyż rzemieniami pełnymi naboju, nieufnie taksowali mnie wzrokiem. Dwóch z nich miało za pasem krótkie, nieco rozszerzone na końcu miecze.

Odetchnąłem. Z oddali Drewniana Szczelina sprawiała wrażenie całkiem uroczonego miasteczka, z bliska jednak cuchnęła jak tort, w którego wnętrzu aż roi się od karaluchów. Odetchnąłem jeszcze raz. A tych karaluchów jest coraz więcej i zaraz wyleżą na zewnątrz. Na szczęście nie należałem do delikatnisiów i nie bałem się żadnego robactwa. Ani skorpionów.

– Kim jesteś i czego tu szukasz? Nie znamy cię – odezwał się mężczyzna z krótką śrutówką. Kolbę opierał o biceps i celował we mnie z potrójnej lufy. To nie był seryjniak, konstrukcja wyglądała raczej na miejscową samoróbkę.

– Jestem kupcem – odparłem. – Kupuję i sprzedaję.

– Każdy może tak powiedzieć. Pokaż no jakiś towar! – Moja odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła.

Byli ostrożniejsi niż zwykle. Albo zachłanniej. Do strażnika ze śrutówką podszedł jego kompan i coś mu szeptem na ucho, zatrzymując wzrok na Micumie. Otóż to, ona sama była warta więcej niż cała ta biedna miejscina na peryferiach ludzkiego osadnictwa. Z wieży ciągle mierzyły we mnie beznamiętnie dwie lufy wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Oczy trzymających je strażników były skierowane w tę samą stronę.

– Zapraszamy do środka – zdecydował mężczyzna ze śrutówką.

Spuściłem głowę.

Mógł to odebrać jako gest wdzięczności i pokory. Nie chciałem, by zobaczył, co kryje się pod kapturem, zanim dostanę się do środka.

Jechałem powoli, Micuma ledwo powłóczyła nogami. Po plecach, w które były wycelowane karabiny, chodziły mi ciarki, póki nie wmieszałem się w tłum na ulicy.

Przeszedłem Drewnianą Szczelinę wzdłuż i wszerz. Niegdyś wioska, teraz miała ambicje stać się czymś więcej. Ale mięso zawsze przyciąga muchy, a więc gdzieś pod powierzchnią kryły się tłuste białe czerwie. Dałbym za to głowę, ale nie miałem pojęcia, skąd o tym wiem.

To chyba było dobre miejsce dla mnie – ludzie nie wyglądali na nędzarzy, coś z tego, co przywiozłem, mogłoby im się przydać.

Pojechałem na targowisko, które zdążyło się zapełnić, gdy wędrowałem ulicami, i znalazłem wolne miejsce. Sprzedawcy obok wyglądali na tyle nędznie i ubogo, że raczej nie protestowaliby przeciwko mojej obecności. Wypakowałem stojak, wbiliśmy kilka gwoździ w deskę, która leżała obok, i rozwiesiłem na niej towar. Umieściłem tę prowizoryczną witrynę na stojaku, a potem czekałem i obserwowałem.

Mężczyzna po lewej stronie sprzedawał melony. Wyglądały na zdrowe i soczyste; te, które rosły najbliżej granic jego chronionego pola, wypolerował, żeby wyglądały jak najlepiej. Czuję od nich smród małych mieszkańców zdziczałego świata. Nie kalali jednak

jego płodów zbyt często, dlatego sprzedawał całkiem niezłą, umiarkowanie trującą żywność. Babinka z prawej oferowała suszone zioła. Rozpoznałem kilka niebezpiecznych gatunków. Skąd mogła je wziąć? Jeśli będę miał dobry utarg, kupię u niej co nieco. Na przykład niebieską sasanę. Rosła na starych miejscach ofiarnych i pomagała...

Zauważyłem, że przygląda mi się chłopiec. Dziesięć, jedenaście lat, mały i chudy, ale nie wynędzniały. Obok przeszła para, mężczyzna z kobietą, on w starych spodniach ze starannie zaprasowanymi kantami, ona opatulona w jeszcze mało używany płaszcz. Ledwo rzucili na mnie okiem, szybko obejrzelni towar i poszli dalej. Czuję, że wrócą. W tym czasie chłopiec przeszedł do drugiego szeregu straganów i stał nieco na ukos za moimi plecami. Musiałbym się odwrócić, by go zobaczyć – gdyby moje pole widzenia było takie jak u zwykłego człowieka.

Para wróciła. Udawali, że interesuje ich niezniszczalny wieczny zegarek, który wyciągnąłem z pewnej miejskiej krypty, nie był tego wart. Tak naprawdę oglądali plastikowe pudełko z napisem „Kapsułki antykoncepcyjne” – łatwe w użyciu, długotrwałe działanie. Coś tam szeptali i zerkali ukradkiem, czy nikt na nich nie patrzy.

Zdobyłem ten towar i jeszcze kilka innych rzeczy w zapomnianym szpitalu w dżungli. Nie było to takie proste, ale koniec końców wizyta w krainie władanej przez przebiegłe pajęczaki opłaciła się.

– Czy to jeszcze działa? – zapytał nerwowo mężczyzna.

– Z tyłu jest rok produkcji, data przydatności i tego typu dane. A sposób użycia będzie widoczny w polaryzowanym świetle.

Popatrzyli zdziwieni.

– W świetle księżyca – wyjaśniłem.

Przytaknął, choć nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ile to kosztuje? – szepnęła kobieta.

Bez przerwy rozglądali się nerwowo dookoła. Nigdzie nie widziałem chłopaka, musiał być gdzieś z tyłu, w martwym polu mojego wzroku.

– Sześćset – odpowiedziałem.

Zbladła, obróciła kasetkę w dłoni i chciała odłożyć z powrotem, mężczyzna chwycił ją jednak za łokieć.

– Opakowanie jest nienaruszone. Pochodzi z czasów przed Krachem – zwróciłem uwagę.

I to był punkt zwrotny w naszych pertraktacjach.

– Znajdę pana, jak będę miał pieniądze – zdecydował mężczyzna.

Przytaknąłem, trochę blada kobieta podała mi kasetkę do rąk, oparła się o partnera i odeszli nerwowym krokiem.

Rozległo się głuche kliknięcie. W ostatniej chwili poluzowałem uścisk, inaczej urznąłbym chłopakowi rękę w przedramieniu.

Zastygł przerażony. Choć miałem na dłoni rękawicę, musiał w uścisku wyczuć coś

nienaturalnego.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Wiesz, co robi się złodziejom? – zapytałem.

– Obcina ręce – odpowiedział, starając się przy tym nie zająknąć.

Nie wszędzie panowały takie zwyczaje. Miejscowe prawo musiało być strasznie surowe.

– Przeszkadza panu ten chłopiec... A może chciał pana okraść?

Odwrociłem się pomału i stanąłem twarzą w twarz z potężnym mężczyzną w koszuli w kratkę, przepasanym dwoma pasami z amunicją i bronią na rzemiennym pasie – pistoletem automatycznym i rewolwerem. Ich wspaniale zadbane powierzchnie lśniły nawet w świetle pochmurnego dnia. Na pewno taki miejscowy Pan Prawo i Porządek.

– Nie – odpowiedziałem. Bardzo uważałem, by nadal się garbić i by kaptur zasłaniał mi twarz. – Jestem tu nowy i nie znam cen. Umówiłem się, że ten tutaj... – Posłałem chłopakowi pytające spojrzenie.

– Timothy – zareagował bezbłędnie.

– ...ten tutaj Timothy załatwi mi za prowizję porządne zakwaterowanie. I oczywiście wskaże miejsce, gdzie dobrze gotują.

Wcisnąłem chłopakowi do ręki ćwiartaka i ruchem głowy pokazałem, żeby zjeżdżał. Pan Prawo i Porządek popatrzył z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział. Może nie wyglądałem jak spod igły, ale gości, którzy płacą twardą walutą, nigdy zbyt wielu.

– Po co pan tu przyjechał?

Wzruszyłem ramionami, starając się z całych sił, żeby gest wyglądał naturalnie – żeby obydwie ramiona uniosły się i opadły jednocześnie.

– Kupuję i sprzedaję. – Skinąłem głową w kierunku witryny i lady zarazem.

Pan Prawo i Porządek zaczął przeglądać moje towary i nagle w prawym oku zabłysnęła mu gwiazda – albo celownik. Zauważył dwa półtuzinowe opakowania naboju w ładownikach, które pozwalały załadować bębenek jednym ruchem. Na świecie są miliony ton amunicji kalibru trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć milimetrów czy najbardziej popularnych czterdziestekpiątek, a te specjalne zabawki miały kaliber pół palca. Tylko idiota używałby broni, do której amunicję równie łatwo zdobyć jak wodę na pustyni. Pan Prawo i Porządek z pewnością był idiotą. Sięgnął po ładownik, obejrzał nabój po naboju i wyciągnął z lewej kabury rewolwer. Spodziewałem się Smith and Wessona, jedyne gnaty w tym kalibrze, który znałem z czasów przed Krachem.

Pan Prawo i Porządek wydłubał własną amunicję i wprawnym ruchem włożył moją. Naboje weszły do komór jak naoliwione. Na lufie nie wygrawerowano logo producenta ani kalibru, tylko prostym, trochę niezdarnym pismem wyryto imię: Jezus Chrystus.

W pierwszym wieku po tym, jak świat zaczął schodzić na psy, niektórzy wierzyli, że jeśli będą się modlić do starych bogów, ci znowu zaczną ich chronić. Mylili się. Inni wierzyli, że jeśli poświęcą broń, polepszy się jej wydajność. To już dawało trochę lepszy efekt. Producent

broni fanatycznie wierzący w swego boga potrafił czasami tchnąć w nią nieco nadprzyrodzonej siły.

– Ile pan za to chce? – wyrwał mnie z rozmyślań Pan Prawo i Porządek.

Oderwałem wzrok od imienia na lufie rewolweru.

– Siedemdziesiąt za komplet. Jeśli chce pan pojedynczy nabój, to za szesnaście.

O dziwo, nie targował się.

– Timothy na pewno zamówi panu pokój u Bzeckiej, ma dobrą opinię i ceny. Ale nie sprzedaje żadnego alkoholu, więc zobaczymy się później w barze – rzucił na pożegnanie.

Odkłoniłem się. Nie przestawałem myśleć o tej broni. Po tym jak drugi raz przybito go do krzyża, J. Ch. stał się nieobliczalny. Nie miał ulubieńców, nie można było na nim polegać. Tylko najwięksi straceńcy i hazardziści używali broni sygnowanej jego imieniem. A kto ją produkował? To już przekraczało granice mojej wyobraźni.

Zacząłem pakować towar. Nawet gdybym nie sprzedał preparatu antykoncepcyjnego, mój zarobek i tak okazał się większy, niż oczekiwałem. Miejscowy szeryf był maniakałnym wielbicielem niebezpiecznych zabawek, co dzięki korzystnemu zbiegowi okoliczności bardzo mi się opłaciło.

* * *

Nie spodziewałem się tak dobrej knajpy w Drewnianej Szczelinie, dziurze na samym krańcu peryferii. Wnętrze oświetlały dwie lampy gazowe, kontuar lśnił blaskiem starannie wypucowanego metalu, a szczytem techniki była opancerzona szafa grająca. Wprawdzie nie działała, ale w rogu siedział chudy facecik i z niemal artystycznym uniesieniem przebierał palcami po klawiszach pianina.

Bez pytania usiadłem przy kontuarze i zamówiłem piwo. Nic trudnego, wystarczyło przestać się kurczyć i wyprostować. Piwo dobre, kufle czyste. Może naprawdę znalazłem ostatnią oazę cywilizacji, miejsce, gdzie porządnym ludziom dobrze się żyje? Nie pasował mi tylko ten karaluszy smród, który wydobywał się spod apetycznie wyglądającej polewy nadmuchanego tortu. No ale cóż – to przecież nie mój tort.

Przy drugim piwie zacząłem cieszyć się smakiem, upajać pikantną goryczką na języku. Mógłbym się założyć, że lubiłem je również Przedtem. Wzbudzałem zainteresowanie jak każdy obcy, ale nikt nie był aż tak ciekawy nowinek ze świata, by zedrzyć kaptur opadający mi na twarz. Pewnie ze względu na mój wzrost... oraz mit, który otacza każdego uzbrojonego cudzoziemca i rozprzestrzenia się w miasteczkach takich jak to niczym epidemia.

Na końcu kontuaru w towarzystwie mężczyzn pijących alkohole z górnej półki chichotały dwie profesjonalistki. Stosunkowo subtelne, ale nie na tyle, by ktoś je pomylił ze zwykłymi kobietami. Doprawdy oaza cywilizacji na samym środku pustyni.

Facet trochę bardziej podпиты niż reszta ze złością walnął pięścią w stół.

– Nie podoba mi się to i przysięgam, że tak tego nie zostawię – oświadczył głośno.

Gdyby jego trzech wspólnicy nie zamilkli, uznałbym, że to pospolity pijaczyna.

– Szeryf i ten przybłęda Smarfi nie będą nam rozkazywać, co mamy robić, a czego nie!

Tym razem jego słowa wywołały ogólny szum i kilka przytakujących pomruków z różnych stron sali. Współbiesiadnicy starali się uspokoić zacierzewanego kompana.

Był nienagannie ubrany. Miał jedną z tych koszul, których nie trzeba prasować, a mimo to zawsze wyglądają jak prosto z gazet ciągle zalegających w starych magazynach. Buty również nosił dobre, bardzo dobre. Od razu było widać, że nie jest nędzarzem, wręcz przeciwnie.

– Piwo! – krzyknął i wstał od stołu. – Ostatnie, jutro będzie ważny dzień.

Barman błyskawicznie spełnił jego żądanie. Mężczyzna zaczął pić potężnymi łykami. Kiedy dotarł do połowy kufła, poczułem pieczenie gdzieś w okolicy czoła – indukcja nerwowa. Czegoś takiego się nie spodziewałem, nie tutaj. Wolną ręką odrzuciłem połę płaszcz, chwyciłem za broń i nagle zorientowałem się, że to nie ja stanowiłem cel ataku. Niektórzy uważają indukcję nerwową za bujdzę na resorach, ale ja nie. Prawdziwą magię odbieram inaczej.

Odwrociłem się do porządnie ubranego faceta. Zesztywniał, odstawił kufel, lewą ręką chwycił się za pierś. Dokładnie tam, gdzie jest serce, nie gdzie ludzie myślą, że ono jest. Jeszcze tylko dał radę wycharzczeć „nie mogę”, kolana się pod nim ugięły i runął na podłogę. Martwy. Ja to od razu poznam.

Ludzie zrywali się z miejsc i tłoczyli przy nim.

– Otruli go, otruli! – wrzasnął jeden z kompanów.

– Kto? – doleciało od strony drzwi. Stał w nich Pan Prawo i Porządek z kciukami włożonymi w kieszenie spodni.

– Nie-nie wiem!

– Był tutaj całe popołudnie i z tego, co wiem, tylko pił – wtrącił ktoś.

Pan Prawo i Porządek podszedł do stołu i wziął do ręki kufel.

– To jego? – zapytał.

Kilka osób przytaknęło jednocześnie w odpowiedzi.

Wydawało mi się, że słyszę brzęknięcie. Ostrzeżenie wydawane przez stary system militarny, który wykrył nieprzyjacielski promień laserowy, albo amulet, kiedy z oddali spojrzy na nas bóg śmierci. Niby wciąż patrzyłem w tę samą stronę, a tak naprawdę starałem się zerknąć w okno z pofałdowanego szkła. Na zewnątrz stał ktoś mojego wzrostu i chyba jeszcze bardziej wychudzony. Obserwował mnie, co oznaczało, że widział lepiej niż ja. Impuls indukcji nerwowej znowu zapalił mi się za czołem.

Ponownie skupiłem uwagę na szeryfie.

Obejrzał kufel, ostrożnie go obwąchał, potem trochę skosztował, roztarł językiem w ustach odrobinę pozostałej cieczy, po czym połknął.

– To piwo jest dobre – orzekł w końcu i wypił resztę.

Kilka osób zaczęło nerwowo wzdychać, między innymi barman. Zaskrzypiały drzwi. Jak to możliwe, że przed chwilą nic nie słyszałem? Nie odwracałem się, czekałem.

Wszedł chudy mężczyzna w kożuchu z watowanymi ramionami, dzięki czemu nie wyglądał tak nędznie jak w rzeczywistości. Białe włosy zdobiła czerwona niczym krew smuga spływająca z ciemienia. Emanowało z niego coś, od czego zrobiło mi się niedobrze. Ludzie pospiesznie rozstępowali się na boki i nagle wokół niego zrobiło się pusto. Budził większy lęk niż Pan Prawo i Porządek.

Mężczyzna przyklęknął przy martwym i wtedy zobaczyłem jego twarz. Była dokładnie tak wychudła, jak to sobie wyobrażałem, jedno oko ludzkie, drugie – implant z pracowni Ericha Lense. Wiedziałem to doskonale. Kiedyś mi się wydawało, że z tej samej pracowni pochodzi moje oko. Niestety, myliłem się.

– Jest martwy – skonstatował chudzielec. – Okrwawione wargi, zsiniałe palce. Zawał. Ostrzegalem go, że nie ma się co unosić. Powiadomcie rodzinę. Pogrzeb odbędzie się jutro, nie potrzebujemy tu żadnej zarazy.

Potem wstał i wbił przeszywające spojrzenie we mnie i moją zakrytą rękawicą dłoń.

– Ani żadnych pozszywanych potworów bóg wie skąd.

Nie miałem pojęcia, kim jest. Bił od niego taki sam chłód, jak od upiorów i wampirów. Możliwe, że to tylko człowiek, który z nimi walczył, wchodząc w zbyt bliski kontakt. To zmieni każdego. Ale na jego miejscu z pewnością bym się do bogów nie zwracał.

Wyprostowałem się i ruchem głowy odrzuciłem kaptur do tyłu.

Jeśli jeszcze przed chwilą ludzie podświadomie cofali się w stronę stołów, teraz przywarli do ścian i sala opustoszała. Głowę mam jak kolano, na ciemieniu trochę kanciastą, tak jakby ktoś ją nieumiejętnie zespawał, do tego krzywe usta, wyprodukowane z dwóch różnych połówek, i brodę skradzioną byczemu mutantowi. Ale najgorsze jest oko w teleskopowym tubusie z ośliwego tworzywa. Tkanka przypomina biologiczną, ale nie można jej przeciąć, a przy uszkodzeniach roni silnie żrące łzy, które zniszczą każdy materiał, nawet moją skórę. Wiele razy próbowałem się go pozbyć, bezskutecznie. Oddałbym za to wszystko, nawet przynależną do oka część mózgu, mimo że dzięki niemu widzę rzeczy, bez których dostrzeżenia zginąłbym już kilka razy.

Chudzielca zatkalo. W pewien sposób byliśmy do siebie podobni – drapieżniki obleczone w ludzkie powłoki. Jego zaskoczenie trwało jednak tylko chwilę. Emblemata żelaznej bogini miłosierdzia, który nosiłem na piersi, zaczął mnie palić, jakby stawiał opór czarom tak wyrafinowanym, że nie dałem rady ich rozpoznać.

– Przestań. – Wyciągnąłem spod płaszcza Margaret.

Margaret była kiedyś wielkokalibrową półautomatyczną śrutówką z lufą zrobioną z działka przeciwlotniczego, magazynkiem na siedem nabojev i kolimatorowym celownikiem. Klasyczną kolbę z kompensatorem ręciovym wymieniłem na zwykłą rękojeść pistoletową,

usunąłem zbędne mierniki, lufę spiłowałem, powiększyłem komorę i cały mechanizm dałem do przeróbki. Do magazynku wchodziły teraz cztery naboje. Sam je robiłem – od prochowego ładunku wybuchowego aż po siekane żelazo, którym w większości były wypełnione.

Pan Prawo i Porządek od razu pojął, co wycelowałem w jego partnera. Ostrzegawczo pokręcił głową.

– To nieporozumienie – powiedział.

Położyłem palec na spuście. Amulet bogini natychmiast przestał mnie palić.

– Możliwe – zgodziłem się i napiłem. Margaret dalej mierzyła w Czarodzieja. Moje złe Oko dokładnie pokazywało punkt – palec na lewo od mostka, tam, gdzie mierzyłem. Nie poruszył się więcej niż jedna tysięczna milimetra.

– Przepraszam – odezwał się Czarodziej i wyczarował na twarzy uśmiech kościotrupa. – W ostatnim czasie mieliśmy problem z cudzoziemcami. Panowie przy bramie nie zwracali specjalnej uwagi, kogo wpuszczają do środka.

– To handlarz ze wspaniałym towarem, uczciwy chłop, choć ma protezę zamiast oka – zaczął przedstawiać mnie Pan Prawo i Porządek, pojednawczo poklepując po ramieniu.

– Tak właśnie jest. Robię interesy – potwierdziłem i schowałem Margaret.

Zastanawiałem się jeszcze przez chwilę, czy aby nie powinienem zostawić Ręki pod płaszczem, ale w końcu ją wyciągnąłem. Nagle wszyscy staliśmy się kolegami. Czy świat nie jest bajeczne piękny?

– Proszę pana! Proszę pana! – Do sali wpadł Timothy. – Mam dla pana pokój i kolację! Stół już nakryto, a stara Bzecka mówi, że kimkolwiek by pan był, jej pieczeń je się ciepłą, bo inaczej pan zobaczy.

Stara Bzecka miała prawidłowe podejście do życia.

– Wybaczenie, panowie – wyszedłem za Timothyem.

Nie odpuściłem sobie, zerknąłem na dwie profesjonalistki za kontuarem. Z instynktem właściwym osobom parającym się tym fachem wyczuły, co skrywam pod swoim obliczem, na które wciąż dawało się patrzeć. Moje pożądlive spojrzenie odbijało się w ich twarzach obrzydzeniem. Nie zostało we mnie zbyt wiele człowieka, ale niektóre potrzeby mam takie same. I może przez to silniejsze.

* * *

Kolacja była znakomita, najlepsza od... odkąd sięgałem pamięcią, a pokój wygodny i przytulny. Już miałem się położyć, kiedy odezwała się Micuma. Tylko krótkie telepatyczne połączenie: przyjdź. Do bardziej skomplikowanego komunikowania się nie była, niestety, zdolna.

Nie chciało mi się, ale posłusznie poszedłem do stajni. Nie wziąłem żadnej broni. Gdybym musiał, komunikat byłby ostrzejszy.

W stajni przy świetle złodziejskiej lampy stało dwóch mężczyzn. Jeden starszy i barczysty, drugi drobniejszy – waga maksymalnie piórkowa – zdołałby udźwignąć co najwyżej portfel swojego towarzysza. W ogóle się mną nie przejęli.

– My tylko oglądamy tę ślicznotkę, proszę pana – powiedział starszy, zamiast się przywitać.

Nie pytałem, dlaczego ją oglądają w ciemnościach. Zamiast tego sprawdziłem, czy Micuma ma wystarczająco dużo paszy, a do wody dodałem kilka kropel roztworu z chemikaliami niezbędnymi do kalibracji jej metabolizmu. Zawsze mnie wzywała, kiedy ktoś chciał ją ukraść. Właściciela, któremu ją ukradłem – nie.

– To Mitsubishi, prawda? Ostatni nieśmiertelny model? – dopytywał starszy mężczyzna.

Prawdopodobnie planował ją ukraść, ale jego zachwyty były szczere.

– Owszem. Niestety, jest już bezpłodna – dodałem, by nieco ostudzić ich zapał. – Już trzy razy próbowali mi ją ukraść.

Chcieli wiedzieć, co się stało ze złodziejami, ale nie mieli odwagi zapytać.

– Nie narzekałbym, gdyby znowu ktoś spróbował. Kurtka mi się w paru miejscach przetała – rzuciłem przez ramię i ruszyłem ku wyjściu.

– Co chciał przez to powiedzieć? – usłyszałem, zanim zamknąłem za sobą drzwi.

– Jego kurtka jest ze skóry.

Właśnie tak. Istniał prosty, mający swoje podstawy w magii sposób, jak doskonale zaimpregnować ludzką skórę. Niestety, ze świńską nie było to już takie łatwe.

* * *

Wczesnie rano poszedłem na zakupy. Potrzebowałem kilku drobiazgów, wysokiej jakości niedymiącego prochu strzelniczego, musiałem też zamówić u miejscowego mechanika łuski. Zostały mi już tylko cztery, a lubiłem mieć przy sobie chociaż jeden pełny magazynek. Kiedy wędrowałem po mieście, złapał mnie młody mężczyzna, którego poznałem na targu, i kupił preparat antykoncepcyjny. O ile było mi wiadomo, jego część stanowiły medykamenty dostarczające ciału minerały i najważniejsze witaminy. Jeśli mój klient chciał jeszcze długo być z tą kobietą, nie mógł lepiej zainwestować pieniędzy.

* * *

Po południu dołączyłem do tłumu, który towarzyszył konduktowi wychodzącemu z miasteczka. Dobrze oceniłem tego nerwusa. Należał do miejscowego establishmentu, a jego pogrzeb zmienił się w manifestację, kto stoi po czyjej stronie. Pana Prawo i Porządek i Czarodzieja nie było.

– Nie jedzie pan na pogrzeb? Pochowają go w grobowcu Valinskich! Podobno jest cały

zdobiony złotem – rzekł z zachwytem Timothy, kiedy mnie zobaczył.

– Grobowiec Valinskich – powtarzałem pomału. Zgodnie ze zwyczajem do grobowców wkładano nie tylko złoto, ale i różne zapasy, wyposażenie, które wytrzymało całe dziesięciolecia, czasami nawet stulecia. Później przyjęło się dodawać również książki z zaklęciami i czarami, pisane przez ludzi i maszyny, w gorszych przypadkach przez ludzi albo maszyny, które oszalały.

Spojrzałem na słońce. Patrzyłem na nie tak długo, aż zabolęło mnie ludzkie oko, i znowu odwróciłem się w stronę konduktu. Każdy z mężczyzn w siodłach i na kozłach miał za pasem cały arsenał, z obładowanych wozów wystawały lufy karabinów i pistoletów, a nad tym wszystkim unosiła się jakaś niewyraźna plama. Gdy ją dostrzegłem, przybrała kształt ludzkiej czaszki i zniknęła, rzuciwszy mi przedtem spojrzenie pełne pogardy, choć to mogło być tylko złudzenie. Nie miałem pojęcia, który z pomniejszych bogów śmierci ma pieczę nad tym konduktem. Możliwe zresztą, że to było tylko pożegnanie nieboszczyka. Ale możliwe też, że nie.

– Nie, nie jadę – odpowiedziałem. – I ty też nie pojedziesz, jeśli chcesz zarobić następnego ćwiartaka.

Ubrana na szaro kobieta z pledem na ramionach odwróciła się w moją stronę, a po chwili znów skupiła uwagę na pogrzebowym spektaklu.

– Za co? – chciał wiedzieć Timothy.

Wysłałem go w kilka miejsc, w które i tak musiałem później pójść i osobiście pozalać różne sprawy. Wróciłem do swojego pokoju. Zaczynał się upał, a ja za upałem nie przepadam.

* * *

Byłem w warsztacie ni to mechanika, ni to złotej rączki i sprawdzałem, czy dobrze wykonał moje zamówienie, gdy od strony kopców dobiegł odgłos serii wystrzałów. Po chwili przeszły w intensywną, lecz krótką kakofonię wojny, a potem na powrót zapadła cisza.

Na moje pytające spojrzenie mechanik nic nie odpowiedział, tylko podał ostatnią łuskę z wprasowanym zapalnikiem. Największy problem przy używaniu wysoce wydajnego prochu strzelniczego stanowiły właśnie zapalniki. Po prostu go nie odpalały.

– To z kopców. Tam, gdzie leży cmentarz.

Przytaknąłem ze zrozumieniem.

– Gdyby szeryf i jego kompania nie zostali w mieście, powiedziałbym, że zdecydowali się pogadać z Nabudowcem twarzą w twarz, ale w tej sytuacji... – Wzruszył ramionami. – Zobaczmy, jak wróci.

Mechanik miał już sześćdziesiątkę na karku. Rozgrywki dwóch zbrojnych grup o władzę w mieście niezbyt go interesowały.

Rozejrzałem się po warsztacie i beczkach z opiłkami w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym kupić za jakieś drobne zamiast śrutu.

– Tam z tyłu znajdzie pan kilka starych granatów. Są pańskie, jeśli uda się panu je rozbić na kowadle na zewnątrz – powiedział bez większego zaangażowania.

Kiwnąłem głową i poszedłem we wskazane miejsce. Domyśliłem się, co miał na myśli, mówiąc „starych”. Pochodziły z czasów, kiedy do amunicji używano zubożonego uranu. Był cięższy od stali i twardszy od ołowiu.

Waliłem wielkim młotem do późnego popołudnia, kiedy ze skupienia wyrwały mnie jakieś krzyki na ulicy. Otarłem pot z czoła i poszedłem popatrzeć, co się dzieje.

Kondukt wracał. Już nie na wozach najeżonych błyszczącymi lufami, już bez zaciętego wyrazu na twarzach ludzi – raptem kilku nieboraków, którzy zdołali ocalić jedynie życie. Mieli puste twarze, jakby przeżyta rozpacz pozbawiła ich rozumu.

– Skorpiony, skorpiony zamieszkały na cmentarzu! – usłyszałem głos jednego z nich. – Czekają w grobowcu!

– Prawie wszystkich zabiły!

Z jedyne go wozu, który wrócił, wypadł korpus trupa. Zaciekawiony podszedłem parę kroków, żeby się przyjrzeć. Tego mężczyznę rozpołowiono jednym cięciem ostrza lepszego od diamentowej piły. Tkanka miała charakterystyczną barwę, którą przybiera żywe mięso po zetknięciu z chityną. Przed Krachem chityna modyfikowana była jednym z najczęściej stosowanych materiałów, teraz stanowiła część ciał wielu bestii czyhających w każdym zakątku ludzkiego świata.

Jeszcze jeden spóźnialski dokuśtykał do miasteczka. Na twarzy miał krwawą szramę, wyglądał, jakby biegł całą drogę.

– Idą za nami! Idą za nami! – wrzasnął i rozpadł się w proch.

Słyszając to ostrzeżenie, na ulicy zjawił się Pan Prawo i Porządek i bez żadnych pytań ruszył w stronę bramy. Na szczęście już ją zamykano, strażnicy zajmowali pozycje przy wielkokalibrowych karabinach maszynowych.

Poszedłem ulicą aż do palisady i wdrapałem się na podest. Nikt mnie nie zatrzymywał, ludzie albo chowali się w domach, albo biegli po broń, każdy zgodnie ze swoim usposobieniem.

Monstrum przypominające przerośniętego skorpiona skrzyżowanego z bezskrzydłą osą zatrzymało się jakieś sto metrów przed palisadą. Reszta przystanęła kawałek za nim. Wódz i jego świta. Skorpion podniósł przednią parę kleszczy, a potem kolejną. Musiał przy tym zaprzeć się o ziemię ostatnią parą kończyn i zakończonym żądłem ogonem, żeby się nie przewrócić. Niechętnie i bez wiary w powodzenie nakazałem Oku maksymalnie mi go przybliżyć. Chciałem dokładnie zobaczyć jego pysk. O potworach najczęściej mówią ich oczy – o ludziach zresztą też. Nie myliłem się. Oczy skorpiona były segmentowane, podobne do mojego implantu. Za owadzim spojrzeniem nic się nie kryło, chyba tylko niepewność, bo

zdobycz schowała się za ogrodzeniem. Jeszcze raz groźnie mruknął, odwrócił się i odszedł.

Gdy zszedłem z podestu, ulice świeciły pustkami. Wróciłem do warsztatu dokończyć swoją pracę.

* * *

Poprzedniego wieczora siedziałem w barze, obserwując ludzi i popijając piwo; teraz myślałem już tylko o dalszej drodze. Drewniana Szczelina nie miała nic więcej do zaoferowania, a niepewny ślad, za którym dotarłem aż tutaj, wygasł. Ludzie dyskutowali z przejęciem o pomysły Pana Prawo i Porządek. Zaproponował, że stanie na czele wyprawy, by raz na zawsze zniszczyć kolonię skorpionów, która od dłuższego czasu utrudniała miasteczku życie. Dzisiejsza masakra wszystkich zaskoczyła i zszokowała, nic takiego wcześniej nie miało miejsca. Im dłużej się temu przysłuchiwałem, tym bardziej było dla mnie jasne, że nie zorganizują żadnej wyprawy odwetowej. W starciu ze skorpionami zginęło kilku dzielnych i walecznych mężczyzn, którym na nic się zdało ich uzbrojenie. Wszyscy to rozumieli.

Czekałem na coś, co po prostu musiało się stać. Ktoś inny na moim miejscu uznałby to za łut szczęścia. Ja nie.

Pan Prawo i Porządek pojawił się z trzecim piwem.

– Mogę się przysiąść?

Nie czekał na zgodę.

Rozsiadłem się wygodnie na krześle i upajałem ciepłem sali i napoju. Jednocześnie obserwowałem kobiety, ostrożnie, by nikt tego nie zauważył. Nie chciałem żadnych kłopotów. W drzwiach stanął Timothy, ale kiedy zobaczył, kto siedzi ze mną przy stole, natychmiast się wycofał.

– Pan nie zarabia tylko na handlu – zaczął Pan Prawo i Porządek.

Nawet po służbie nie rozstawał się ze swoją bronią. Nauczył się poruszać tak, by długie kabury, przymocowane zamkiem błyskawicznym do nogawek na udach, mu nie przeszkadzały.

– Dużo podróżuję. Tu się zarobi na tym, gdzie indziej na tamym. Obrotny człowiek da sobie radę. Popyt i podaż. Wie pan, o co chodzi.

– Jak na podróżnika jest pan nieźle uzbrojony – kontynuował.

Delikatne dźwięki pianina z coraz większym trudem przebijały się przez gęstniejący papierosowy dym. Udawałem, że zastanawiam się nad odpowiedzią, ale tak naprawdę szukałem Czarodzieja. Ci dwaj chyba zawsze pracowali razem.

W końcu go znalazłem, bardziej szóstym zmysłem niż wzrokiem. Albo pomogło mi Oko. Stał za oknem i zaglądał do środka. Pracował nad czymś, jednak żaden z moich ochronnych talizmanów, diagramów i znaków nic nie rejestrował. To musiały być diabelnie wyrafinowane czary. Szum w pomieszczeniu coraz bardziej się zmieniał. Pęczniał złością i strachem, tracił

zdecydowanie i wolę. Ten bydlak pracował na sugestii podprogowej i tak subtelnej, że nie wychwycił jej żaden magiczny czujnik. A może nie była nakierowana na mnie? Nawet gdyby... i tak by nie zadziałała.

– No tak, tak, niezłe uzbrojony – zgodziłem się. – Na człowieka w podróży czyha wiele niebezpieczeństw.

Pan Prawo i Porządek przytaknął. Chyba nie oczekiwał innej odpowiedzi.

– Wygląda pan na kogoś, kto nie boi się niebezpieczeństwa.

– Jakoś daję radę – powiedziałem.

– A gdyby się panu zapłaciło za stawienie mu czoła?

Rozejrzałem się po sali. Dotarcie do sedna sprawy nie trwało zbyt długo. Pan Prawo i Porządek co prawda nie był ze mną umówiony, ale przynajmniej nie gadał wiele.

– Wszystko zależy od ceny.

– A jaka by pana zadowolila za zlikwidowanie stada skorpionów? Dzisiaj straciliśmy wielu mieszkańców, niestety, głównie tych najlepszych, najbardziej zacnych mężczyzn. Drewniana Szczelina nie stanie się miastem z prawdziwego zdarzenia, jeśli w pobliżu będą te bestie.

W prawdziwych miastach żyły o wiele gorsze potwory. To już zachowałem dla siebie.

– Wyposażenie do pracy, które uznam za niezbędne – zacząłem. – Pieniądze i towar. Myślę, że razem wyjdzie dziesięć tysięcy. Jeśli nie dogadamy się w kwestii cen za towar, będę żądał gotówki.

Przytakiwał, tak jakby moje żądania w ogóle go nie ruszały.

– I kobieta. Kobieta na jedną noc, która pójdzie ze mną dobrowolnie – dodałem ku własnemu zaskoczeniu.

Uświadomiłem sobie, że właśnie to jest dla mnie najważniejsze. Nie miałem żadnej kobiety od bardzo dawna, odkąd sięgałem pamięcią w swoją zamgloną przeszłość.

Szeryf spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Spróbuję pośredniczyć, ale...

– Żadne ale – przerwałem mu. – Warunki są jasne. Jeśli się nie dogadamy, odjeżdżam jutro rano, tak jak planowałem. – Dopilem piwo. – Nikt nie ma prawa jej zmuszać. Od razu to poznam – dodałem.

Myśl o kobiecie, o seksie, coś we mnie przebudziła. Na razie jeszcze nie wiedziałem co.

– Zobaczmy – przytaknął Pan Prawo i Porządek, po czym wstał od stołu, muskając rewolwer koniuszkami palców.

Nie zastanawiał się nad tym. To był podświadomy odruch, jak pogłaskanie kogoś, kogo się kocha. Czyja kiedyś kogoś kochałem? Nie pamiętałem. A Przedtem? Nie miałem pojęcia.

Przysłuchiwałem się, jak opowiada, że Podróżnik, który zawitał do miasteczka, mężczyzna doświadczony i znający wiele technik walki, może podjąć się dzieła zniszczenia skorpionów zagrażających Drewnianej Szczelinie i żąda za to jedynie dziesięć tysięcy

złotych. Kiedy padła liczba, dało się słyszeć pomruk zdziwienia.

– Ja sam dam pięćset! – uciął komentarze na temat kwoty.

– Ja też! – zawtórował mu Czarodziej.

Znowu wszedł do środka, nawet nie zauważyłem kiedy.

Możliwe, że przeniknął przez ścianę. Możliwe.

Padały kolejne liczby, jakby ludzie starali się udowodnić przed innymi swoją troskę o wspólne dobro.

Przestałem przysłuchiwać się tej licytacji, gdy podeszła do mnie profesjonalistka. Dosiadła się bez pytania, zamieniliśmy kilka słów. Zastanawiała się, kim właściwie jestem i czego może się po mnie spodziewać. Słusznie podejrzewała, że niczego dobrego. Ściągnąłem kaptur, pozwoliłem, by zobaczyła, co skrywa się pod rękawicą. Na jej twarzy nie odmalowały się żadne emocje, pokręciła tylko głową i odeszła. To samo powtórzyło się jeszcze z dwiema.

Zostawiłem na stole pieniądze i poszedłem do swojego pokoju. Zawsze tak było. Zawsze. Część mnie, którą uparcie chowałem jak najgłębiej, wrywała się na zewnątrz. Ale ja nie chciałem jej wypuścić. Bałem się tego, co mogło się tam ukrywać.

Już miałem iść spać, kiedy ktoś zapukał. W pełnej gotowości otworzyliśmy razem z Margaret. Za drzwiami stała kobieta, tak samo ubrana i z tym samym pledem, co po południu, kiedy ją po raz pierwszy spotkałem. I miała to samo niepewne, potwornie przerażone spojrzenie.

– Słyszałam, co pan powiedział szeryfowi – wyjąkała.

Było mi jej żal. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czułem coś tak ludzkiego – jeśli w ogóle kiedykolwiek czułem. Już miałem kazać jej iść do domu, ale pierwsze słowo jakoś mi uciekło. Wiedziałem, że sobie z tym nie poradzę. Pragnąłem chociaż przez chwilę czuć się jak człowiek, by później utrzymać monstrum pod kluczem.

– Napije się pani czegoś? Albo zje? – zaprosiłem ją, robiąc przejście w drzwiach.

Wymieszałem dla nas drinka z zapasów kupionych dzisiaj w mieście i wlałem do niego łąkę specjalnego eliksiru. Zapewniał przeżycie iluzji, zapomnienia, nadawał mocy wyobrażeniom i przysłał rzeczywistość. Nie chciałem, żeby po tej nocy męczyły ją koszmary. Ja sam też potrzebowałem iluzji.

* * *

Była taka piękna, taka ludzka.

* * *

Dopiero rano, kiedy się żegnaliśmy, oboje z nieco bolącymi głowami z powodu skutków ubocznych takich koktajli, zapytałem ją:

– Dlaczego?

Zatrzymała się w drzwiach, znowu w szarym ubraniu i z pledem przerzuconym przez ramiona. Pamiętałem, co jest pod spodem.

– Timothy jest moim synem. Raz obronił go pan przed okaleczeniem, drugi raz przed śmiercią, kiedy zabronił mu pan pójść na pogrzeb.

Odwróciła się gwałtownie, aż poły materiału zatrzepotały jak na wietrze, i już jej nie było.

* * *

Faszerowałem ostatni granat. Jeszcze nigdy nie miałem tak skutecznej amunicji. Główny składnik odłamkowy stanowił wolframowy drut izolowany ceramiką. Do materiału wybuchowego dodałem mieszankę drobno zmielonego aluminium z odrobiną fosforu. Oko co chwilę dawało mi znaki, żebym zachował szczególną ostrożność. Miałem jeszcze pojemnik ze sprężonym azotem. Wystarczyło trochę schłodzić granaty i już im się odechciewało płonąć. Albo eksplodować.

Od razu poznałem, że mnie obserwuje. Z bliska uczucie jego chłodnej obecności było jeszcze bardziej wyraziste, może dlatego, że skupiał uwagę tylko na mojej osobie. Jak gdyby nigdy nic ostrożnie zamykałem ostatni granat. Chyba naprawdę wszedł w konszachty z upiorami. Wysokimi upiorami. A jeśli trwało to od dawna, niewiele zostało w nim z człowieka.

– Widzę, że nie używa pan czarów – przemówił głuchym, szeleszczącym głosem.

Dokończyłem zamykanie ładunku i dopiero potem przestawiłem w Oku ostrość na tryb zwyczajny.

– Dzisiaj nie. Nie zawsze można na nich polegać – zgodziłem się. – Dobry materiał wybuchowy, dobre oko. – Wzruszyłem ramionami i wsadziłem granat do torby.

Greyson, broń, którą zazwyczaj nosiłem rozmontowaną w plecaku, był już przygotowany i załadowany. Odblokowałem mechanizm i zakręciłem bębenkiem z ośmioma granatami. Wydał cichy dźwięk, czysty stalowy zgrzyt ukrytych zębów.

– To trochę dziwne w przypadku kogoś takiego jak pan. Ale chyba pan wie, co robi.

Podobnie mogłyby mówić nawet gady po drobnym zabiegu chirurgicznym.

Nie odpowiedziałem, zacząłem karmić Margaret.

W pudełku na pasku miałem ostatni przedmiot, którego od czasu do czasu używałem w walce – wyglądał jak wielki nóż, ale w rzeczywistości był to miecz. A może jeszcze coś innego, o czym nawet nie miałem pojęcia. W odróżnieniu od uzbrojenia, które rozumiałem, któremu nadałem imiona i które wiernie towarzyszyło mi w podróżach, nie odczuwałem potrzeby, by go nazwać. Dla mnie to był po prostu Nóż.

– A kiedy zamierza się pan wywiązać z zobowiązania? Nie chciałbym pana ponaglać, ale

ludzie...

– Teraz. Jestem przygotowany – nie pozwoliłem mu popisać się ironicznymi docinkami.

Wszystko jedno, kiedy się za to zabiorę, ta chwila była dobra, jak każda inna. Na dodatek bardzo nie lubię, kiedy skurwysyny jego pokroju zawracają mi głowę.

Wstałem, przewiesiłem Greysona przez lewe ramię, Margaret zostawiłem w kaburze. Torba z granatami przy każdym kroku uderzała mnie w bok. Uwiązałem ją luźno do pasa, wiedziałem, że później będę chciał się jej pozbyć.

– Czy to aby nie jest pochopna decyzja? – zagał ponownie Czarodziej.

Teraz wyprostowałem się jeszcze bardziej niż wczoraj w barze i spojrzałem na niego z góry. Zarejestrował to. W centrum jego oka na moment zapalił się okrągły celownik.

– Jeszcze nie ma południa. Do wieczora będę z powrotem – odparłem pobłaźliwie.

Wściekłość promieniowała od niego chaotyczną, nerwową indukcją. Niektóre deski drewnianej ściany warsztatu spróchniały, na listwach nad moją głową porobiły się pęcherze, a przelatujący trzmiel padł martwy na ziemię. Pomachałem do niego Ręką. Formująca ją w ludzki kształt rękawica zatrzeszczała, jakby powstrzymując rozrost kończyny.

– Do wieczora będę z powrotem. Przygotujcie pieniądze.

W oczach Czarodzieja błysnęły celowniki – naprawdę udana para z doskonałymi dodatkami.

Wyszedłem z miasteczka główną bramą. Odprowadzał mnie szum wiatru i odgłos łożysk karabinowych lawet, które niosły lufy śledzące moje kroki.

* * *

Timothy czekał na mnie zaraz za ostatnim polem.

– Proszę pana, proszę pana, mogę iść z panem? – starał się dotrzymać mi kroku.

Przez chwilę, częściowo wbrew własnej woli, rozważałem jego propozycję, ale pokręciłem głową.

– Idź do domu. Pomóż matce i dopilnuj, żeby stara Bzecka przygotowała mi porządną kolację. Wrócę głodny.

Sprytnie złapał ćwiartaka, którego mu rzuciłem.

Trzymał go przed sobą w dłoni. W obrobionym metalu odbijało się słońce.

– Ale ja naprawdę z chęcią bym panu pomógł – zatrzymał się niezdecydowany.

Odwróciłem się do niego z powagą.

– Pomogłeś mi bardziej niż większość ludzi, których kiedykolwiek spotkałem. Czeka mnie teraz ważne zadanie. Ale obiecuję, że kiedy wrócę, dokładnie i ze szczegółami opiszę ci, jak wytępiłem skorpiony.

– No... to znaczy tak – poprawił się. – Wierzę panu. Kolacja będzie przygotowana!

Powiedziawszy to, popędził z powrotem do miasteczka.

Przyspieszyłem kroku. Teren znałem dobrze, w ostatnich dniach sprawdziłem go kawałek po kawałku i nawet bez szkiców szeryfa wiedziałem dokładnie, gdzie obozuje stado skorpionów. Osiedliły się na skraju dzikiego lasu porastającego zbocza wyżyny na południe od Drewnianej Szczeliny. Ich ulubionym miejscem była odnoga potoku przez miejscowych nazywanego Jadowym. Niegdyś płynął obok palisady, ale ludzie wzięli się do pracy i skierowali jego bieg do innej doliny.

Drzew było coraz więcej, pola, niegdyś uprawne, porastała zasiana wiatrem gęstwina brzoź i buków. Greysona miałem w gotowości na ramieniu, ale Margaret wyciągnąłem. Nie zdziwiłbym się, gdyby jeden czy dwa stwory przypałały się aż tutaj. Całej zgrai raczej się nie spodziewałem. Mieszkańcy Drewnianej Szczeliny mieli pecha, że skorpiony znalazły się na cmentarzu. Dla niektórych ten pech był zabójczy.

Szedłem pomału od drzewa do drzewa, czasami korzystałem z pozostałości starej drogi. Ostrzegął mnie smród zmasakrowanych trzewi – ekskrementy i krew. Mały, niespełna dwumetrowy skorpion rozpruł krowę i przygotowywał się do uczty z najlepszych kąsków jej wnętrzości. Stwory miały szczypce ostre jak brzytwy, ale ich szczęki nie były zbyt wiele warte, skoro ten musiał sobie frykasik pokroić na kawałeczki.

Stał tyłem do mnie, dwiema parami szczypiec oparty o ziemię. Chitynowy pancerz błyszczał specyficzną, fałszywą wilgocią. Szarpiąc mięso, stwór rozkoszował się jego smakiem.

Nie chciałem strzelać, żeby nie zwabić zbyt szybko pozostałych skorpionów. Przez chwilę się wahałem, a potem położyłem Greysona i Margaret na trawę i zacząłem zbliżać się na palcach do stwora. Dzieliły mnie od niego dwa kroki, gdy naraz ten pomysł przestał mi się podobać. To nie człowiek ani zwykłe zwierzę. To skorpion i nawet jeśli był bardzo młody, jego układ pseudonerwowy pozwalał mu poruszać się niewiarygodnie szybko.

Ostatni krok. Wyprostowałem się, miałem jego tył kilka centymetrów przed oczami. Ziemia zaskrzypiała, kiedy nagle zapał się tylko jedną parą kleszczy, ale ja już trzymałem go oburącz za głowę i zanim zdążył cokolwiek zrobić, okręciłem ją szybkim ruchem najpierw w prawo, a potem w lewo. Kręgosłup skorpionia nie wytrzymał i złamał się. Głowa wyśliznęła mi się z rąk. Jeszcze przez chwilę patrzyłem w przerażone, szybko gasnące oczy, czułki o długości ludzkiego ramienia drgały konwulsyjnie.

W zamyśleniu wróciłem do swojego arsenału.

Oczekiwałem starcia ze stworem, przy którym legwan to szczyt intelektu, a tymczasem zabiłem stworzenie, które bało się śmierci. Dziwne. Ale na świecie aż roi się od dziwnych rzeczy.

Szedłem dalej. Mijałem coraz więcej szkieletów zwierząt. Krów, owiec, dzików, czasami nawet człowieka. Te bestie zostawiały szczątki swoich ofiar na wierzchu niczym trofea. Ta przemyślana aranżacja miała wywrzeć jak najpotworniejsze wrażenie.

Przy starej, spróchniałej wierzbie miałem już pewność, że przybliżyłem się

niepostrzeżenie. Znajdowałem się niedaleko ich siedliska u wylotu wądołu. Stąd mogłem zaatakować wszystkie naraz: stare i młode, samice i samców. Nie spróbują uciec, będą się bronić za wszelką cenę. I właśnie o to chodzi.

Podkradałem się krok po kroku. Z nadmiaru wilgoci zaczął mnie swędzieć nos, trawa była tu wyższa i bardziej zielona, ziemia zaczynała miękko chlupotać. Już widziałem rzeczkę. Kawalek przede mną opływała niewysoką wysepkę zarośniętą łośnianem i pękami trzcin, a w korycie leżały kamienie wielkości od ludzkiej głowy do bloków o średnicy powyżej metra. Zbiegające się zbocza wąwozu spajała gęstwina młodych wierzb. Witki poruszyły się i z cienia wyszedł skorpion, niemal dokładnie na wprost mnie, wysoki na prawie dwa metry. Posuwał się drobnymi kroczkami na jednej parze szczyptec kroczących, podpierając się ogonem. W tej samej chwili dostrzegłem drugiego. Czemu wcześniej go nie widziałem? Stał w wodzie pomiędzy dwoma głazami. Możliwe, że się chował – ale skorpiony nigdy się nie chowają. Zawsze walczą jeden na jednego, z taką liczbą kleszczy inaczej się nie da.

Wziąłem do ręki Margaret. Była maksymalnie skuteczna, z małej odległości mogła powalić nawet pancernego lwa. Wiatr ustał, w mlaskanie bagna i cichy szmer wody wmieszał się odgłos mojego oddechu. Denerwowałem się. Przeszkadzało mi, że zbliżają się jednocześnie. Po prawej stronie, za wysepką, dostrzegłem trzeciego. Piekielnie silny patrol. Wstrzymałem oddech.

Skorpion zrobił jeszcze jeden kroczek, zmienił kąt oparcia ogona. Ścisnąłem mocniej rękojeść i pociągnąłem za spust. Margaret zagrzmiała. Tuż przed oczami mignęły mi kleszcze, wbiły się u moich stóp. Kolejny strzał dosięgnął bestię w wodzie. Ładunek odłamków żelaza, stali i wolframu zmiażdżył szczyptec i uszkodził korpus, ale skorpionia nie zatrzymał. Wyskoczył z wody, odbił się ogonem jak na monstrialnej sprężynie. Pociągnąłem za spust po raz trzeci.

Z twarzą obryzganą obślizłą galaretą, którą skorpiony miały zamiast krwi, na oślepek nakarmiłem Margaret i dopiero potem przetarłem oczy.

Były szybkie, zabójczo szybkie. I współpracowały, tego nie mogłem pojąć. Gdyby drugiego nie wyhamowała woda i dno koryta, prawdopodobnie by zdążył.

Okolica ciągle wydawała się pusta, ale wiedziałem, że to tylko pozory. Ostrożnie przebrnąłem na wysepkę, szukając trzeciego. Nigdzie go nie widziałem, z pewnością wycofał się, żeby ściągnąć posiłki i ostrzec innych. Bzdura. Skorpiony przecież nie myślą, działają jak owady. A może nie. Te były inne.

* * *

Koryto rzeczki przy krańcu wysepki było jeszcze bardziej rozczłonkowane i stanowiło naturalną przeszkodę przy ewentualnej napaści. Zarośla łośnianów przechodziły w trawę, ziemia była bardziej sucha. Teren pod każdym względem bardzo mi odpowiadał. Staralem się

tam dostać małymi, uważnymi krokami i nie stracić przy tym równowagi ani orientacji, co się dzieje naokoło. Mierzyłem z Margaret w pustkę, Greysona trzymałem w opuszczonej ręce. Nieprzyjemne wrażenie, że kolejna niespodzianka będzie jeszcze gorsza, przybierało na sile. Z lewej strony dobiegł odgłos osuwającej się ziemi. Po stromym zboczach toczył się skorpion, z gęstwiny porastającej wąwóz wyłoniły się następne trzy. Z przerażającą lekkością dosłownie przenikały przez pnie wierzb.

Wystrzeliłem z Margaret w najbliższego z nich, ale udało mi się pozbać go jedynie połowy zabójczych zdolności. Kolejne strzały przewierciły dwa z nich na wylot, ale skorpiony już mnie okrążyły. Przewracając się na bok, w końcu sięgnąłem po Greysona. Powiew eksplozji, kolejne załadowanie bębna. Naraz znalazłem się w wodzie. Zamykała się nade mną pozornie bardzo powoli. Rzeczka była głębsza, niż mi się wydawało, o wiele głębsza. Pomyślałem o skorpionie, który zniknął mi z pola widzenia. Może wcale się nie wycofał, może czekał ukryty gdzieś za kamieniem. Rozkołysana powierzchnia wody nagle pociemniała. Instynktownie podniosłem Rękę, ale zanim zdążyłem pociągnąć za spust miotacza granatów, coś wyrwało mi go z palców, a wokół ramienia zacisnęły się ostre jak brzytwy szczypce skorpiona.

Wyciągnął mnie z wody niczym byle piórko, sprężynowe keratynowe mięśnie trzeszczały, jakby chciał przeciąć mi rękę. Bezsilnie machałem nogami w powietrzu, zmrożony przerażeniem patrzyłem na pozostałe szczypce. Skorpion zorientował się, że nie da rady tak po prostu przeciąć Ręki, postanowił więc spróbować z tułowiem. Wtedy uprzytomniłem sobie, że ciągle mam w dłoni Margaret, a w niej jeszcze jeden nabój. Strzał z tej odległości urwał stworowi głowę. Z głośnym pluskiem wyciągnąłem z wody miotacz granatów. Przełożyłem go przez ramię na brzuch i zacząłem strzelać z pozycji leżącej, coraz bardziej wbijając się w dno. Eksplozje, świszczące odłamki, zalew napalmu. Leżałem na dnie i czułem, że woda wokół mnie płonie.

Na wpół uduszony, poparzony, zraniony odłamkami z własnej kanonady, wstałem. Krzaki, zarośla na zboczach, spróchniałe wierzyby – wszystko płonęło, gęsty dym utrudniał orientację. Brodziłem w wodzie, zataczając się w kierunku wysepki, gdzie zostawiłem torbę. Miałem w niej następną porcję amunicji do Greysona.

Kiedy ją otwierałem, zobaczyłem, że ścisk szczypiec uszkodził specjalną rękawicę na mojej lewej ręce. Kolczuga i hiperodporna tkanina pod nią topiły się jak silikonowe włókno nad płomieniem świeczki. A to oznaczało, że za chwilę będę mógł włączyć tylko prawicę. Zdążyłem jeszcze nabić Margaret i cztery komory Greysona, gdy skorpiony przystąpiły do kontrataku.

Słyszałem trzask drewna, stukot kamieni, po których goniły. Postanowiłem wyjść im naprzeciw, żeby do starcia doszło na węższej przestrzeni i żeby nie mogły mnie tak łatwo otoczyć. Kiedy tylko zobaczyłem pierwszego, wysokiego na dwa i pół metra skorpiona, którego szczypce świeciły stalowym blaskiem, zacząłem strzelać. Wybuchy i ogień. Żar,

dym, świst odłamków. Opróżniony miotacz granatów odrzuciłem na trawę, wyciągnąłem Margaret i na moment zamarłem – lewa rękawica, w skomplikowany sposób nadająca kształt mojej kończynie, całkiem się rozleciała. Ramię, dotąd owinięte kevlarą, oraz kolczuga natychmiast straciły narzuconą im formę, która w jednym miejscu się rozszerzyła, w innym zwężyła i przetransformowała w pazur całkiem podobny do broni moich przeciwników, tylko trochę mniejszy. Pierwszego z nich rozprułem od pierwszej pary szczypców aż do głowy. Nie spodziewał się czegoś takiego, nie zdołał ani zaatakować, ani się obronić. Drugiemu przestrzeliłem szyję. Kolejnego nawet nie zauważyłem, przed oczami mignęły mi tylko ostre szczypce zwarte w coś na kształt grotu. Przebił mnie na wylot, ale nie trafił w serce. Krew tryskała na wszystkie strony, ograniczała widoczność. Zgiąłem wyposażoną w kilka stawów rękę i odciąłem czubek szczypiec wystający z mojego tułowia.

Skorpion za mną zaskowyczał z niewyobrażalnego dotąd bólu. Szybkim ruchem pozwolił mi się uwolnić z pozostałości swojej kończyny.

Kolejny agonálny skowyt, ale tym razem to ja jęczałem. Jakoś dałem radę przewrócić się na plecy i wystrzelić w sam środek wielocłonowego korpusu stwora.

Zalała mnie fala obślizłej galarety, a do ziemi przygwoździło ciało. Pozostałe dwa skorpiony zbliżały się, a ja wiedziałem, że już nie zdążę, że nie mam żadnej karty przetargowej.

Ten większy, z oczami w kolorze miedzi, pochylił się nade mną i z zaciekawieniem oglądał moje zmutowane ramię. Nasze spojrzenia się przecięły. Nagle dostrzegłem kościstego, chudego mężczyznę z białymi włosami ozdobionymi jednym czerwonym pasmem. W jego oczach pojawiły się okrągłe celowniki. Stwór potrząsnął głową, aż poleciało kilka kropel śliny. Zorientowałem się, że oczy Czarodzieja są skierowane bezpośrednio do jego myśli. Potem skorpion odwrócił się i razem z resztą stada poszedł z powrotem do wilgotnej kryjówki w wąwozie.

Czarodziej mi pomógł. Już dawno nie oceniłem nikogo tak błędnie. Zaskoczyło mnie to, ale darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Podniosłem się pomału, ostrożnie. Rana wprawdzie się nie zrosła, ale już nie krwawiła, co nie znaczyło jednak, że nie bolała. Przed oczami robiło mi się na przemian czarno albo czerwono. Zmagałem się z neodpartą chęcią przebicia mózgu Kleszczami, żeby tylko uwolnić się od cierpienia, i uciekałem z przesmyku, jak najdalej od straszliwych, na wpół inteligentnych skorpionów.

Nie oceniłem go błędnie. Czekali na mnie, krąg mężczyzn z miasteczka. Każdy wziął ze sobą, co tylko miał – karabiny, pistolety, miecze, siekiery. Za nimi kobiety, również z bronią. A na końcu dzieci, starsze uzbrojone, młodsze dźwigały amunicję. Pomiędzy zastępami dwaj wodzowie – Pan Prawo i Porządek oraz Czarodziej.

– Dlaczego? – wycharczałem głosem, który równie dobrze mógłby się wydostać z gardła wyposażonego w rozplątany język.

– Twój koń – zaczął wyjaśniać Pan Prawo i Porządek. – Pokraki twojego pokroju nie

mogą mieć takich skarbów. Na pewno zabiłeś kogoś, żeby go zdobyć.

– To oczywiste – wyrzęziłem. – Dlaczego nie pozwoliliście im mnie dobić?

Czarodziej wzruszył ramionami.

Nie mógł zdradzić się przed wieśniakami, że skorpiony są narzędziem w jego rękach, że je udoskonalił, podporządkował swojej woli, by stały się jego zbrojnym ramieniem. Może bał się, że pozabijam wszystkie, a chciał kilka ocalić. Albo myślał, że już jestem martwy. A może chciał rozpruć i przeszukać moje ciało i bał się, że skorpiony zetrą mnie w pył.

– Ognia! – rozkazał, zamiast odpowiedzieć.

Mogłem spróbować przebić się przez krąg, posiekać ich tak, jak to robiły skorpiony. Wciągnąłem powietrze. Z moją klatką piersiową było już wszystko w porządku, z każdą sekundą dochodziłem do siebie.

Potem spojrzałem na lufę ozdobioną tyle razy błogosławionym i jeszcze częściej przeklinanym imieniem Jezusa Chrystusa. Widziałem czubki nabojów szczerzących się do mnie z przytulnych kryjówek. Jeden z nich wyleciał, otoczony aureolą, i wbił się z przeszywającym hukiem prosto w mój mózg, odbierając mi chęci do jakichkolwiek starań.

Kolejna salwa, która nastąpiła o ułamek sekundy później, powaliła mnie na ziemię. Czuję kule wbijające się w ciało, łuski miażdżące czaszkę, słyszałem bulgot w płucach. Z dymu i migających blasków wyłaniały się wykrzywione nienawiścią twarze. Nie mogłem zrozumieć dlaczego. Nikomu z nich nic nie zrobiłem. Mężczyzna, któremu sprzedałem preparat antykoncepcyjny, miał ciężką dwulufową strzelbę. Gorączkowo wpychał do niej nabój za nabojem, a kolejne odgłosy wystrzałów zlewały się w jeden nieprzerwany huk. Być może Czarodziej razem z Panem Prawo i Porządek obiecali im prowizję za Micumę. Być może.

Kiedy skończyły im się naboje, leżałem jak bezkształtny ochłap na ziemi. Wciąż nie umierałem. Znalazłem się w prawdziwym piekle. I wciąż nie umierałem.

Ktoś mnie kopnął, wyczułem lodowatą aurę. Kolejny kopniak. Wrył się głęboko w ciało, musiało być chyba przecięte.

– Dawać piłę! Ścierwa takie jak on umierają niechętnie i pomału.

Znał się na rzeczy, oj, znał.

Gdybym nie był sparaliżowany działaniem pierwszego pocisku, wybuchnąłbym śmiechem. Silnik zaczął warczeć, łańcuch wgryzł się w mięso.

– Rżnie się jeszcze gorzej niż drewno – przeklinał ktoś. Nawet leżąc, widziałem fontannę krwi strzykającej dookoła.

– Jestem już na kręgosłupie! – W tym momencie łańcuch się zerwał, a jego koniec roztrzaskał drwalowi głowę.

To również widziałem całkiem dobrze.

– Dawajcie tutaj materiały wybuchowe – rozkazał Pan Prawo i Porządek.

Nie miałem pojęcia, ile ich było, ale po eksplozji leżałem kawałek dalej, widziałem w

czerni i bieli i chyba trochę mnie brakowało.

Dym pomału się rozrzedzał. Inni pozostali w bezpiecznej odległości, zbliżył się tylko Czarodziej. Przez chwilę dokładnie mi się przyglądał, a potem pochylił i spróbował wydłubać mój implant oka. Skończyło się na zniszczeniu skalpela i oparzeniach palców.

– Co za gówno – mruknął. – Nawet po śmierci są z nim problemy.

Potem odeszli. Nadal żyłem, wiedziałem jednak, że śmierć zaraz przyjdzie. Pomału, boleśnie, ale przyjdzie.

Dla kogoś takiego jak ja to pociecha.

Leżałem z twarzą obróconą na bok, obserwowałem wiatr kołyszący żdźbłami traw. Gdy słońce zachodziło, dostrzegłem kawałek jego płonącej tarczy. Czas mijał, coraz bardziej zapadałem się w rozmiękczoną deszczem glinę i coraz mniej widziałem. W niczym mi to nie przeszkadzało. Moje niemal nieśmiertelne ciało stopniowo opadało z sił, z każdym dniem i tygodniem słabło, zbliżając się do ostatecznego zaniku.

Kiedy bezpośrednio nade mną wytworzył się powietrzny wir, uznałem to za natrętne nagabywanie. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Z nikim z Nich. Wiatr się wzmacniał, stopniowo materializowały się w nim kryształki wirujące w szalonym tańcu, coraz więcej i więcej. Ocierały się o siebie nawzajem, dotykały, zderzały ze sobą. W pewnym momencie już nie były drobnymi lodowymi kryształkami, tylko niestałą żywą materią.

Nikt nie wie, co to za istoty. Bogowie wracający z zapomnienia czy istoty stworzone przez komputery, inteligentne neuronowe sieci zdolne myśleć rozszyć atom. Nie Ich geneza jest ważna, tylko możliwości, a te w obydwu przypadkach są podobne. Nie lubię Ich. Nie wiem dlaczego, nie wiem od kiedy, ale nie wierzę Im.

Z wiru uformowała się postać nieokreślonego kształtu, z falującą twarzą, którą widywałem przedstawioną w bardzo wielu wersjach. Swą uwagą zaszczycił mnie jeden z wielkich naczelnych bogów – sam bóg zemsty. Tej jedynej, niepodzielnej, czystej.

– *Czego chcesz?* – zapytałem w myślach. Wiedziałem, że mnie słyszy.

– *Żyj dla mnie, a ja cię obronię. Pozwolę zemścić się na wrogach.*

– *Nie.* – Pokręciłem głową, wciąż jedynie w myślach.

– *Spełnię twoje marzenia. Wystarczy, że będziesz dla mnie żył – kuśił.*

– *A o czym marzę?* – zapytałem. – *Jeśli chcesz spełnić moje marzenia, musisz to wiedzieć.*

Sam tego nie wiedziałem. Dopiero teraz, na samym końcu, uświadomiłem sobie, jak żyłem.

Wir o mało co nie rozpadł się z wściekłości.

– *Masz ostatnią szansę – zasyczał.*

Cierpliwość nie była mocną stroną boga zemsty. Moją zresztą też nie.

Wzruszyłem ramionami. Ciągłe starał się mnie przekonać, przedstawiał moje położenie ze swojego punktu widzenia.

Tułów oddzielony od miednicy i nóg, mocny jak pień drzewa kręgosłup rozerwany na

skutek eksplozji, sterczące z niego delikatne włókna tkanki, które usiłowały połączyć się z drugą częścią. Ale kawałki mojego ciała leżą zbyt daleko, regenerujące się włókna po całych decymetrach pogoni opadają z sił, kurczą się i rozpadają. Przez nie wycieka ta diaboliczna, życiodajna siła, którą ktoś z jakichś powodów mi dał. Wraz z tą ostatnią myślą pojawiło się pytanie, tak wyraźne jak nigdy dotąd. Kim jestem? Dlaczego jestem na świecie? Czym byłem wcześniej?

Już się tego nie dowiem, śmierć będzie ostateczną odpowiedzią. Niczego niewyjaśniająca, ale ostateczną. Czasami.

– *Mam cię w dupie* – syknąłem.

Bóg przeklął mnie i cisnął w twarz garść prochu. Lato się skończyło. Po przesileniu słońce zniknęło z mojego pola widzenia, a źdźbła trawy sztywniały przy porannych przymrozkach. Traciłem siły i pomału, pogodzony z losem, umierałem.

* * *

Dużo, dużo później, kiedy już byłem cieniem widzącym tylko cienie, ktoś się nade mną pochylił. Spróbowałem nastawić ostrość wzroku i, o dziwo, Oko posłuchało. To był Timothy, szczuplejszy, niż pamiętałem, z kilkoma starszymi i nowszymi siniakami na twarzy. Najwyraźniej nie miał lekko.

– Proszę pana? Mogę jakoś pomóc?

Tylko wariat, dziecko albo ktoś, kto bardzo tego chce, może postawić takie pytanie nieludzkiemu korpusowi.

Chciałem go posłać precz, ale instynkt samozachowawczy był silniejszy. Nie wiem, czy mu to powiedziałem, czy też odczytał moje myśli. Pół dnia się męczył, żeby dolną część tułowia połączyć z górną, potrzaskane końce kręgosłupa spoił ze sobą i przewiązał kawałkiem zardzewiałego drutu kolczastego, który znalazł w pobliżu. Kiedy skończył, było już ciemno.

Rano mogłem mówić.

– Nie boisz się mnie? – to było pierwsze pytanie, jakie mu zadałem.

Pokręcił tylko głową.

– Czy mogę panu jeszcze jakoś pomóc? – powtórzył pytanie zadane poprzedniego dnia.

– Potrzebuję czegoś do jedzenia, cokolwiek. Padlinę, krowę...

– Skorpiony nadal tu są, żerują na bydło. Tylko przeprowadziły się kawałek dalej – powiedział i odszedł.

Wrócił z cuchnącym kawałkiem mięsa toczonym przez robactwo. Przyglądanie się, jak jem, trochę go przerosło, ale jakoś dał radę.

Po tygodniu byłem w stanie chodzić, a po dwóch sam zdobywałem mięso i nawet mogłem sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Timothy towarzyszył mi cały czas. Z jego zdawkowych relacji wywnioskowałem, że w

Drewnianej Szczelinie jest mu jeszcze gorzej niż tutaj.

– A co z twoją matką? Nie brakuje jej ciebie? Nie potrzebuje pomocy? – zapytałem, czyszcząc Greysona.

Nikt – ani mieszkańcy, ani Czarodziej, ani Pan Prawo i Porządek – nie przeszukał wozu i nie pozbierał mojego wyposażenia.

– Potrzebuje, ale najbardziej jej pomogę, przynosząc jedzenie, które od pana dostanę.

Spojrzałem pytająco i jednocześnie zacząłem nastawiać w Oku powiększenie pola widzenia. Greyson długo leżał w wodzie, sprawdzałem, jak bardzo rdza uszkodziła mechanizm spustowy. Mocno, ale nie na tyle, żebym go jeszcze parę razy nie użył – zanim oddam do naprawy jakiemuś dobremu mechanikowi.

– Czarodziej, to znaczy pan burmistrz, powiedział, że mama zadawała się z diabłem, bo z panem obcowała. Zamknęli ją w lochu i teraz torturują. Podobno chcą ją spalić w czasie przesilenia.

Nic nie odpowiedziałem.

– A jak tam cmentarz? Wygnali z niego skorpiony? – zapytałem.

Timothy tylko pokręcił głową.

– Przeniosły się tam. Kilku ludzi chciało wykorzystać ich osłabienie i je pogonić, ale Czarodziej się nie zgodził. Powiedział, że nie możemy sobie pozwolić na stratę kolejnych mieszkańców.

Po walce na cmentarzu mogłem zdobyć to, czego potrzebowałem do produkcji własnej amunicji. I zdobyłem.

* * *

W połowie listopada, kiedy nastaly długie, dżdżyste wieczory, a na drzewach zostały ostatnie resztki liści, byłem gotowy.

– Zostań tutaj – nakazałem Timothy’emu, chociaż doskonale wiedziałem, że mnie nie posłucha, a to, co zobaczy, będzie go dręczyć do końca życia.

Podążałem powoli w stronę bramy. Poznali mnie, dopiero kiedy dzieliło mnie od nich kilka kroków. Uruchomili mechanizm i brama zaczęła się zamykać. Szyny skrzypiały, strażnicy na wieżach gapili się z otwartymi ustami, każdy ścisnął w rękę medaliony, krzyżyki, wszystko, co mogło odpędzić złe duchy. Mieli pecha, bo nie byłem złym duchem. Byłem czymś o wiele gorszym, czymś, czego sam nie rozumiałem. Czy złym? Czasami trudno znaleźć właściwe słowa, by opisać rzeczywistość.

Z Greysonem i Margaret w gotowości zatrzymałem się. Miałem tylko pięć granatów i osiem nabożów, ale to musiało wystarczyć.

– Oddajcie mi Micumę – zacząłem – wydajcie Czarodzieja i szeryfa – na myśl o kobiecie zamkniętej gdzieś w lochu trochę się zawahałem – a daruję wam życie – postanowiłem być

miłosierny.

– Tak wiele chciałem ci dać, a teraz i tak działasz w moje imię – zawył w moich myślach bóg zemsty. Tym razem jednak nie był to głos, który wywraca mózg na lewą stronę, ale mamrotanie sługusa. Dostrzegłem anakondę czającą się w trawie. Bogowie nie potrafią być nieprzewidywalni – nawet im na tym nie zależy.

– Oddajcie mi Micumę, to wystarczy – zmieniłem swoje żądanie.

Nie chciałem służyć żadnej z potęg.

Czułem strach i złość mężczyzn przy karabinach, narastający niepokój mieszkańców przechodzący w przerażenie.

Zanim minęła minuta, Czarodziej z Panem Prawo i Porządek pokazali się na górze. Wyglądali na nieco zaspanych.

– Zwróćcie mi konia – powtórzyłem.

Pamiętałem, co potrafi Czarodziej. Przy pierwszym ruchu dostał z Margaret. Zdołał się uchylić, ale ja już musiałem się wic i robić uniki. Strzały z Jezusa Chrystusa nie dosięgły mnie. Obsługę lewej wieży położyłem granatem, kolejnymi dwoma przepaliłem wejście w drewnianej palisadzie. Brama by to wytrzymała.

W ciągu paru chwil zgromadziło się kilku uzbrojonych mężczyzn, bez przerwy przybywali następni. Usłyszałem stukot zbliżającej się lawety i kliknięcie pasa karabinowego. Podbiegłem do ściany najbliższego domu, strzały skierowane na mnie zaczęły kosić ludzi. Nagle wokół leżało pełno dobrej broni. Zabiłem kaemistę, ostatnim granatem napalmowym podпалиłem największy budynek w okolicy i z automatami w obydwu dłoniach ruszyłem ulicami. Strzelałem do wszystkiego, co się ruszało, zostawiając za sobą pustkę i zagładę.

Gdy dotarłem na mały plac, mieszkańcy pojęli, że nie są w stanie mnie zatrzymać. Ratowali się ucieczką.

Wyrzuciłem zebraną broń, stanąłem plecami do okazałego budynku i czekałem na tych dwóch, którzy musieli się pojawić.

– Oddajcie mojego konia, a wtedy odejdę – powtórzyłem.

Odpowiedziało mi jedynie uczucie narastającego przerażenia i nienawiści. Nienawidzili mnie, bo zawinili, nienawidzili mnie, bo stanowiłem żywy dowód ich zdrady, tchórzostwa i małości, nagle to zrozumiałem. Ale nie było już odwrotu.

Zjawił się Czarodziej, zaraz za nim szeryf. Zbliżyli się niespiesznie ramię w ramię i zatrzymali na samym środku placu.

Z pochwy przy pasie wy dobyłem Nóż.

Kiedy go wyciągałem, był zwyczajnym myśliwskim nożem. Porządna robota, przydatne wyposażenie wojownika.

– Nic nie zyskasz tym gadaniem. Z któregokolwiek piekła byś był, odeślę cię z powrotem! – wrzasnął Czarodziej.

Był wściekły! Wściekły, ponieważ jeszcze mnie nie zabił. A mimo to był pewny siebie.

Pan Prawo i Porządek uniósł swój potężny rewolwer. Ja uniosłem Nóż.

Nie można na nim polegać, za każdym razem zachowuje się inaczej. Rozległ się huk wystrzału, widziałem kulę lecącą w moją stronę; na poziomie ostrza roztrysnęła się w gejzer ciekłego metalu. Zwykły pocisk by przeszedł, tego byłem pewien. Czułem, jak Nóż pobiera ze mnie wolę, którą wykorzystuje jako paliwo przeciw cudzym zamysłom, przeciw ich magii, broni, wszystkiemu.

To już nie był zwykły nóż, lecz krótki, masywny miecz z fosforyzującą tarczą o średnicy wielkiego talerza. Drugi strzał powstrzymałem sam i ruszyłem na nich. Czarodziej zaatakował czarem niczym ukąszenie kobry, bardziej zabójczym od jej jadu. Częściowo zdołałem go uniknąć, częściowo rozprężyłem, częściowo mu uległem. Teraz jednak trzymałem oburącz płonący ognistym żarem miecz, z przodu chroniła mnie skrząca się tarcza, o którą roztrzaskiwały się pociski z rewolweru.

Czarodziej rzucił kolejny czar – ogniste języki, które przestrzeliwały dachy, ściany, a nawet ziemię.

W końcu przystąpiłem do ataku. Najbliższe domy zapłonęły od energii przekształconej w zwyczajny żar. Spychałem Czarodzieja i szeryfa z ich pozycji, niechętnie ustępowali z centrum miasteczka. W zwierciadle czarów odbijały się nasze coraz bardziej zdeformowane wysiłkiem twarze. Potem ktoś strzelił mi w plecy. Pocisk wrył się głęboko w ciało i wstrząsnął mną. W odwecie zrównałem ulicę z powierzchnią ziemi. Nożowi nie można wierzyć. Moc magii potęgowała się, miecz rósł, transformował jak żywa istota, wysysał mnie. Kolejne natarcie Czarodzieja. Wszedłem w ścianę ognia z huczącą bestią w rękę. Asfalt pod moimi nogami bulgotał, okoliczne domy rozpadały się.

* * *

Kazałem Micumie trochę przyspieszyć. Nie oglądałem się za siebie. Dobrze wiedziałem, co zobaczę. Dwie oddalające się postacie ze skromnym bagażem, podążające tą samą ścieżką, lecz w przeciwną stronę. Nie dziwiłem się, że nie zostają. Miasteczko wyglądało, jakby zatrzepotały nad nim straszne ogniste skrzydła. Sądząc po wypalonych dachówkach, musiały być gorsze niż ogień piekielny. Z niektórych ścian pozostały tylko nadtopione kikuty, inne w pewnym stopniu oparły się płomieniom i mogłyby wytrzymać jeszcze kilka lat.

Ale to już przeszłość. Jechałem przed siebie, by dowiedzieć się, kim jestem i dlaczego chodzę po tym przez bogów i ludzi uciskanym świecie.

NA ZACHÓD OD PUSTYNI – DOTYK PRZESZŁOŚCI

Lało jak z cebra, jakby bóg wody postanowił zmienić wszystkie wyraźne kontury w bezsensowne, rozmazane kształty. Jedynie napis na błyszczącej porcelanowej tabliczce lśnił ostrością starodawnej kaligrafii.

– Ostrością starodawnej kaligrafii – powtórzyłem na głos to dziwne porównanie. Szło mi ciężko, byłem pewien, że moje usta po raz pierwszy wypowiadają tak skomplikowane słowa. Moje usta, dziwne sformułowanie. Skończyłem rozmyślenia i skupiłem się na tabliczce.

Nawet w samym środku stuletniego lasu, na rozgałęzieniu bagnistej ścieżki, lśniła czystością. Ani na szlachetnej bieli powierzchni, ani na wyrafinowanych literach nie było najmniejszego nawet śladu brudu, ziarnka kurzu, nic. „Ziemia lorda Xarius W. Lordowicza” – głosił lakoniczny napis, jednak tabliczka zdradzała o wzmiankowanym więcej niż tylko jego trzy imiona. Była w niej magia. Nie rozumiałem jej, ale nie budziła we mnie lęku. Co więcej, już kiedyś słyszałem nazwisko Xarius W. Lordowicz. Pan Upiorów, skurwysyn, który chodził po tym świecie podobno jeszcze przed Krachem.

Micum a zarżała niespokojnie. Padało od trzech dni, przydałby się jakiś kawałek dachu. Pociągnąłem za uzdę trochę mocniej, niż było to konieczne, i sięgnąłem do kieszeni po zabazgrany kawałek papieru. Czarodziej, którego niedawno zabiłem, chwilę przed ostatnim tchem zdołał wydusić coś osobliwego:

– Miałeś już nie żyć, R. C.

Nie wypowiedział mojego imienia, a potem już nie miałem okazji go o to zapytać. Nie jestem nekromantą. R. C. Trzymałem paperek w palcach, póki woda nie rozpuściła tuszu. Kim był R. C.? Sięgałem pamięcią zaledwie cztery lata wstecz. Byłem samotnym jeźdźcem ze śrutówką i miotaczem granatów. I oczywiście Nożem, którego bałem się bardziej niż setki ofiar jego mocy. Mieli pecha. Dziwne, nigdy nie przyszło mi do głowy zastanowić się, kim jestem i dokąd zmierzam. To pytanie dojrzało we mnie aż do chwili, kiedy znalazłem się w Drewnianej Szczelinie, na granicy rzeszy Pana Śmierci, a może nawet kawałek dalej.

Pomimo wszystkiego, co przeżyłem, ani trochę nie spieszyłem się na spotkanie z panem

Xariusem W. Lordowiczem.

Skręciłem w lewo, oddalając się od ziem władanych przez wysokiego upiora. Pozwoliłem Micumie, by szła dalej swoim tempem. Nigdy nie wiedziałem, czy wykorzystuje instynkt końskich przodków, czy zoptymalizowane procedury podporządkowane sztucznej inteligencji, która kryła się w jej nieorganicznym mózgu. Ktoś mógłby uznać, że Micuma jest inteligenta, ale ciężko mi było sobie wyobrazić, że ktoś chociaż trochę mądrzejszy od liścia figowego chciałby ze mną podróżować.

O dziwo, nie protestowała, kiedy kazałem jej przedzierać się starą drogą, którą płynął silny strumień.

W końcu zsiadłem i wkleiśmy się razem, ramię w ramię.

Brodząc w lejącej się zewsząd wodzie, trudno było się zorientować, czy to wciąż dzień, czy już nadchodzi noc. Człowiek mógł tylko moknąć i moknąć.

Szliśmy dalej, kiedy Micuma nagle zarżała radośnie. Po półgodzinie taplania się w grząskich bagnach dotarliśmy do celu – dostrzegłem trzy słabo oświetlone okna, wysłanników wydelegowanych w wilgotną ciemność z wieścią o schronieniu i gościnie.

Wysłannicy często kłamią, lecz stajnia była przyzwoita, a w środku czekała porządna porcja owsa. Micuma dałaby radę przeżyć na celulozie drzewnej, ale wołała owies. Wprowadziłem ją do stajni, wyczesalem, dałem podwójną porcję paszy oraz czystej wody i dopiero potem poszedłem do karczmy. Robiłem to z czystego wyrachowania – Micuma opuściła swojego poprzedniego właściciela, a ja zdążyłem ją pokochać i byłbym bardzo niezadowolony, gdyby opuściła także mnie. Jeśli zechciała, żadnym sposobem nie dawało się jej ukraść.

Knajpa przypominała dziesiątki innych, które odwiedziłem, a sądząc po ścianach z nieociosanych belek i z błotem w szparach jako spoiwem i ociepliną oraz po wielkim, pobieżnie oheblowanym kontuarze, była od nich biedniejsza. Ściągnąłem kaptur z czoła, pozwoliłem połowie tuzina gości napatrzeć się na moje Oko i pokrzywioną, pozszywaną z różnych elementów twarz. Dwóch facetów zaczęło się szykować do burdy, ale to zaimprovizowane przedstawienie ich powstrzymało. Nie miałem ochoty na awanturę, a mówiąc dokładniej, nie miałem ochoty czyścić Noża z wnętrzości – to byli zwykli ludzie, inaczej nie mogłoby się skończyć. Tyle się nauczyłem przez ostatnie lata.

Wrogość karczmarza, z wyglądu mądrego i przymilnego faceta, przysła na widok wielkiej monety, którą położyłem na kontuarze. Sięgnął po spektrometr i kiedy zorientował się, że jest złota, po wrogości nie został ślad.

– Nie potrzebuję drobnych – uspokoilem go. – Kolacja, czysty pokój, śniadanie. I grzane wino.

Coś tam burczał pod nosem, ale nie słuchałem. Ciepło i wizja porządnego posiłku działały na mnie kojąco.

Jedzenie przyniosła mi młoda kobieta, właściwie jeszcze dziewczyna, postawna, czysta i

spokojna. Spojrzałem na siedzących dookoła gości. To była straszliwa kraina, prawdziwe peryferia cywilizacji na granicy królestwa upiórów – zdziczałej okolicy zamieszkaanej przez legendarne stworzenia. Mężczyźni, którzy siedzieli dookoła, to pierwszorzędni wariaci; czułem, jak ich pokrzywione dusze balansują na pograniczu normalności i zaczątków szaleństwa. Wystarczyło trochę bardziej się skoncentrować, by odkryć ich plugawe żądze i marzenia. Ta dziewczyna powinna zostać już z trzy razy zgwałcona, zarażona syfilisem albo czymś jeszcze gorszym. Ktoś, nie potrafiłem ustalić kto, marzył, by pociąć jej twarz, oblać kwasem i dopiero wtedy zgwałcić. Postanowiłem jednak zamknąć się w sobie. Podobne sygnały pobudzały moją ciemną stronę. Kleszcze w rękawicy ze stalowych pierścieni, która nadawała im kształt ludzkiej kończyny, kilka razy drgnęły, Oko samo nastawiło ostrość i zamiast klientów pokazało mi nieznane, skomplikowane hieroglify. Gdybym je rozumiał, z pewnością wiele bym się dowiedział. Odetchnąłem głęboko. Nienawidziłem drugiej strony swojego ja. Co mi zrobili? Dlaczego? Kto mi to zrobił? Kolejny zestaw pytań bez odpowiedzi. Czułem przerażenie na samą myśl, że część mnie, zamknięta na magiczny zamek w parowym kotle podświadomości, przejmie władzę, a ja zrobię... zrobię.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zapytała. Jej głos był współczujący i ostrożny jednocześnie.

– Tak. Proszę jeszcze jedno wino. – Chciałem, żeby jak najprędzej odeszła.

To nie była duża osada, dziwka nie zdołałaby się tu utrzymać. Mężczyźni trzymali swoje kochanki w domu. Potrzebowałem kobiety, spółkowania. To uspokajało uspioną we mnie bestię, jej ryk przechodził w mroczne jęki. Na chwilę. Najlepiej było w Drewnianej Szczelinie. Kobieta, której synowi pomogłem, poszła ze mną do łóżka bez pieniędzy. To było najlepsze, co przeżyłem – czy, mówiąc ściślej, co pamiętałem. Uświadomiłem sobie, że tamta kobieta pozbawi blasku wszystkie następne, które przyjdą po niej.

Zaskrzypiały zawiasy i wszedł kolejny gość. Nie miał więcej niż trzydzieści lat i metr osiemdziesiąt wzrostu, ale geny sprawiły mu układ kostny, który wystarczyłby nawet człowiekowi o głowę wyższemu. Poruszał się jak tancerz, a jego oczy skrzyły się spod krzaczastych brwi. Roztaczał aurę prawdziwego mężczyzny, chłopca, który nie potrzebuje dziwki i potrafi zadbać o siebie. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo dziewczyna rozpromieniała na jego widok. Bez wątplenia potrafił się zatroszczyć o tych, na których mu zależało.

– Richardzie! – krzyknęła i rzuciła się ukochanemu w ramiona.

Objął ją w pasie, uniósł do góry i dwa razy zakręcił dookoła. Potem postawił ją delikatniej niż porcelanową lalkę i pocałował namiętnie, a siła tego pocałunku zdradzała, że dziewczyna nie jest z porcelany, a Richard dobrze o tym wie.

– Valena jeszcze pracuje – powiedział gorzko karczmarz. – Poda ci piwo i wróci do obsługiwania innych gości.

– Zrobiłem świetny interes. Chcę otworzyć warsztat – opowiadał dziewczynie, jakby w ogóle nie słyszał słów karczmarza. – Pójdiesz ze mną?

Zamiast odpowiedzieć, kiwnęła głową.

– Właśnie straciłeś pracownika. Rozlicz się z nią i przynieś nam coś do jedzenia – huknął.

Mina karczmarza zrzędała jeszcze bardziej, twarze innych wykrzywiła zawiść. Po raz pierwszy widziałem, jak czyjeś życie zmienia się na lepsze. Szczególne uczucie, nie byłem pewien, czy mi się podoba, czy nie. Ale dziewczyna się uśmiechała.

Przecucie przyszło jak zimna seria ukłuć wzdłuż kręgosłupa. Wiedziałem, że ktoś zaraz wejdzie, jeszcze zanim zaskrzypiały drzwi.

Na zewnątrz ciągle padało, do zaśmierdłej duchoty w środku dostało się wilgotne zimno. Przybysz był jednak suchy, miał białą i czystą cerę, a kiedy spojrzał na mnie, lodowe igły przypomniały o sobie. Upiór. To był upiór. Pochyliłem się nad kubkiem i wbiłem wzrok w ciemne lustro grzanego wina. Karczmarz zachował się tak jak ja – wyglądał, jakby nie interesowało go nic oprócz czystości szklanek. Reszta gapiła się tępo na nieznanego. Coś im nie pasowało, ale nie za bardzo wiedzieli co. Upiory żywiące się ludźmi są najgorsze, a ten, sądząc po spojrzeniu, jakim taksował poszczególnych gości, niedawno się „urodził”, jak Panowie Nocy zwykli mówić na transformację. Co więcej, interesowali go wyłącznie mężczyźni. Żadna z obecnych pokrak nie przykuła uwagi upiora, aż wreszcie jego spojrzenie spoczęło na Richardzie.

Wbił w twarz mężczyzny zimne spojrzenie, czułem ostrze woli poruszające się w przestrzeni. Nawet najbardziej podrzędny upiór da radę zawiązać człowieka. To jest ich oręż.

Pewnym siebie krokiem podszedł do Richarda, pogłaskał go po twarzy i uniósł brodę do góry, żeby lepiej widzieć szyję. Natychmiast wysunął zęby jadowe. W chwili wypasu upiory tracą samokontrolę, dlatego najpierw paraliżują ofiarę jadem, a potem wysysają krew za pomocą ostrej rurki na języku, którą nakłuwają tętnicę szyjną.

– Jesteś niezłym kaskiem – odezwał się upiorny firecyk.

Nikt nie wie, czy piją krew, żeby czerpać z ludzi jakieś fluidy, czy dlatego, że przynosi im to zaspokojenie seksualne.

– Myślę, że będzie mi s tobą topsze – kontynuował miłośnik krwi.

Rzykował, odkrywając wszystkie karty. Wystarczyło, że wśród zebranych znalazłby się ktoś doświadczony, a upiór miałby wielkie problemy. Lecz nikogo takiego nie było, wyczuwałem za to radość i ulgę pozostałych, że nieszczęście ich nie dosięgło.

– Topsze – obnażone użębienie utrudniało mu poprawną artykulację.

Pięść trafiła w szczękę, Richard znalazł się nagle za plecami upiora. Uderzenie było tak szybkie, że ledwo zdążyłem je zarejestrować. Teraz trzymał go w szachu zaciskaną na szyi garotą. Upiór krwawił fizycznie, mężczyzna psychicznie. Przerwanie hipnotycznego kontaktu sprawiło mu piekielny ból.

Chciałem krzyknąć: „Mocniej! Utnij mu łeb!”. Tak by go zabił, młodego – na pewno. Richard dawał z siebie wszystko, jakby wiedział, co go może ocalić. Nadludzka moc upiora

topniała niczym śnieg w rozżarzonej piecu, zmagając się z poważnym uszkodzeniem organizmu. I nagle garota pękła z hukiem.

– Miecz! Dawać, kurwa, miecz albo siekierę! – wrzeszczał Richard, wodząc wokół obłąkańczym wzrokiem.

Nikt się nie ruszył, nawet ja. Śmiertelna rana sięgająca kręgosłupa zrosła się do końca. Zauważyłem, że Richard się zatacza, wewnętrzna walka musiała go wykończyć. Chwilę potem sam to zrozumiał. Ogarnęła go wściekłość. Popatrzył na swoją przyjaciółkę, na nieruchome twarze wokoło. Wściekłość zniknęła, zastąpiona gotowością do działania.

– Wrócę po ciebie – obiecał dziewczynie, pożegnał ją gestem i wybiegł w deszcz.

W samą porę, upiór pomału stawał na nogi, opierając się o ścianę. Palce wbijał głęboko w drewniane bale.

– Sssabiję go! – wysyczał jednocześnie do wszystkich i do nikogo i już go nie było.

Poszedłem do swojego pokoju. W tej rozgrywce najlepsze karty dostał upiór. Nie chciałem być na dole, kiedy za chwilę wróci.

Zanim zasnąłem, zastanawiałem się, kim był ten R. C. i dlaczego zamknięto jego duszę razem z duszą demona czy bóg wie czego w tym diabelskim ciele. I kim albo czym jestem ja.

Obudziłem się w środku nocy z koszmarną myślą. Valena została w osadzie sama, prawdopodobnie spała w tej samej chałupie. Gdybym teraz po nią poszedł, nic i nikt nie zdołałby mnie powstrzymać. Nawet nikt by nie próbował, przeszło mi przez myśl na wspomnienie wydarzeń sprzed kilku godzin. Zmusiłem się, by zamknąć oczy, ale jedno nie posłuchało. Pokazywało mi rzeczy, których nie chciałem widzieć, a tym bardziej nie chciałem o nich myśleć. Nie zamierzałem jednak podporządkować się inteligencji Oka ani ukrytej części siebie. Zamiast zmagać się z chęcią wyjścia na korytarz i odnalezienia dziewczyny, zacząłem oporządzać ekwipunek. Wilgoć ostatnich dni odcisnęła na nim ślad, było co czyścić, pucować i zszywać. Nagle przyłapałem się na tym, że przygotowuję specjalne jadlo dla Margaret – otworzyłem cztery naboje i wymieniłem siekane żelazo na pokruszone srebrne pierścionki i bransoletki. Nie chciałem wplątać się w jakąś drakę z upiorami, ale lepiej być przygotowanym na wszystko.

Pukanie do drzwi oderwało mnie od pracy. Wystraszyłem się – mało kto dałby radę mnie tak zaskoczyć. Nienabita śrutówka była bezużyteczna, chwyciłem więc miotacz granatów. Wiedziałem już jednak, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Przynajmniej nie takie, z którym trzeba sobie radzić przy pomocy kalibru czterdzieści milimetrów.

– Proszę – powiedziałem cicho. Mój głos brzmiał nieprzyjemnie ochryple.

Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem, za nimi stała Valena. Z lampą w dłoni, we flanelowej koszuli nocnej, bosa. Włosy miała rozpuszczone, wyglądała młodziutko, niemal dziecięco, i bezbronne. Oko złośliwie pokazywało mi to, czego normalnie bym nie zobaczył, ale i bez tego byłem świadomy jej kobiecych kształtów, apetycznych i ponętnych. Zacisnąłem usta, po chwili je rozchyliłem. Patrzyła na mnie z żarliwą nadzieją, której nie zamierzałem

spełniać.

– Czego chcesz? – warknąłem.

– Potrzebuję pomocy, a jestem sama. Oni... oni mnie zadręczą. Richard mi teraz nie pomoże.

– Wróci po ciebie. Obiecał ci to.

Bezsilnie pokręciła głową.

– Do tego czasu jednak... – nie dała rady dokończyć.

– Sądzisz, że zdołam ci pomóc, że w ogóle zechcę? – wyrzuciłem z siebie.

– Tak, pan jako jedyny zdoła to zrobić. Bo pan chce – odpowiedziała i zupełnie zbiła mnie z tropu. Mówiła prawdę.

To ta jej cholerna empatia. Chciałem jej pomóc, ale druga część mnie, ta, której się bałem, która była zamknięta, pragnęła czegoś zupełnie innego. A teraz bardzo łatwo mogła to sobie wziąć.

Zaskowyczałem jak zwierzę. Zadrżała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Cienie korytarza poszarzały w świetle drugiej lampy, zagrzmiały ciężkie kroki człowieka zataczającego się z powodu senności i sporej dawki wińska, które miało przynieść dobry sen.

– Valeno, co tam robisz? Do cholery, wracaj do pokoju! – poznałem głos karczmarza.

Pojawił się w ciężkich ramach ścian korytarza jak stare, zaśniedziałe malowidło. Przez chwilę patrzył na mnie tępo, potem położył zarośniętą czarnymi kłakami łapę na ramieniu dziewczyny. Paznokcie miał brudne, połamane, a na przedramieniu starą, zygzakowatą bliznę.

– Zaprowadzę cię do twojego pokoju, dziewczyno, żebyś nie przeszkadzała naszym gościom – zaprezentował karykaturę pełnej ciepła opiekuńczości.

Jego głos jednak się zmienił. Słyszałem w nim słabo zakamuflowanego napaleńca, jaki skrywał się także we mnie.

Wstałem i odłożyłem Greysona na łóżko. Nie chciałem zniszczyć całej gospody i zmienić Valeny w kawałek mielonki. Na tym na pewno nic bym nie zyskał. Przewyższałem karczmarza o tyle, o ile on przewyższał dziewczynę. Położyłem mu na ramieniu dłoń w pierścieniowej rękawicy i ścisnąłem, a potem jeszcze wzmocniłem uścisk. Wyrwało mu się lekkie jęknięcie.

– Chyba rzeczywiście powinna pójść do swojego pokoju – odezwałem się pojednawczo. – Sama.

Jego dłoń bezwładnie ześliznęła się z dziewczyny.

– Spakuj swoje rzeczy i znikaj – poleciłem Valenie. – Schowaj się gdzieś niedaleko i poczekaj na powrót przyjaciela.

– Ja panu zapłacę – spróbowała jeszcze raz. W oczach miała zwierzęcy strach.

Jej bezsilność działała na mnie. Twarz krzywiła mi się co rusz w innym grymasie, obraz w Oku zaczerwienił się, przez chwilę widziałem tylko aury – karczmarza, Valeny i kilku osób śpiących obok. Własną odczuwałem jak ciężki zwój dymu, który zmieniał się z trującego

gazu w zwykły duszący dym i z powrotem. Staw pęknął, karczmarz krzyknął i nieprzytomny padł na ziemię.

– Odejdź natychmiast albo będę musiał go zabić. Żebym tobie nie zrobił czegoś jeszcze gorszego – dodałem, kiedy wciąż nie rozumiała, o co chodzi.

Zostałem na korytarzu z nieprzytomnym mężczyzną. Zniosłem go do pokoju, rzuciłem na łóżko. Niech się z tego sam wylizuje. Nie powinien przeszkadzać innym w ich nocnych schadzках. Sam jest sobie winien.

Wróciłem do swojego pokoju, znowu rozsiadłem się na krześle i zacząłem wkładać naboje do magazynku. Z normalnym ładunkiem, srebrnym i znowu normalnym. Tak samo przygotowałem dwa ładowniki naboju. Zwykły powinien przebić kamizelkę kuloodporną czy inną odzież ochronną, a srebrny dotrzeć aż do mięsa. Oczywiście z małej odległości. Ale większość wrogów przyciągałem blisko siebie i dopiero wtedy się z nimi rozprawiałem.

Położyłem się z Margaret przy jednym i Greysonem przy drugim boku. Tuż po świcie chciałem już być w drodze, daleko od tej zapadłej dziury, która z jakiegoś powodu mnie, zamkniętemu demonowi i temu, kim byłem wcześniej, załazła głęboko za skórę.

* * *

Nie zostałem na śniadaniu. W piecach się nie paliło, w kuchni też nie było nikogo słychać. Wydawało się, że dobre czasy jedynej w okolicy porządnej knajpy dobiegły końca. Wyszedłem w błotnisty poranek. Jedna z przewieszek, które nosiłem na szyi, zadzwoniła. Nie po raz pierwszy, w większości przypadków zaraz potem następowały kłopoty. Nawet bez tych ostrzeżeń poranek był dość ponury. Nie padało, ale w powietrzu unosiła się wilgoć, szare chmury przetaczały się między niskimi, zalesionymi kopcami, a rozmokła gleba mlaskała pod nogami tak samo jak w ciągu kilku ostatnich dni. W mrocznych konturach drzew i zabudowań gospodarskich mogły ukrywać się całe hordy mężczyzn. Zatknałem Greysona za pas, Margaret spoczywała w prawej kaburze. Rękojeść wydawała się podejrzanie ciepła.

W stajni było trochę jaśniej i o wiele przyjemniej. Niewiele brakowało, bym postanowił tam zostać, póki całkiem nie rozednieje, ale Micuma już na mnie czekała. Założyłem jej uprząż, wyprowadziłem na zewnątrz i zanim wspiąłem się na siodło, jeszcze raz dokładnie rozejrzałem się dookoła. Na wschodzie rozciągało się państwo upiorów, z południa przyjechałem, a na zachodzie leżało Kosterlitz, najbliższe prawdziwe miasto. Zostawała zatem północ. Przy odrobinie szczęścia mógłbym podróżować pasem ziemi niczyjej, opuszczonym terytorium oddzielającym cywilizację od prawdziwej dziczy. Chciałem jednak podążyć śladami Czarodzieja, który zdradził inicjały mojego imienia, musiałem więc sprawdzić, czy przypadkiem nie dotarł do Drewnianej Szczeliny przez Kosterlitz. Potem mogłem spokojnie ruszyć na północ. Poszukałem wzrokiem ścieżki i w końcu ją dostrzegłem. Wąski pas zielonej darni wił się wśród bagna prosto w stronę kopców, między dwa

wierzchołki górujące nieco nad innymi. Nie było sensu zwlekać.

Wskoczyłem na siodło, jednocześnie usłyszałem brzęk uprzęży. Skąd dochodził ten dźwięk? Był donośny, zbyt niski i doskonały, ukoronowany ozdobnie brzmiącym dzwonkiem. Trochę przypominał wykaligrafowaną porcelanową tabliczkę. Ktoś tutaj przywiązywał wielką wagę do formy. Micuma ruszyła szybciej, niż się spodziewałem, jej kopyta ślizgały się w błocie. Miałem nadzieję, że jest na tyle rozsądna, by podzielić moje obawy. Nie miałem ochoty na upadek i sturlanie się gdzieś w dół. Na szczęście znad mokrej trawy wynurzyła się mgła – albo chmura opadła tak nisko na ziemię i wszystko pograżyło się w zimnych mlecznych oparach.

Ścieżka wiała się wzwyż zygzakiem. Po pięciu minutach znowu znalazłem się nad gościńcem, tylko jakieś sto metrów wyżej.

– Nie ma go tutaj, ale znaleźliśmy świeże ślady. Nie jestem pewien, do kogo należą – usłyszałem.

Zdanie zakończyło charakterystyczne piknięcie towarzyszące przełączaniu na odbiór. Używali krótkofalówki. Upiory miały całkiem pozytywny stosunek do nowinek technicznych. Nie orientowałem się, jaki jest zasięg krótkofalówek, ale podczas obławy liczył się każdy kilometr.

– Dobrze, pójdziemy po śladach, a potem znowu się zameldujemy. Ruszamy.

Sytuacja chociaż trochę się wyjaśniła. Z nikim nie zadarłem, no, może z karczmarzem, ten jednak nie sprawił mi żadnych problemów. Nie miałem ochoty na spory, tylko bogowie wiedzą, jak by się to skończyło. Niektórzy. Kazałem Micumie przyspieszyć, medalion z reliefem ślepego wróżbity, jeden z wielu na mojej szyi, cicho brzęknął. Przepowiadał pecha czy szczęście? Nie można mu było wierzyć.

Dorwali mnie po niecałej godzinie – trzech szczupli młodzieńcy na koniach z długą sierścią, które wyglądały na dosyć zawzięte. Zadali sobie tyle trudu, żeby zajechać mi drogę. Dwóch nadciągnęło z tyłu, a jeden wyskoczył z lasu po lewej i stanął przede mną. Musieli znać tę okolicę jak własną kieszeń. Zatrzymałem się. Zanim jeszcze zbliżyli się na odległość, z której mogliby mnie rozpoznać we mgle, wyciągnąłem z kabury Margaret i położyłem przed sobą z rękojeścią opartą o prawe udo. Potem już tylko czekałem.

Płaszcz mieli pozapinane aż po same szyje, z szerokich rond naciągniętych na czoła kapeluszy kapały im na ramiona krople deszczu.

– Pan się dokądś spieszy? – zapytał jeden.

Pochyliłem głowę i delikatnie się zgarbiłem, żeby spojrzeć mu w twarz. Była blada, z wyraźnymi śladami świeżo wtertego maskującego cynobru. Zrozumiał, o co mi chodzi. Jego wola niczym kwas podrażniła mój płat czołowy. Wszyscy trzej z pewnością byli upiorami i nie zamierzali skończyć jak ten chłystek wczoraj.

– Wcale się nie spieszę – skłamałem i zatrzymałem Micumę obok gęstych krzaków dzikiej róży. Jedną stronę miałem zakrytą.

Tym razem to nie był zmasowany atak mocy, tylko subtelne skanowanie. Prowadził je jeden z towarzyszy mojego rozmówcy. Nie mogłem się zorientować który.

Nic nie robiłem, nic nie mówiłem, obserwowałem ich i czekałem. Oko skupiło się na moim rozmówcy, ukazując go w postaci sieciowej struktury kości i stawów. W czaszce płonął mu błękitny płomień intelektu, częściowo opleciony ciemną krwawą nicią – chyba symbolizowała autorytet, któremu był podporządkowany. Nie zawsze dokładnie rozumiałem, co Oko mi przekazuje.

– Wczoraj w karczmie napadnięto jednego z naszych.

– Zgadza się – odparłem. – Chłopak, który to zrobił, uciekł. Ale z tego, co widziałem, upiór pozbierał się do kupy – użyłem najwłaściwszego określenia na ich gatunek.

– Nie żyje – odezwał się ten, który zajechał mi drogę.

Dowódca rzucił mu gniewne spojrzenie, a ten skurczył się w sobie.

Było jasne, kto tu rządzi. Wiedziałem też, że Richard wyciągnął odpowiednie wnioski z pierwszego starcia i pozbył się swojego prześladowcy. Ciekawe, jak to zrobił, nie zauważyłem, żeby miał jakiś specjalny sprzęt. Szanse, że Valena wyjdzie z tego cało, rosły.

– Zostawił pan naszego człowieka bez pomocy – zarzucił mi bez żadnej logiki dowódca.

– A teraz cieszy się pan, że go zabito.

– O ile upiora da się zabić – zauważyłem sarkastycznie.

Nie podobali mi się.

– Trwałe wyłączenie z eksploatacji byłoby sformułowaniem o wiele trafniejszym – zaproponowałem.

Usłyszałem, jak za mną zatrzeszczała skóra. Jeden z upiorów czegoś wypatrywał; oczy dowódcy lśniły wściekłością. Drażniło go, że się nie boję. Może nawet powinienem się bać, ale... z upiorami z pewnością już się kiedyś spotkałem, nie pamiętałem jednak, czego można się po nich spodziewać.

Dowódca sięgnął za pazuchę, rondo kapelusza rzucało cień na jego twarz. Włosy na całym ciele miałem zjeżone, mięśnie napięte, tylko Ręka spokojnie spoczywała w bezruchu. Nie chciałem się z nimi bić, a przynajmniej nie wcześniej, niż to się okaże konieczne. Upiór wyciągnął krótkofalówkę, podłużny kawał czarnego plastiku z anteną teleskopową. Błyszczała nowością, wydawało mi się, że ktoś ją wmontował do urządzenia. Albo naprawa, albo ulepszenie.

Trzeci mężczyzna, który do tej pory pozostawał w bezruchu, celował we mnie z dwulufowej spluwy. Śrutówka? Raczej dwa złączone działa. Sądząc po tym, jaką przyjął postawę w siodle i z jakim przejściem przyciskał kolbę do ramienia, wielkokalibrowe naboje były równie groźne co broń. Oprócz zapachu prochu z ciemnych wylotów luf, które zapowiadały wieczny odpoczynek, wydobywał się ledwo wyczuwalny odór zakłęcia. Teraz bardzo potrzebowałem pomocy Oka, podpowiedzi, co dalej. Zamiast tego w dziwny sposób odfiltrowało mgłę, tak że widziałem drobne szczegóły i detale jak w jasny, słoneczny dzień.

Tyle że w czarno-białej wersji.

Wysunąłem lewą stopę ze strzemienia i czekałem. Dowódca ostentacyjnie mówił do krótkofalówki. Słyszałem połowę jego rozmowy.

– Tak, niegorszy oryginał. Sprawia nieludzkie wrażenie. Był z tym chłopakiem, który uciekł. Nie, nie wiem, czy mu pomógł.

– Nie pomogłem – wtrąciłem.

– Zatrzymać i przywieźć, tak jest – upiór z wyraźną ulgą skończył rozmowę z przełożonym.

– Nie pojedę z wami – niemal przyjacielskim tonem zwróciłem mu uwagę, zanim jeszcze zdążył schować krótkofalówkę.

Nie rozszyfrowałem jego gestu, wystarczył wzrok. Zamiast kontynuować konwersację, pociągnąłem za spust i rzuciłem się w bok. Drugi strzał – bolesny, pełen zdziwienia grymas ucłowieczył twarz upiora, zarzucona pętla ześliznęła się z mojego ramienia, płaszcz zapalił się od ognistej kanonady z dwururki.

Tylko że ja już leżałem na ziemi i spod Micumy trafiłem w brzuch konia, na którym siedział strzelec.

Napór woli był szybki, ale całkowicie nieuporządkowany, wystarczyło potrząsnąć głową, żeby rozbić go na tysiące chaotycznych myśli. Skoczyłem na równe nogi, strzelec również, ale się pośliznął. Ten, który rzucał pętlą, wyciągnął miecz i ruszył w moją stronę. Błysnęła stal, padłem z powrotem na ziemię, ostrze przejechało mi po plecach. Rana paliła jak ogień piekielny. Odwrócił się z niewiarygodną szybkością, ale ja już przeładowałem Margaret. Pierwszy strzał trafił konia, drugi, srebrny, chybił. Upiór skoczył prosto na mnie, przez chwilę w mocnym uścisku tarzaliśmy się w bagnie. Był ode mnie silniejszy, ale obydwaj ślizgaliśmy się niczym węgorze, a mój sztywny, nawoskowany płaszcz nie ułatwiał mu zadania. Nie puszczałem Margaret, pozwoliłem, by sama się przeładowała. Wyteżyłem ramiona i nakierowałem lufę prosto w twarz upiora.

– Nie rób tego. I tak mnie nie zabijesz – zdążył jeszcze ostrzec.

Wetknąłem mu lufę Margaret głęboko w usta i pociągnąłem za spust. Tym razem wystrzał mnie ogłuszył, a błysk eksplozji częściowo oślepił. Przed sobą jak w zwolnionym tempie widziałem, z jakimi oporami kość poddaje się pociskowi, jak eksploduje mózg, jak blednie i ostatecznie gaśnie błękitne światło inteligencji i duszy upiora. Gdyby się nie odezwał, mógłby przeżyć.

Uświadomiłem sobie, że leżę na ziemi, skowyczę z bólu, a twarz mam całą zbryzganą krwią z własnej tętnicy szyjnej, rozerwanej. Człowieka już by to dawno zabiło, ale nie mnie. Przycisnąłem dłoń do rany i czekałem, unieruchomiony, niezdolny się ruszyć. Przypomniałem sobie o trzecim jeźdźcu. Teraz miał doskonałą okazję, żeby mnie dobić. Zaczęło padać. Ucieszyłem się, bo po utracie takiej ilości krwi chciało mi się pić, a woda dodatkowo zmywała z mojej twarzy resztki upiora, któremu odstrzeliłem głowę.

Po godzinie zdołałem wstać i zataczając się, obejrzeć dokładnie pobojowisko. Trzeciego upiора nigdzie nie było, z pewnością uciekł. Możliwe, że był ranny albo po prostu nie wytrzymał nerwowo. Było mi wszystko jedno, chciałem stąd zniknąć.

Znalazłem u zabitego krótkofalówkę. Na szczęście wciąż działała. Żrące substancje, które wytwarzają rozkładające się zwłoki upiorów, nie zdążyły jej poważnie uszkodzić. Włączyłem urządzenie, szумы mnie upewniły, że działa.

– Czemu mnie ścigacie? – zapytałem i nacisnąłem największy przełącznik.

– Co tam się, do cholery, stało? Wesli, gdzie jesteś? – wybuchł głos po drugiej stronie.

Przełączyłem na nadawanie:

– Wesli jest chyba martwy. Czemu mnie ścigacie? Nie mam nic wspólnego z waszymi sprawami.

Wściekłość ustąpiła ostrości skalpela chirurgicznego:

– Jeśli Wesli nie żyje, to pan sam jest problemem. Jeśli chce pan oszczędzić sobie trudu, niech pan zostanie na miejscu i nigdzie się nie rusza. Jeśli nie, może pan spokojnie próbować się ukryć, i tak pana znajdziemy. Milady bardzo nie lubi, kiedy likwiduje się jej ludzi.

– Upiory – poprawiłem. – Zabiłem Wesliego i jego dwóch przydupasów – skłamałem. – Uciekać nie zamierzam. Jeśli pojawicie się w zasięgu mojego wzroku, zabiję również i was. Jeśli nie, ruszę dalej, pilnując swoich interesów. Nie jestem dla was problemem – powtórzyłem, choć wiedziałem, że to całkowicie bezcelowe.

Potem z urządzenia zaczęło przenikać do rzeczywistości coś przezroczyściego, nie bardzo wiedziałem co. Najchętniej wyłączyłbym je – i rozdeptał.

Pobieżnie przeszukałem ekwipunek rozkładających się upiorów. Z mapą i kilkoma innymi drobiazgami ruszyłem w stronę lasu. Zostawiłem Micumę na ścieżce, starając się zasugerować, że najlepiej jej będzie w karczmie. Nie chciałem, żeby spotkała ją jakaś awaria, ale na szczęście czasami miała więcej rozumu niż ja.

Mgła wprawdzie się podniosła, ale zaczęło padać. Deszcz z pewnością utrudni wytropienie mnie po śladach, nawet jeśli upiory nie poprzestaną na szukaniu fizycznych tropów. Nie będzie łatwo, chyba że nie wiedzą, z kim dokładnie mają do czynienia. Spieszyłem z powrotem przez las, ostrożny i przygotowany na spotkanie z prześladowcami. Mój plan był prosty. Uciec przed obławą peryferiami ich własnego terytorium. Mapa, którą zdobyłem, była szczegółowa, stworzona specjalnie dla łowców ludzi.

Przechodząc przez pierwszy potok, nałamałem sobie cienkich wierzbowych witek i powtykałem w cholewy butów. Kawalek dalej obłożyłem się gałązkami świerkowymi, potem znów mi się poszczęściło i znalazłem zarośla głogu. Miałem serdecznie dość bagna, ale mimo to wysmarowałem się od stóp do głów ubóstwianym przez dziki mułem. Tylko Greyson i Margaret pozostały czyste. To miało utrudnić tropienie mnie na wszelkich możliwych poziomach egzystencji, w których występowałem. A dokładniej, w tych, o których wiedziałem.

Trzymałem się teraz niewysokiego wzgórza ciągnącego się na północny zachód, gotowy w każdej chwili zbiec łagodniejszym zboczem.

Las był taki sam jak wszędzie tam, gdzie nie ma ani zbyt wielu ludzi, ani zbyt wielu potworów, za to nie brakuje zwierzyny. Raz po raz zbaczałem ze ścieżki, żeby wejść na chwilę do kilkusetletniego pralasu i z powrotem wrócić na ścieżkę. Wciąż przyjemnie mżyło, z koron jaworów spadały wielkie, ciężkie krople, liście krzewów lśniły czystością.

Okolo czwartej stwierdziłem, że chyba znalazłem się już na terytorium lorda Xariusza. Drzewa były wyższe, ich pnie szersze, coraz częściej natykałem się na mokradła i torfowiska. Wyglądało na to, że chyba udało mi się uciec upiorom. Zatrzymałem się na małej polanie i spojrzałem na niebo. Było szare, kłębowisko chmur bez śladu słońca i błękitu. Dziwna kraina.

Już chciałem ruszyć w dalszą drogę, kiedy usłyszałem delikatne trzaśnięcie. Po czubkach leszczyn, które wyznaczały granice polanki, skakał czerwony płomień. Syczał i praskał, jakby nie odpowiadała mu wszechobecna wilgoć, prześlizgiwał się po najgrubszych gałęziach, zjeżdżał po nich aż do ziemi, żeby zaraz wrócić na wierzchołek, przeskakiwał na kolejne drzewa. Szukał czegoś. Miałem nieprzyjemne uczucie, że tym czymś jestem ja. Ostrożnie, najciszej jak tylko potrafiłem, zrobiłem krok w tył. Następny. Jak na złość pod podszwą trzasnęła mi gałązka. Zastygłem w bezruchu, płomień również. Zeskoczył z leszczyn i ruszył w moją stronę. Odłożyłem Greysona na ziemię i zanim płomień dopełznął do mnie, zdążyłem urwać garść trawy.

Widmowy stwór owinał się wokół mojej goleni. Dotknął wierzbowych witek i skurczył się w sobie, po czym zaczął piąć w górę. Przy zetknięciu z krzewem głogu zawahał się, jakby nie był pewien, czy dalsza wędrówka mu się opłaca, ale uparcie podążał w górę. Po mojej skórze przeszedł prąd. Stwór już był na twarzy, we włosach. Jak zareagował na gałązki świerka – nie wiedziałem. W końcu spłynął ze mnie jak nieustająca mżawka i ruszył na dalsze poszukiwania. Trawa, wierzba, głóg oraz świerk chroniły przed najróżniejszymi rodzajami magii, choć mało kto wiedział dlaczego.

Poszedłem dalej. Dzięki instynktowi o włos uniknąłem nieszczęścia – albo dzięki umiejętnościom zdobytym w poprzednim życiu. Chmury zaczęły czernieć, tylko dlatego poznałem, że dzień ma się ku końcowi. Mżawka przeszła w deszcz, ziemia pod nogami znowu chlupotała. Wszystko było mokre i nawet w śladach na mchu tworzyły się miniaturowe kałuże. Ignorowanie szumu padającej wody stopniowo szło mi coraz lepiej, mogłem znowu wykorzystać słuch do orientacji. Zatrzymałem się na brzegu bobrzej zapory. Patrzyłem na ciemną powierzchnię rzeki równomiernie biczowaną ciężkimi kroplami deszczu, a las zanurzał się pomału w czerń nocy. Upiory nie przepadały za wodą, podobnie jak magowie. Jej amorficzność stanowiła przeszkodę, antidotum na większość czarów. Tylko że ja trząsałem się z zimna, marzyłem o ciepłym i suchym łóżku oraz czymś do jedzenia. I tak jak zwykle, kiedy potrzebowałem pomocy gorszej części mojego ja, ukryty we mnie demon milkł, chował się głęboko w katakumbach pokrzywionej duszy.

Zacisnąłem zęby, położyłem Margaret na jednym ramieniu, Greysona na drugim i bez wahania wszedłem do wody. Oko ścierpło ze złości, zaczęło pokazywać muliste, nierówne dno, ogromne zębate ryby i wiele, wiele innych, dużo bardziej niebezpiecznych bestii czyhających w spróchniałych pniach drzew. Tyle że bobry nie osiedliłyby się w takim sąsiedztwie. Oku nie chciało się brodzić w wodzie, więc próbowało mnie oszukać. Nieco spokojniejszy zatrzymałem się, dopiero gdy zanurzyłem się po pierś. Stałem w bezruchu jak pomnik zimna, uosobienie dyskomfortu, wsłuchiwałem się w bębnienie deszczu o powierzchnię wody i wpatrywałem w coraz głębsze cienie na przeciwległym brzegu.

O świcie zacząłem się zastanawiać, jak się ma dziewczyna, przez którą wszystko to się zaczęło. Miałem nadzieję, że równie źle co ja. Deszcz ustąpił mżawce, ta zaś gęstą mgłą. Powierzchnia wody była niczym matowe lustro, wokół panował mroźny chłód, jakby chmura zstąpiła z wysokości, niosąc ze sobą temperaturę górnych warstw atmosfery. Nie chciałem wychodzić na zewnątrz, byłem już tak przemoczony, że nie czułem zimna. A może miałem inne powody. Oko przebudziło się trochę później, czułem, jak szarpie od wewnątrz moją głowę, żeby rozejrzeć się dookoła. Przeszawiłem je na widok panoramiczny, ale bez poruszania całym ciałem. Przeskanowało mgłę, ukazując pięć kształtów, wszystkie po tej samej stronie zapory. Łowcy czekający na ofiarę. Pomału, nieskończenie pomału, pochyliłem lufy Margaret i Greysona, tak żeby zostało w nich powietrze, i pomału zacząłem klękać. Woda sięgała coraz wyżej i wyżej, matowego lustra wody nie zmąciła żadna, najmniejsza nawet fala – aż do tej ostatniej, która powstała, gdy moje ciemienie zniknęło pod powierzchnią.

Klęczałem na dnie, Oko niespokojnie zmieniało pole widzenia całej okolicy, aż trzeszczały mi kręgi szyjne. Automatyczny stoper zainstalowany w głowie odmierzał czas. Po dziesięciu minutach poczułem, że muszę zaczerpnąć powietrza, po piętnastu walczyłem z chęcią odbicia się od dna i wyskoku ponad lustro wody jak pstrągi w czasie tarła. Po dwudziestu wynurzyłem się równie cicho, jak się zanurzyłem. Nie było już mgły, chmury trochę się rozrzedziły, przypominając, że gdzieś za nimi jest być może słońce. Nawet bez moich komend Oko pokazywało każdy detal brzegu, prześwietlało każdą kryjówkę, każdy kąt, w którym można by się schować. Ono też chciało uniknąć konfrontacji ze zgrają upiórów. Nigdzie nikogo. Zacząłem pomału wychodzić z wody.

Dostrzegłem go, kiedy pod podeszwą chlupnęło mi błoto. Nie używał magii, umiał wtopić się w tło, zamknąć w sobie tak, żeby czas spływał po nim jak krople wody po impregnowanej tkaninie. Przykucnął zgarbiony przed krzakiem malin, aż do kostek zakrywał go płaszcz, który w pierwszej chwili wydawał się zielony, teraz jednak zbrązowiał i przypominał kawałek odzienia z krowiej skóry. Twarz obcego zakrywało rondo kapelusza. Kiedy podniósł głowę, żeby na mnie spojrzeć, zobaczyłem najpierw arystokratyczną brodę, nieukrwione, wąskie usta, potem doskonale wyprofilowany nos i w końcu oczy. Błysnęło w nich rozbawienie z odcieniem uznania. Czekałem na atak woli, jadowe ostrze, które zaraz rozetnie najniższe piętra duszy, ale nic się nie działo. Wszedłem na brzeg i stanąłem, z

Greysona i Margaret głośno kapła woda.

– Pewnie służy pan lordowi Xariusowi – odezwałem się cicho.

– Raczej milady, ale w sumie wychodzi na jedno – odpowiedział spokojnie i ułożył usta w uśmiechu.

Na razie nic nie wskazywało na to, że jest upiorem. Ale jako jedyny zdołał mnie wyśledzić i postanowił stawić mi czoła w pojedynkę po tym, jak zabiłem dwóch jego ludzi.

Możliwe, że była to zupełnie inna istota.

– I raczej nie pozwoli mi pan tak po prostu odejść.

Pokręcił głową, kosmyk włosów zsunął mu się spod kapelusza na czoło.

Greyson szcęknął, Margaret huknęła potrójną dawką ognia. Trafiłem go tylko za pierwszym razem, potem już ciągle stał obok linii strzału. Oko jak nigdy współpracowało z Ręką. Wiedziałem, gdzie dokładnie trafi go granat. Tuż przy obojczyku. Okręcił się na pięcie jak baletnica, machnął ręką i dokończył obrót. Głowa odskoczyła mi do tyłu. Intensywny powiew wiatru i świst – trafiłem go w locie. Bez przerwy szarpałem spust, póki nie wywaliłem całego magazynka. Już nawet nie celowałem, strzelałem mu pod nogi, żeby dosięgały go eksplozje i odłamki, w razie gdyby jakimś cudem zdołał uciec przed granatami.

Pustego Greysona cisnąłem na trawę, załadowałem do Margaret ostatni trójpak amunicji nafaszerowanej srebrem i rozejrzałem się uważnie. Stał dziesięć metrów dalej, przed sobą trzymał róg płaszcza. Materiał rozwinął się na kształt parabolicznego lustra i powstrzymał siłę eksplozji niczym tarcza. Z trudem oparłem się pokusie ponownego użycia Margaret. Nie udało mi się go zaskoczyć, a teraz był już przygotowany. Pewnie posługiwał się translokacją albo czymś w tym rodzaju. To by znaczyło, że należał do najwyższych upiorów, znanych wyłącznie z legend, ale dlaczego, do cholery, służył jakiemuś lordowi? Albo milady?

Sięgnąłem po Nóż. Trzymałem go ostrzem do góry. Wciąż miał kształt przesadnie wielkiego *bowie* z masywną klingą.

Już czułem badawcze dotknięcia woli upiora. W tej samej chwili sięgnął pod płaszcz, w jego dłoni błysnęła broń przypominająca rapier z wielkim koszem, rodem z zamierzchłych czasów.

Pozdrowił mnie formalnie. Zamiast odpowiedzieć, skurczyłem się w duchu i uniosłem Nóż czubkiem w stronę przeciwnika. Ostrze spowolniło jego atak i to mnie uratowało – inaczej nie dałbym rady. Upiór błyskawicznie wystrzelił do przodu. Ciąłem od góry, uskoczył i odwzajemnił się cięciem bok-ramię. Nóż zachował się tak, jak tego oczekiwałem – wydłużył się i przetransformował w broń, która w ogóle nie była podobna do broni mojego przeciwnika. Dzięki zmianie geometrii Noża zdołałem oszpecić upiora ognistą szramą pośrodku klatki piersiowej. Zmienił kierunek tak szybko, że nie wystarczyłyby do tego tylko nieprzeciętne możliwości fizyczne. Maksymalnie skoncentrowany robiłem uniki przed błyskawicznymi ciosami jego główki. Nóż wysysał ze mnie tyle energii, że o mało nie padłem trupem na miejscu. Następną serią ataków na szczęście skończyła się pchnięciem. Przez

chwile mocowaliśmy się ramię w ramię, zaryzykowałem, osłabiając swoją pozycję, i wyprowadziłem krótki, szybki cios w splot słoneczny. Sam po chwili o mało co nie zgiąłem się wpół, Oko zalała krew. Natychmiast odskoczyłem, zwiększając dystans, i to mnie uratowało. Nie miałem pojęcia, jak bardzo ucierpiałem na skutek odniesionych obrażeń.

Krażyliśmy wokół siebie, stopami dokładnie badając teren.

– Jestem hrabia Deffer – przedstawił się upiór, nie odrywając wzroku od wymyślanego punktu gdzieś na mojej piersi. – Muszę przyznać, że mnie pan zaskoczył. Jest pan lepszy, niż się spodziewałem. Obawiam się jednak, że pana umiejętności, jak również uzbrojenie nie wystarczą, żeby mnie pokonać.

W przygotowaniu na bezpośredni atak zapałem się mocniej lewą nogą. Klingi zasyczały, upiór zrobił unik i natychmiast przystąpił do kontrataku. Chwyciłem głównię pierścieniową rękawicą, jednocześnie próbowałem zadać mu cios w szyję. Ciągle trzymałem jego broń, nawet gdy rękawica prawie się już rozlatywała. Nagle znalazł się metr dalej. Odchylił się i ostrze znowu go minęło. Wyrwał mi swój rapier. Próbowałem odskoczyć i chwycić w locie Margaret, która nadal spoczywała w kaburze. Szybkim ruchem wytrącił mnie z przyjętej postawy obronnej – droga dla jego ciosów stała się otworem. Uniosłem Rękę w odruchu obronnym. Rapier przetransformował się nagle w piłę najeżoną chromowanymi zębami, które wbiły się w moje przedramię. Nie przecięły go, ale samo cięcie poskręcało mnie całkowicie. Zdołałem jeszcze spojrzeć mu w twarz, a potem piła wbiła się głęboko w moją klatkę piersiową, z zaskakującą lekkością przecinając żebra.

Padłem na kolana. Przybliżył się z oczami płonącymi szaleństwem walki, piła zniknęła, rapier zmierzał w stronę mojej twarzy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że celuje w niego z Margaret. Skoczył w tej samej chwili, w której nastąpił wystrzał. Żelazne i ołowiane odłamki zdarły z niego płaszcz, wbiły się aż do żeber. W jedną stopę dostał dawkę srebra, drugą sięgnął mojej brody. Gdybym był człowiekiem, przetrąciłby mi kark, jednak mój kręgosłup rozproszył energię uderzenia na wszystkie kręgi. Skupiłem się, siła kopniaka wyrzuciła mnie w powietrze głową na dół. Hrabia Deffer dokończył salto i wylądował na nogach – a raczej na nodze, bo drugą miał kompletnie zmasakrowaną. Pozornie pomału wirowałem w powietrzu, jednocześnie spadając coraz niżej i niżej, Margaret już zmierzała w kierunku ziemi – wstrząs sparaliżował mnie na chwilę, wypuściłem broń. Dzięki temu nie czułem upadku, który musiał w końcu nastąpić, tylko głuchy trzask. A potem zrobiło się ciemno.

* * *

Leżałem na wozie ciągniętym przez dwa konie. Musiał mieć całkiem sprawne sprężyny amortyzujące, nie trząsał się zbyt na wyboistej drodze. Obok mnie na stercie naciętych gałązek leżał hrabia Deffer z zabandażowaną nogą. Nie mogłem się poruszyć, a biorąc pod uwagę, że Oko ciągle skupiało się na jednym punkcie, skrupowali mnie nie tylko pętami.

Deffer spozrzał na mnie w zamyśleniu, ale nic nie powiedział. Zawładnęły mną koszmary. Obudziłem się dopiero przed bramą główną.

Siedziba lorda Xariusza – czy raczej milady, jak napomknął Deffer – przypominała trójwymiarową wizualizację obrazu Hieronima Boscha. Mury z kamiennych bloków zdobiła niezliczona ilość płaskorzeźb widm, dręczonych ludzi, demonów i innych zjaw powstałych w umyśle człowieka, a także potworów, których wymyślenie przekraczało możliwości zwyczajnej wyobraźni. Kiedy ujrzałem rzeźbę nad głównym wejściem do zamku, struchlałem i odwróciłem wzrok. Nie była dziełem ani artysty, ani fantazji. Pokazywała rzeczywistość, fizyczną postać jednego z wyższych demonów. Rzeźba nie miała stałych kształtów, zmieniała się, obsceniczność zmieszana z najczystszej postaci grozą. Struchlałem ponownie i znowu spojrzałem na rzeźbę. Przeżalenie ustąpiło. Tak właściwie to nie był dla mnie nowy widok, znałem już to wszystko, tylko nie pamiętałem. Pozostało uczucie, że słyszę znaną skądś melodię.

Wóz zatrzymał się, koń po raz ostatni stuknął podkową o bruk i znieruchomiał, jakby ktoś go wyłączył. Możliwe, że też był jakąś pokrachową konstrukcją.

Czterej pomocnicy – zwyczajni ludzie – przenieśli Deffera na nosze, a mnie bez zbytnich ceregieli położyli na ziemi. Wyglądali, jakby służba drapieżcom nad drapieżcami, jak to upiory same siebie z lubością nazywały, była dla nich czymś zwyczajnym. Chyba do wszystkiego można się przyzwyczaić. W panującej wokół ciszy dał się nagle słyszeć szum wody w fontannie. Zacząłem szukać jej wzrokiem – mogłem już poruszać głową. Deffer przyglądał mi się ze swojego dużo wygodniejszego siedziska, ale nic nie mówił. Jego podwładni, którzy organizowali transport, czekali w pobliżu. Fontanna była prawdziwym dziełem sztuki – dziełem artysty krążącego po obu stronach granicy szaleństwa. Strumień wody wytryskiwał z torsu umięśnionego młodego mężczyzny i wpadał do ust uciętej głowy, która leżała nieopodal jego stóp. Śnieżną biel marmuru łamały czerwone plamy krwi sączącej się z ran. Czasem wydawało się, że z czerwonego kamienia, chyba rubinu, naprawdę coś się sączy, ale to było tylko złudzenie optyczne.

W szumie wody pojawił się nagle pogłos z jakiegoś przestronnego miejsca, krypty albo jaskini. Inne skojarzenia nie przychodziły mi do głowy. Trzęsąc się z zimna, odwróciłem się w stronę zamku. Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi z czarnego żelaza otwierały się powoli. Widziałem dokładnie piekielny wysiłek potężnych zawiasów z brązu armatniego, stawiających opór gigantycznej masie.

– Zastąpcie ich – rozkazał Deffer patrolowi, wskazując na ludzi.

Ci, z każdą sekundą coraz bleśsi, trzęśli się gorączkowo. Nie rozumiałem dlaczego. Upiory niechętnie wykonały polecenie, a ludzcy słudzy pierzchli, gdy w drzwiach pojawiła się szczupła kobieta. Szmer wody ucichł. Odwróciłem się zdziwiony w stronę fontanny i zobaczyłem, że bezgłowy korpus młodzieńca pokrywał lodowy pancerz. Zamarzły też kwiaty w klombach z gliną, które tworzyły mały ogródek przy ławkach; służący, który uciekał jako

ostatni, jęknął, zastygł w bezruchu i po chwili runął na ziemię, roztrzaskując się na tysiące lodowych odłamków.

– Ach, tak mi było do pana spieszno, że zapomniałam o tym drobiazgu, drogi hrabio – wyszeptała pani chłodu. Mróz, który ścinał krew w żyłach w szkarłatny lód, zniknął jak po dotknięciu magicznej różdżki – albo po uruchomieniu gigantycznego reaktora.

Stąpiła w dół po schodach, wysoka, szczupła, w długich, spływających ku ziemi szatach z rozcięciami po bokach. W pasie nienaturalnie chuda, piersi miała nadmiernie duże w stosunku do wątego ciała. Zbyt doskonała, zbyt ponętna, żeby była żywa, prawdziwa. Do tego usta, doskonale sklepione, mus truskawkowy w kolorze ciemnej krwi. Sprawiała wrażenie rzeźby, dzieła kogoś, dla kogo seks był sensem życia, sensem egzystencji. A mimo to poruszała się jak żywa. Jak żywa, jeśli nie brać pod uwagę spustoszeń i zagłady, jakie rozsiewała jeszcze przed chwilą.

Obdarzyła mnie przelotnym spojrzeniem szmaragdowozielonych oczu i nachyliła się w stronę hrabiego. Sprawiała wrażenie subtelnej, ale z pewnością tak nie działała. Pstryknęła palcami, jeden z upiorów podał jej sztylet z długim, wąskim ostrzem. Z gracją i lekkością chmary pyłków dmuchawca unoszonych przez wiatr stał rozcięta prowizoryczny opatrunek na nodze hrabiego na kilka symetrycznych kawałków. Rana była czarna, poczułem smród posocznicy.

– Srebro, drogi hrabio – skostatowała sucho. – Sporo go tam jeszcze zostało.

Deffer przytaknął. Upiory starały się trzymać możliwie jak najdalej od niego, ale jednocześnie nie upuścić noszy.

– A co gorsza, część z tego srebra miała w sobie moc. – Spojrzała na mnie pytająco.

Nie wiedziałem, co knuje. Miała kocią twarz. Jej pożądlive usta, przypominające ciętą ranę, aż się dopraszały, by skruszyć je wargami. Ogarnęło mnie silne uczucie déjà vu, jakby już kiedyś przeszła mi przez głowę podobna myśl.

– Pierścionki, zdjęcia z nagrobków, stare monety, talizmany na szczęście – wymieniłem.

– Najgorsza ze wszystkich poświęcona kombinacja – przytaknęła, po czym przestała zwracać na mnie uwagę.

Sięgnęła do otwartej rany i nabrała palcem trochę ropy. Miała długie, pomalowane na karminowo paznokcie. Każdej innej kobiecie bardzo by pasowały, ale nie upiornej milady.

Przez chwilę wahała cuchnący i obrzydliwy białozółty płyn, potem go skosztowała.

– Do tego srebro poświęcono krwią. Dobrowolnie przelaną krwią.

Upiory spojrzały na swojego przywódcę, jakby już był martwy.

– Nie wiedziałem, że mam aż tak dobrą amunicję. – Wciąż leżałem na ziemi i nikt nie zwracał na mnie uwagi, zaczynało mnie to denerwować. – Ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to przeszkadzało – zaśmiałem się.

Słyszając to, drgnęła i spojrzała na mnie badawczo. Gdybym nie był tak wykończony, zatrząsnąłbym się ze strachu. Potem jednak skupiła swoją uwagę na hrabim.

– Chodź tutaj – rzuciła do jakiegoś człowieka, który trzymał się w bezpiecznej odległości.

W wysokiej jak na jesienny dzień temperaturze lód na fontannie zaczynał tajać i znowu dał się słyszeć nieregularny plusk strzykającej w górę wody.

Mężczyzna zbliżył się otępiały. Zwykły rozkaz milady miał moc działania głębokiej, hipnotycznej sugestii.

– Bliżej.

I znowu pełen gracji i lekkości pyłków dmuchawca unoszonych przez wiatr ruch z błyskiem stali w tle. Ranę hrabiego zalała krew, która trysnęła z podciętego gardła, a po chwili spływały na nią wnętrzności z fachowo wypatroszonego ciała. Lepiej niż fachowo, artystycznie. Wykorzystane ciało upadło na ziemię, jednocześnie rozbrzmiało zakłęcie, którego siła odrzuciła mnie parę metrów do tyłu. Upiory ledwo utrzymały się na nogach.

– Wzięłam trochę ich mocy – milady wyjaśniła Defferowi z lekkością właściwą przyjacielskiej pogawędce. – Zasłużyli sobie, tak niedbale pana opatrując. Jeśli ktoś z was do rana umrze, spalcie jego ciało – zwróciła się do upiorów. – Nie wiadomo, czym moglibyście się zarazić. Hrabio? – Odwróciła się do rannego. – Sądzę, że doszedł już pan do siebie.

Deffer wstał i złożył głęboki pokłon.

– Znowu mnie pani zaskoczyła. Do usług, milady.

– Teraz powinniśmy poświęcić trochę uwagi temu cudzoziemcowi, który, proszę mi wybaczyć nietakt, tak niespodziewanie pana naznaczył. – Wskazała na mnie.

– To żaden nietakt, milady – odparł beznamiętnie Deffer. – Mój przeciwnik wykazał się wielką sprawnością i niebywałą odpornością. Nic więcej o nim nie wiem. Tutaj są rzeczy, które przy nim znalazłem.

Wyciągnął płaską kasetkę z rzeźbionego drewna. Inkrustacja nie była wyłącznie dekoracją, zawierała skomplikowany kabalistyczny symbol. Zdążyłem dojrzeć, że miał funkcje ochronne.

– Czy już je pan zbadał? – zapytała milady.

Stała, opierając ciężar ciała na lewej nodze, dzięki czemu widziałem wyraźniej zarys jej ciała, choć to, co kryło się pod suknią, nie było teraz moim największym zmartwieniem. Nie zakrywała zbyt wiele, kusiła, bym zajrzał pod spód. Milady nie nosiła biustonosza, a jej piersi przeczyły prawu grawitacji.

– Nie, milady, nie byłem do tego należycie przygotowany. Ale Syxx, który go rozbijał, doznał wstrząsu anafilaktycznego.

– Ach – westchnęła. – Spalcie go od razu. I tak nie dożyje do rana.

Świsnęła stal. Głowa spadła na ziemię, a chwilę później w ślad za nią osunęło się ciało. Hrabia włożył rapier z powrotem do pochwy i natychmiast stracił zainteresowanie Syxxem. Może powodowała nim wściekłość, że zostawili mu srebro w ranie, a może szacunek dla damy.

Wciąż nie rozumiałem panujących między nimi relacji. Odnosili się do siebie jak

partnerzy, grzecznie i z kurtuazją.

Deffer otworzył kasetkę, milady stanęła z boku. Działali ostrożnie, lecz pewnie. Reszta upiorów nie mogła dostrzec zawartości kasetki, kilka z nich walczyło z nieprzepartą ochotą, by uciec. Nie pojmowałem, skąd ten strach. Wprawdzie byłem poobwieszany całą masą naszyjników i medalionów, zaś na rękach miałem kilka bransolet, jednak większość z nich pochodziła z czasów, których nie pamiętałem, a żadne nigdy mi w niczym nie pomogło, nikogo nie powstrzymało.

Milady sięgnęła do kasetki i czubkiem sztyletu wyciągnęła jeden z łańcuszków. Nie miałem pojęcia, co na nim było. Zerknęła porozumiewawczo na Deffera. Dotąd moje ozdoby oglądali tylko ludzie, może właśnie dlatego nie wywarły na nikim wrażenia.

Potem milady odwróciła się. Jej badawcze spojrzenie spoczęło na mnie. W porównaniu z poprzednim było niczym płonące aluminium proszkowe wobec tłącego się węgla. Zajrzała głęboko do środka, do podziemi, w których kryła się moja ciemna strona.

– Nie muszą należeć do niego – zauważył cicho hrabia. – Takie coś można zdobyć – położył szczególny nacisk na słowo „zdobyc” – na różne sposoby.

– Ale nie był pan tym zaskoczony – odpowiedziała miękkim głosem.

Deffer spojrzał na mnie, potem na swoją nogę i pokręcił głową.

– Nie byłem.

Milady nagle zrobiła się nieswoja. Porzuciła kasetkę i klękła przy mnie, nieomal wprawiając w szok. Wartość jej stroju przewyższała roczne dochody z dwóch wasalnych wiosek albo jednej trochę słabiej prosperującej fabryki. Klękając, milady z pewnością go zniszczyła. Absurdalna myśl.

Chwyliła mnie za brodę, żeby zobaczyć moją twarz. Czegoś szukała, może znajomych rysów, wyrazu oczu? Tylko że ja nie wiedziałem, kim jestem ani ile we mnie zostało z pierwotnego ciała. Potem przyjrzała się Ręce i ponownie oczom. Czulem chłód jej paznokci.

Albo krępujący mnie czar przestał działać, albo do tego stopnia zregenerowałem siły, że byłem w stanie stawiać mu opór. Albo stało się jeszcze coś innego. Powinienem się bać, trząść z przerażenia – zamiast tego chwyciłem dłoń milady i pocałowałem. Nie wiem, czy upiory muszą oddychać, ale kiedy podniosłem na nią wzrok, wszyscy wokół stali jak wykute w brązie rzeźby z oczami wybałuszonymi z przerażenia. Dotyk jej chłodnej i nienaturalnie elastycznej dłoni miał w sobie coś bardzo mi bliskiego.

Wstała zamyślona.

– Jak na ciebie wołają?

– R. C. – Inicjały, jedyne spoiwo łączące mnie z przeszłością.

Rzeźby z brązu poruszyły się i cofnęły o krok. Hrabia Deffer przypatrywał mi się, a jego spojrzenie miało w sobie coś z naukowej obserwacji.

– Jakżeby inaczej – powiedziała cicho milady i wstała. – Pan R. C. jest moim gościem. Zaprowadźcie go do apartamentu i opatrzcie mu rany. I oczywiście oddajcie jego rzeczy.

Służący otrząsnęli się i od razu zabrali do pracy.

– Mam dzisiaj w planach kolację z kimś, kto chce reprezentować moje interesy w Praagu. Czy zechciałby pan poświęcić trochę czasu i powiedzieć mi, co pan o nim sądzi? – zwróciła się do hrabiego.

Odpowiedział delikatnym ukłonem.

– Pan oczywiście również jest zaproszony – zwróciła się do mnie. – Wiele się zmieniło, lecz nie wszystko.

Jeszcze przed chwilą przypominała piękną i jednocześnie okrutną, drapieżną kotkę.

Rozchyliła usta, przejechała językiem po górnej wardze, po czym ruszyła z powrotem do zamku.

* * *

Siedziałem na łożu wielkości małego lądowiska. Biały adamaszek wokół mnie przypominał lód. Wykapany, natarty regenerującymi maściami i wzmocniony skomplikowanym magicznym zabiegiem, dzięki któremu mój kręgosłup odzyskał pierwotną formę, czułem się jak nowo narodzony – w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa. I jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej miałem kłopoty z i tak już mocno wybrakowaną pamięcią. Jak człowiek, którym niegdyś byłem, mógł mieć coś wspólnego z upiorzycą najwyższej rangi? I w dodatku pozostawać z nią w przyjacielskich relacjach?

Rozległo się stłumione pukanie do drzwi. Odczekawszy chwilę, jak nakazywała kurtuazja, do komnaty weszło trzech służących. Wszyscy byli ludźmi, ich twarze zdradzały tyle uczuć co wykafelkowana podłoga. Dwaj nieśli Margaret i Greysona na poduszkach z czerwonego aksamitu, trzeci zreperowaną rękawicę. Zamkowy mechanik wymienił wszystkie uszkodzone pierścienie, które przecięła głównia hrabiowskiego rapiera. Lśniły na tle czerni niebieskawą szarością metalu, który miał tyle wspólnego z żelazem, co węgiel z diamentem. Podziękowałem kiwnięciem głowy i zacząłem delikatnie formować kończynę w kształt ludzkiej ręki. Było to dosyć skomplikowane, ponieważ chitynowe mięśnio-ścięgna miały tendencje do rozwierania Kleszczy i trzymania ich w gotowości – w ryzach utrzymywała je właśnie rękawica.

– Idziemy – huknąłem na służącego, który przyglądał mi się niepewnie z odległości trzech kroków. Z pewnością miał być zawsze do mojej dyspozycji i bał się, że naprawdę poproszę go o pomoc.

Wystroiłem się, ale rozczarowany zauważyłem, że do przyniesionych szat nie mogę nosić pasa z pochwą na Nóż. Ten już wcześniej przyniósł mi prosto do łaźni hrabia.

– Ciekawa rzecz – rzucił lakonicznie, kładąc mój majątek na stół.

Kolejne pukanie do drzwi. Nie trudziłem się zapraszaniem do środka. Weszliby i tak, jeśli mieli rozkaz swojej pani.

Pojawił się muskularny mężczyzna z głową jak kolano, w kurtce i spodniach ze specjalnymi kieszeniami na elastyczne płyty pancerzy kinetycznych. W kaburach miał pistolety automatyczne, a na dłoniach rękawice bez palców obite srebrem. To nie był sługa, lecz wojownik. Oko obudziło się i wykreśliło mi jego przekrój. Mężczyzna miał ciało nafaszerowane czarami, a ich działanie było oczywiste. Tego człowieka, służącego Panu Upiorów, przetworzono tak, żeby jak najefektywniej walczył z upiorami. Nawet mnie to nie zdziwiło.

– Podano do stołu. Czekają na pana – powiedział półgębkiem i odsunął się, by mnie przepuścić.

Tuż przed wejściem do sali przyszło mi do głowy, że może milady wcale nie znała człowieka, jakim byłem przedtem, tylko tego drugiego. Demona uwięzionego w moich myślach, z którym walczyłem i którego starałem się wdeptać w najgłębsze pokłady podświadomości. Z pewnością był bardzo silny, dlatego pojawiło się następne pytanie – jak to możliwe, że jeszcze nie opętał mnie, zwykłego człowieka? Ktoś mi pomagał? Czy te doskonałe zamki w umyśle stworzył nieznany superczarodziej, który chciał mnie ochronić?

Sala przyjęć była ogromna, sufit ginął gdzieś w mroku, a ściany, zdobione stiukami rodem z piekła, w przytulnym cieniu. Na środku niemal sakralnej przestrzeni znajdował się mały stół oświetlony niezliczonymi świecami. Nakryto dla czterech osób. Hrabia i gość z Praagu już czekali, ukloniłem się i usiadłem razem z nimi. Mój przewodnik zniknął, z ciemności wyłonili się służący i nalali krwawe wino do ciężkiego kryształowego pucharu. Było gęste, niechętnie ściekało po ściance naczynia, jakby się go brzydziło.

Hrabia zaproponował, byśmy skosztowali trunku, sam też się napił. Przybysz z Praagu, wysoki, chudy upiór z wąsem i monoklem, nie powiedział nic, obserwował mnie w milczeniu. Nie wiedział, co o mnie myśleć, musiał więc mieć się na baczności.

– Przepraszam, że kazałam panom czekać. Niestety, w pewnych sprawach nie obyło się bez mojej obecności – usłyszeliśmy głos milady.

Nagle znalazła się przy stole. Bezszelestnie wynurzyła się z ciemności, ogień świec skrzył się w jej brylantowych kolczykach i ożywił naszyjnik, który zdobił jej dekolt. Zwiewne szaty zamieniła na szeroką, fałdowaną suknię przechodzącą u góry w sznurowany gorset opinający niewiarygodnie cienki pas.

Jak jeden mąż zerwaliśmy się na równe nogi i złożyliśmy pokłon. Pani domu przyjęła hołd i zasiadła do stołu.

Po formalnej prezentacji służący zaczęli nakrywać do stołu. Upiór z wąsikiem nazywał się Morgan i pochodził z rodziny bogatych przedsiębiorców. Ludzkich przedsiębiorców. Menu było prawdopodobnie bardzo wyszukane, jednak nie czułem smaku pożywienia. Po wydarzeniach ostatnich dni byłem nieprawdopodobnie głodny i z trudem się hamowałem. Konwersację rejestrowałem jako szum, więcej mi mówiły same spojrzenia, które posyłała mi gospodyni. Kiedy wbiłem widelec w kawałek mięsa i obróciłem go w palcach, jak to miałem

w zwyczajach, przez jej usta przemknął uśmiech.

– A zatem chciałyby pani mieć w Praagu ambasadę – po obiedzie Morgan przeszedł do rzeczy, z kieliszkiem koniaku w dłoni i filiżanką kawy przed sobą.

Deffer wciąż sprawiał wrażenie nieobecnego, ale zorientowałem się, że jest zainteresowany całą tą sprawą. Milady z pewnością nawet jemu nie zdradzała wszystkich swoich planów.

– Nie – zaprzeczyła z uśmiechem. – Ambasadę upiórów. Jestem gotowa ponieść koszty realizacji tego projektu, ale nie musi być związany z moim imieniem.

Morgan napił się, zapominając o dystyngowanym przetrzymaniu i smakowaniu trunku w ustach. Można wręcz powiedzieć, że wlał w siebie zawartość kieliszka.

– Gdyby to się udało, byłaby pani pierwsza i miałaby monopol na oficjalne kontakty z ludźmi – wybełkotał.

Deffer tylko przytaknął.

– To przecież oczywiste. Autorką tej koncepcji jest nasza gospodyni, zatem właśnie ona powinna jak najwięcej zyskać. Proszę jednak nie zapominać, że, nazwijmy to, polityka międzyrasowa będzie realizowana za pana pośrednictwem. Dlatego ta oferta powinna być atrakcyjna również dla pana.

– A dlaczego pan sądzi, że się na to zgodzą? Dlaczego właśnie Praagu?

– Od czasów Sewastopolu minęło osiemdziesiąt lat, a ludzki umysł wypiera złe wspomnienia. Myślę, że o starych krzywdach już częściowo zapomniano – rzekła cicho milady. – A ludzie w Praagu zawsze wykazywali się większym zrozumieniem niż inni.

Sewastopol.

Zatrząsałem się wbrew własnej woli. Ta nazwa coś mi mówiła. Byłem tam?

– W bitwie o Sewastopol poległo ponad piętnaście milionów dusz – odparł Morgan beznamiętnym tonem. – Do dzisiaj są tam miejsca, gdzie nie rośnie nawet trawa. Ziemia została skażona na zawsze.

– W legendach i starych podaniach jest często dużo przesady, ale tym razem nie pozostaje mi nic innego, jak się z panem zgodzić – przytaknęła milady. – Niech pan jednak pozwoli, że sprecyzuję. W bitwie o Sewastopol zabito, zamęczono lub złożono w ofierze ponad piętnaście milionów mężczyzn, tyle samo kobiet i ponad dwa razy więcej dzieci.

Morgan przełknął ślinę. Nic nie powiedział.

– Byłam tam – dodała – ale jak już wspomniałam, minęło prawie osiemdziesiąt lat. Mało kto te czasy pamięta. Historie, które się dzisiaj opowiada, są mglistym wspomnieniem tego, co się tak naprawdę zdarzyło. Postaraliśmy się o to.

Nadstawiałem uszu, starając się przy tym wyglądać na jak najmniej zainteresowanego toczącą się rozmową.

– Czy pan także tam był? – Morgan zwrócił się do hrabiego.

– Nie – przyznał Deffer spokojnie. – Byłem w tym czasie w Japonii. Ukończenie

realizowanego od ponad tysiąca lat projektu uznałem za ważniejsze od wojny.

Morgan otarł pot z czoła. Nie miałem pojęcia, że upiory się pocą. Wiedziałem, co go tak poruszyło. Deffer pochodził jeszcze z czasów przed Krachem. Takich jak on nie zostało zbyt wielu.

– Unicestwiono wówczas także milion żołnierzy naszej armii. Polegli wszyscy dewowie – dokończyła w zamyśleniu. Jej wzrok spoczął na mnie.

Nie miałem pojęcia, co to spojrzenie może oznaczać.

– Co pan o tym sądzi? – wróciła do poprzedniego tematu. – Zapewniam odpowiedni budżet, specjalistów do pana dyspozycji. Na początku nie musiałby pan nawet zdradzać swojego rzeczywistego pochodzenia. Pozwoliłby pan, by sytuacja sama się rozwijała – nęciła go dalej.

– A własny personel? – zapytał szybko Morgan.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Chciał mieć przy sobie również swoich ludzi.

– Oczywiście – zgodziła się natychmiast milady. – Jeśli jest pan w stanie ich znaleźć, będę się tylko cieszyła. Wie pan, nawet kobieta z moją pozycją nie może jedynie rozkazywać, musi też żądać. Mam świadomość, że przekonanie najlepszych poddanych, żeby pracowali dla mnie w Praagu, na terytorium ludzi, nie będzie proste.

Kłamała. Nie rozkazywała tylko Defferowi, a jemu było wszystko jedno, czy wyślą go do Praagu, Nowego Jorku czy gdziekolwiek indziej. Przyzwyczyił się do tego.

– W takim razie doszliśmy do porozumienia – podsumował Morgan. – Jest pani genialna i pozbawiona skrupułów... proszę to potraktować jako komplement. Powinni się pani bać nawet niektórzy Panowie Demonów.

Sądząc po tym, jak spokojnie się zachowywał, nie zdawał sobie zbytnio sprawy, komu przyjdzie mu służyć. A czy ja sobie zdawałem? Miałem wrażenie, że gdzieś w środku, gdzie nie mogłem zajrzeć – tak.

– Panowie Demonów? – powtórzyła i zakręciła napojem w szklance. – Którzy z nich? Szatan, Hades, Belzebub, Lucyfer... Sądzę, że żaden z nich by się mnie nie bał – dokończyła z czarującym uśmiechem.

Morgan wciąż traktował to jak zwykłą towarzyską grę.

– Azazela na pewno by pani wystraszyła. Uciekł przed panią, milady – Deffer włączył się do konwersacji.

Morgan gapił się to na niego, to na nią. Nie wiedział, co hrabia chciał przez to powiedzieć.

– To prawda, Azazel rzeczywiście uciekł. Nigdy nie wiedział, jak się zachować wobec damy – stwierdziła milady, a do Morgana, upiora ludzkiego pochodzenia, w końcu dotarło, z kim zawarł spółkę.

Nie zbladł, raczej stracił kolor.

– A teraz ostatni smakołyk podczas dzisiejszej kolacji w przyjacielskim gronie. –

Klasnęła i w tym samym momencie rozległy się kroki czterech służących. Każdy z nich przyniósł na tacy srebrne naczynie. Tak jak w czasie obrzędu postawili je przed nami i czekali z dłońmi na pokrywce. Na błyszczącej powierzchni metalu dostrzegłem swoją zdeformowaną twarz – twarz potwora z obcym okiem, obcym ciałem i obcym mózgiem.

Milady klasnęła po raz drugi, służący podnieśli pokrywki. Z różowawego sosu, w którym pływały kwiaty kopru, spoglądały na nas ludzkie głowy – twarze powykrzywiane w grymasie, obcięte ciemiona, starannie obnażona kora mózgowa. Choć Morgan powstrzymał wymioty, byłem przekonany, że poznał twarz w naczyniu. Może należała do szpiega, który pracował dla niego w szeregach poddanych milady. Również Deffer patrzył na danie ze zdziwieniem, ale bez obrzydzenia.

– Nie spodziewałem się w nowoczesnym królestwie tak tradycyjnego i wykwintnego poczęstunku – powiedział z uznaniem i ruchem dłoni skierował ku sobie woń potrawy.

Trąciłem łyżką głowę w swoim naczyniu. Wargi wynurzyły się ponad powierzchnię sosu, zobaczyłem parę zębów jadowych. Zrozumiałem entuzjazm Deffera i przerażenie Morgana.

Teraz już na pewno nie miał wątpliwości, kim są jego wspólnicy.

Tym daniem oficjalnie zakończono kolację. Morgan powłókł się do gościnnego pokoju, Deffer pożegnał się z właściwą sobie staroświecką kurtuazją i zostałem sam z milady.

– Chodźmy się przejść – zaproponowała, czy też raczej rozkazała.

W jej przypadku wychodziło na to samo.

Na tarasie było ciemno i zimno. Nie wiedziałem, co powiedzieć, dlatego milczałem i w zamyśleniu podążałem za milady. Zatrzymała się nagle i bezszelestnie, jak to miała w zwyczaju. Dotknąłem jej. Ruchem, którego zbytnio nie przemyślałem, objąłem ją w pasie i przesunąłem dłoń bliżej bioder, łona, gdzie miała niewidzialną, ale wyczuwalną bliznę. Oparła się o mnie i pochyliła głowę. Jej brylantowy kolczyk podrapał mnie w twarz.

– Niewiele pamiętasz, prawda? – odezwała się ochryple.

Delikatnie ugryzłem milady w ucho. Przycisnęła się do mnie z niebywałą siłą.

Wziąłem ją na rękę.

– Idź prosto przed siebie – rozkazała. – Na końcu korytarza są drzwi do moich pokojów. Zamknięte – zaśmiała się i wpiła w moje usta żarliwym pocałunkiem.

Poczułem własną krew. Pieściłem ją w ten sam sposób, póki przy trzasku drewna i szczęku żelaza nie dotarłem aż do sypialni i położyłem milady na łóżku.

Szukałem dłońią kokard sznurujących gorset. Obserwowała mnie rozbawiona, ale oczy miała zamglone, a jej język błędził po ustach. Przestałem się kontrolować. Chciałem tego, bez względu na konsekwencje. Wstążka gorsetu wymykała mi się, przepadała wśród haftów i drogich kamieni, sięgnąłem więc po scyzoryk, który leżał na nocnym stoliku. Milady zasyczała niecierpliwie. Przyłożyłem ostrze do jej dekoltu. Dotyk stali sprawił, że zadrżała i przyciągnęła mnie do siebie. Przylepiony do niej zacząłem ciąć, w końcu poczułem dotyk jej nagle gorącego ciała. Nosila tylko jedną halkę, to czary nadawały sukni kształt. W końcu

leżała pode mną w pończochach, jej łono zakrywał koronkowy kwiat, którego płatki zdobiły również podwiązki. Tym razem założyła stanik. Satyna i koronka zmieniały zarys brodawek w lubieżną obietnicę.

Marzyłem o tym, żeby ścisnąć ten nieludzko cienki pas, rozszarpać go dłońmi, przycisnąć do siebie z taką siłą, żeby krzyczała, i dopiero potem w nią wejść, utopić ją we własnej ekstazie. A kiedy z niespodziewaną lekkością wymknęła mi się z objęć, zrozumiałem, że między myślą a działaniem nie ma granicy. Milady próbowała uciec, ale nie pozwoliłem na to. Przewróciłem ją na plecy, uniosłem za biodra, zmuszając, by rozsunęła uda, i znowu zanurzyłem się w gorącym źródle jej łona.

Już nie uciekała. Nie miałem pojęcia, które z nas krzyknęło pierwsze.

– Pod poduszką – wyszeptała.

Zanim zdążyłem dojść do siebie po orgazmie, odwróciła się na drugą stronę, chwyciła mój członek i jednocześnie wzięła go do ust. Zamknąłem oczy. Wiodła mnie na szczyt coraz szybciej i szybciej, lecz w odpowiednim momencie zacisnęła dłoń, nie dopuszczając do wytrysku. Potem ścisnęła go jeszcze mocniej. Krzyknąłem z bólu, zrzuciłem ją z siebie i sięgnąłem pod poduszkę – nagle wiedziałem, co tam znajdę. Długi na dziesięć metrów, gruby konopny powróż. Opierała się, ale związałem jej kostki, sam nawet nie wiem jak, potem ręce i w końcu skrepowałem ją w coś na kształt paczuszki, eksponując odpowiednie otwory ciała.

Wciąż miała idealnie umalowane usta. W jej szeroko otwartych oczach lśniły ogromne źrenice.

– Pod łóżkiem – syknęła.

Bez namysłu wyciągnąłem wykładaną kasetkę. Jednocześnie przełożyłem milady na plecy i dłonią masowałem jej łono. Stęknęła, próbowała się wygiąć, ale pęta na to nie pozwalały. Wetknąłem jej członek do ust. W nieregularny rytm naszych oddechów wmieszało się trzeszczenie konopnego powrozu. Kasetka sama się otworzyła, zobaczyłem mnóstwo fallusów wykonanych z najróżniejszych materiałów, od kości słoniowej aż do kamieni półszlachetnych. Przestałem ją drażnić. Jadownicie i wściekle zasyczała, włożyłem jej do pochwy jeden z eksponatów. Napięty do granic możliwości sznur zatrzęszczał, kiedy naprężyła się w ekstazie, jednocześnie mocniej zacisnęła usta na moim penisie. Już prawie nie panowałem nad sobą, drugiego fallusa wepchnąłem jej w odbyt i wtedy zorientowałem się, że obydwie wibrują.

Zajęczała, jej język zrobił się szorstki. Krzyknąłem z rozkoszy i bólu, czułem, jak zęby jadowe wbijają się w mój członek. Ekstaza pomieszana z cierpieniem pozbawiła mnie wszystkich sił, padłem na łóżko obok milady.

Kiedy doszedłem do siebie, leżeliśmy w pościeli, a dookoła poniewierały się strzępy liny. Byłem wyczerpany i zaspokojony. Ukryta we mnie bestia ledwo zipała, skorupa, która nas dzieliła, stała się nagle cienka jak bańka mydlana. Nie przeszkadzało mi to. Poglaskałem Serenę po biodrze i podniosłem się niczym w transie.

Imię wynurzyło się bóg wie skąd. Wiedziałem, że jest właściwe, bez względu na to, jak nazywała się teraz. W ciemnościach potknąłem się o kamiennego fallusa. Położyłem go na łóżku – już nie wibrował. Ani teraz, ani wcześniej nie zauważyłem w nim żadnego mechanizmu. Uczucie zamroczenia nie mijało – ciągle jeszcze kręciło mi się w głowie. Możliwe, że to przez ukąszenie. Nie wiadomo, co jad upiora może spowodować w moim zmodyfikowanym ciele. Napilem się wina z karafki i pomału podążałem w stronę biblioteki. Wiedziałem, że ją tam znajdę. Serena zawsze miała bibliotekę w pobliżu sypialni.

W końcu stanąłem przed półkami pełnymi książek, sięgały aż po sufit. Oko pokazywało mi je w fałszywych barwach, w zależności od ich treści. Najwięcej było czarnych i czerwonych aur, dostrzegłem kilka jadowicie fioletowych albo ciemnoniebieskich. Tylko jeden wolumin lśnił oślepiającą bielą przepalającą mózg. Sięgnąłem po niego i nie patrząc nawet na tytuł, otworzyłem przypadkowo na jakiejś dwustronicowej ilustracji. U bram miasta, przed naprędce poustawianymi barykadami ze starych maszyn, worków z piaskiem i kamieni, stał samotny mężczyzna, a z naprzeciwka nadciągały siły ciemności. Starzy bogowie, potwory, demony, upiory, dewowie, widma, nieskończony pochód śmierci. Mężczyzna był pochylony, jakby chciał się jeszcze bardziej przeciwstawić zagładzie. Niczym udreńczony promień światła emanowała z niego aura, której intensywność symbolizowała jego siłę, moc. Znałem to miasto, kiedyś tam byłem. Nazywało się Sewastopol.

Dotknąłem ilustracji, a potem zamknąłem książkę, zanim jeszcze poczułem na ramieniu dłoń milady.

– Pokaż. – Popatrzyła, co trzymam. – Na wszystkich, którzy tam byliśmy, to miejsce odcisnęło swoje piętno. Nadal nęci nas i nęci. Bitwa, której już nie będzie, ołtarz zagłady.

Nie wiadomo czemu te słowa poruszyły mnie, ją zresztą też. Nagle wbiła mi paznokcie w skórę, na szyi poczułem jej język.

Wzruszenie i jad upiorów przyćmiewały wszystkie zmysły. Jeszcze nie dostałem wszystkiego, czego chciałem, do całkowitego zaspokojenia ciągle mi czegoś brakowało.

– Te fallusy... jak one działają? – zapytałem, kiedy zmierzaliśmy powoli objęci w stronę łóżka.

– Są w nich dusze, dusze mnichów. Wiedzą, co się z nimi dzieje, dlatego tak się trzęsą – zachichotała.

Wybuchnąłem śmiechem. To była Serena, jaką – znałem?

– Potrzebujemy czegoś więcej. Poczekaj... Mam ochotę na coś, na co już dawno się cieszyłam. Dzisiaj będzie w sam raz – mamrotała.

Nadzy wyszliśmy z sypialni i opuszczonymi korytarzami udaliśmy się do zamkowych katakumb. Strażnicy, których spotkaliśmy, mieli szkliste oczy i bardziej przypominali posągi od dawna martwych ludzi albo upiorów. Drewniane, żelazne drzwi, ściany z krat otwierały się przed nami, jakby stare automatyczne systemy nadal działały, ale nie miało to nic wspólnego z technologią.

W końcu zatrzymaliśmy się przed kamienną ścianą – dalej nie było przejścia. Serena spojrzała na nią ukradkiem i jednocześnie otarła się o mnie całym ciałem, od łydek przez uda i biodra aż do ramion. Na przemian studziła i rozgrzewała. Chuć zawładnęła mną w jednej chwili, z narastającym napięciem błdziłem rękami po jej ciele. Ciągłe było mi mało. Kiedy już zdecydowałem się powalić ją na brudną podłogę z nieociosanych kamieni i ubitego błota, ściana przed nami rozstała się i ukazała ciemne gotyckie przejście. W tej samej chwili usłyszeliśmy ciche westchnienie. Westchnienie rezygnacji. Milady zadrżała, ja również. Stwardniałe brodawki, którymi się o mnie ocierała, nagle zaczęły parzyć. Chciałem tego natychmiast, ale milady pociągnęła mnie za sobą. Nie stawiałem oporu. Idąc za nią, wsłuchiwałem się w koncert jej kołyszących się pośladków i ud niknących w coraz głębszych ciemnościach lochu.

– Tutaj ją dla nas schowałam. – Przystanąła w mroku.

Po chwili pstryknęła palcami. Wzdłuż ścian zapłonęły długie jak ludzka noga świece. Za ścianą z żelaznych krat, spleciona, z rękami związanymi wysoko nad głową, stała Valena. Nie zdołała uciec, przeszło mi przez myśl, a potem czułem już tylko jej bezsilność i – podniecenie. Serena łaskawie pozwoliła zostawić jej tylko króciutką koszulkę, kończącą się tuż nad łonem. Za każdym razem, kiedy dziewczyna się poruszyła, odsłaniała coraz więcej. To chyba królowa upiorów kazała założyć jej tę koszulkę.

– Podoba ci się, prawda? Mnie również – Serena w zasadzie już nie mówiła, tylko charczała niczym wielki drapieżnik.

Wbrew własnej woli przytaknąłem.

– Wszystko przygotowano jak za starych czasów. Dawno już tutaj nie byłam. – Wskazała przeciwną stronę komnaty.

Zobaczyłem stół zastawiony zakurzonymi karafkami z winem i likierem oraz budzące z powodu kontrastu grozę akcesoria z czarnego żelaza i błyszczącej stali. Całości dopełniały bicz i różgi rozwieszane po ścianach, powrozy, sznury i inne pomysłowe zabaweczki. Nikt mi nie musiał tłumaczyć, do czego to służy – do zadawania cierpienia i czerpania z niego rozkoszy.

Świat zakręcił się jakby trochę szybciej. Sięgnąłem po karafkę, napelniłem dwa puchary i podałem jeden Serenie. Tylko tych przedmiotów nie pokrywał kurz.

Zanim zdążyłem wypić swoje wino, milady zaczęła mnie całować. Przycisnęła mnie do ściany, zapach jej podniecenia zmieszał się z ciężkim aromatem trunku, tworząc zabójczy koktajl. Chwyciłem ją za pierś, jęknęła, uwiesiła się na mnie i objęła udami. Ściągnąłem jeden bicz i smagnałem po jej pośladkach. Krzyknęła, wygięła się, tym samym otwierając drogę do swojego wnętrza, a ja natychmiast w nią wniknąłem. Uderzyłem po raz drugi.

– Dogodzimy sobie już dzisiaj? Czy jeszcze trochę poczekamy? – wyrzucała z siebie słowa coraz szybciej, podczas gdy mój członek wbijał się w nią coraz szybciej, coraz głębiej. Jedną ręką ugniatałem pierś milady, drugą bez przerwy wprawiałem jej ciało w coraz szybszy,

rytmicznie falujący ruch.

– Mam rękawice zakończone ostrzami. Czar nie działa na naturalne organizmy. Chcesz jedną? – jęczała, mruzczała i stękała.

– Chcę. – Przytrzymałem ją, kiedy szczytowała.

Gdzieś z daleka dobiegł mnie przerażający krzyk Valeny.

Brzmiał wspaniale. Wiedziałem, że jeśli natychmiast nie zamilknie, wykorzystam ją i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

– Rękawica – rozkazałem i smagnałem Serenę jeszcze mocniej niż przed chwilą i jednocześnie nadziałem ją na członek. Zaskowyczała i wyciągnęła skądś aksamitną rękawicę z trzema błyszczącymi ostrzami, na przemian wyłaniającymi się z niegroźnie i niepozornie wyglądającego materiału. Nałożyłem ją i delikatnie pogładziłem Serenę po twarzy. Biała cera spływała czerwieńią krwi. Milady zacisnęła uda jeszcze mocniej i wgryzła się w moją szyję. Odwróciłem się, przycisnąłem jej ciało do szorstkiej ściany. Zanim skułem ją kajdankami, dała mi do rozwiązania łamigłówkę w postaci elastycznego języka.

– Zajmiemy się nią dopiero za chwilę, teraz załóż to. – Uległość ulotniła się nagle pod wpływem drapieżnej części jej osobowości.

Usłuchałem, niemal z szaleńczą lubością dosiadła mnie z krzykiem, w którym ból mieszał się z rozkoszą w stosunku jeden do jednego. Czułem to samo, cierpienie i żądza, absolutne zaspokojenie.

Jakimś sposobem narzuciła mi pętlę na szyję i stopniowo, kawałek po kawałku, zaczęła zaciskać. Poruszałem się w niej jak dobrze naoliwiony tłok, ale drażniła mnie coraz bardziej i utrudniała mi wytrysk.

– Zajmijmy się nią – westchnęła. – Teraz. Natychmiast.

Nie przestawałem jednak, a ona szybko o tym zapomniała. W końcu narastające we mnie podniecenie rozsadziło wszelkie bezpieczniki.

Orgazm mnie znokoutował. Osunąłem się na kolana, mając czarne plamy przed oczyma. Głowę oparłem o łono milady. Wszystko było we krwi. Ściana, ziemia, moja twarz, ręce. Mój członek przypominał miecz po bitwie. Trochę krwi zostało też w Serenie. Już przestała falować, nawet nie wyglądała jak królowa upiorów. Wiedziałem, że wystarczy już tylko jeden, ostatni krok i będzie po wszystkim.

Wstałem, lekko się zataczając. Na stole między karafkami znalazłem klucz do klatki, w której siedziała Valena, i odemknąłem ją. Związane ciało wisiało bezwładnie, bez świadomości. Dziewczyna nie mogła patrzeć na te igraszki. Wyszło jej to na dobre. Niczym bezduszna maszyna, napędzana nakręcanym mechanizmem sprężynowym, zaniósłem ją do swojego pokoju, ubrałem się i z nieznanych sobie powodów wyrwałem z żarzącej się bielą książki ilustrację przedstawiającą bitwę o Sewastopol. Delikatnie, jakby od tego zależało moje życie, złożyłem ją i schowałem do kieszeni na piersiach. Potem znowu wziąłem Valenę na ręce, po czym tak szybko, jak tylko się dało, niewidziany i niesłyszany przez nikogo

opuściłem pokój. Nikt nie strzegł korytarzy. Wyglądało na to, że w czasie gdy władczyni oddaje się uciechom, poddani wolą się gdzieś ukryć.

Władczyni – Serena. Zacząłem płakać. Nie ludzkim okiem, tym drugim. Miałem ochotę ściągnąć rękawicę i oderznąć sobie głowę Kleszczami. Pragnąłem tego, pragnąłem umrzeć, w nosie ciągle czułem woń jej łona zmieszaną z zapachem krwi i innymi tak apetycznymi zapachami różnych wydzielin. Chciałem się zatrzymać, dokończyć to, co zacząłem, ale zamiast tego szedłem przed siebie, niosąc dziewczynę, której nie znałem i na której w ogóle mi nie zależało. Znałem Serenę, bardzo dobrze znałem – to była... nagle znowu tego nie wiedziałem. Demoniczna część mojej osobowości znowu została oddzielona od świata, na początku cienką, ale stopniowo coraz solidniejszą barierą; magiczne zamki trzymające ją w głębinach zamykały się jeden za drugim, w miarę jak odległość dzieląca mnie od upiornego zamku rosła.

Zorientowałem się, że biegnę – nie wiedziałem dokąd. Opamiętałem się, kiedy zaczęło świtać. Schowałem się z Valeną w krzakach, w miejscu, w którym przed chwilą odpoczywały łanie, i zamknąłem oczy.

Padało. Jak zwykle w tym zapomnianym przez bogów kraju. Valena tuliła się do mnie, ale i tak trzęsła się z zimna. Kiedy wyczuła, że się obudziłem, spojrzała na mnie.

– Zabiłem ją – oznajmiłem beznamiętnie.

Demon we mnie buntował się, gotował, próbował wydostać na zewnątrz. Zaspokoilem jednak jego żądze tak, jak nigdy dotąd, a to go całkowicie pozbawiało sił.

– Zamęczyłem ją i w końcu rozszarpałem własnymi rękami. – Podniosłem dłonie i pokazałem paznokcie czarne od zakrzepłej krwi.

– Tak – powiedziała cicho. Nie spuszczała ze mnie wzroku. – Pan ją znał, kiedyś byliście sobie... – zastanowiła się nad odpowiednim słowem – bliscy?

– Tak, chyba tak. Na pewno. Ale ja już tego nie pamiętam. Zamęczyłem ją... – bełkotałem na wpół świadomy.

– ...żeby nie zamęczyć mnie – dokończyła.

Kilka ciężkich kropel spadło z drzewa i rozbiło się na moim ciele, wrywając mnie z transu. Odzyskałem zdolność koncentracji, zmysły nagle zaczęły lepiej pracować. Właściwie to zacząłem im poświęcać więcej uwagi – z oddali niósł się stukot kopyt na kamieniach i krzyki.

– Wszystko na nic. I tak nas złapią. Hrabiego Deffera nie da się przechytryć. Nie uciekniemy mu.

– Niech mnie pan tu zostawi – zaproponowała.

– Żeby wszystko poszło na marne? – skrzywiłem się. – Umrzemy razem.

Jakie to romantyczne – piękna i bestia, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. W mrocznych podziemiach zamku po kilku godzinach pracy wykwalifikowanego kata oboje będziemy zwierzętami. Albo czymś jeszcze gorszym, jeśli kat okaże się dobry.

– Będę się modlić – starała się wykrzesać chociaż iskrę nadziei.

– Do kogo? – zaśmiałem się.

Dźwięki zbliżały się coraz bardziej, po plecach chodziły mi dobrze znane mroźne ciarki. Upiory były już blisko.

– Richard miał w domu figurkę mężczyzny z mieczem i jelenim porożem na głowie. Mówił, że to bóg myśliwych. Dzięki niemu nigdy nie wracał z lasu z pustymi rękoma. – Na wspomnienie przyjaciela jej oczy się zaszkliły.

– Bogowie myśliwych – zaśmiałem się szorstko. – Nawet nie wiedziałem, że jeszcze istnieją. Starzy, mali, zapomniani. Nie wybrałaś zbyt dobrze.

Zamilkłem. Chciałem, żeby mnie znaleźli i zabili. Nie chciałem jednak, żeby zabili Valenę. Bałem się, myśląc, jak długo mogłoby to trwać. Zresztą to i tak wszystko jedno.

Słyszałem konie, kilka koni, stłumione komendy, rozmowy mężczyzn.

– Tutaj już ich nie znajdziemy. Jesteśmy prawie sześćdziesiąt kilometrów od zamku, zajechaliśmy kilka koni – mówił ktoś.

– On potrafi więcej, niż wydaje wam się możliwe. I jest z nim ta dziewczyna – odezwał się znajomy głos. Na chwilę sparaliżował mnie mróz.

Mój kręgosłup zmienił się w sopel, który w każdej chwili mógł pęknąć.

W słowach hrabiego Deffera skrywała się moc. I złość. Z pewnością na swój sposób kochał Serenę.

– Dajmy już temu spokój – do rozmowy wmieszał się słaby, ledwo słyszalny żeński głos.

– Wracajmy, nikt nie strzeże zamku.

– Nawet sam dam radę go odnaleźć – odpowiedział Deffer. – I dostarczyć pani żywego.

Znowu zeszywniałem. Naprawdę by dał.

– Jedziemy z powrotem! – rozkazała.

Dopiero teraz ją poznałem. Władczy ton z pewnością kosztował ją wiele wysiłku.

– O mało pani nie zabił, milady – Deffer podjął jeszcze jedną próbę. Moje serce na moment przestało bić.

Jedno z dwóch, które w sobie miałem.

– Nie – nie dała się przekonać. – R. C. potrafi zabijać. Jest w tym doskonały i wie również, jak uśmiercić takich jak ja czy pan. Nie zabił mnie, choć wiedział, że będziemy go prześladować. A także... podarował mi najpiękniejszą noc w moim życiu, hrabio. O tym się nie zapomina. Wracamy. Potrzebuję pana pomocy. Czuję się prawie martwa.

Dźwięki oddalały się, aż wreszcie zostaliśmy z Valeną sami. Słyszać było tylko monotonny szum padającego deszczu.

– Kim pan właściwie jest? – Popatrzyła na mnie.

Dziwne, nie widziałem na jej twarzy strachu. Ani w oczach, ani w drzeniu ciała czy w aurze.

– Nie mam pojęcia. R. C. to wszystko, co o sobie wiem.

Wracały mi siły i zdecydowanie. Z każdą chwilą coraz wyraźniej i intensywniej czułem demona wewnątrz siebie. Jakby wydarzenia ostatnich dwóch dni w jakiś sposób osłabiły albo przynajmniej uczyniły przejrzystymi drzwi, które nas od siebie dzieliły. Teraz zaczął cicho mrużyć, wciąż jednak był słaby. Obawiałem się, że z biegiem czasu dowiem się o nim dużo więcej i na swój sposób byłem tego ciekawy. Nikt nie lubi mieć obcego podnajemcy we własnej głowie.

– Jest pan bardzo dobrym człowiekiem – powiedziała cicho Valena. – To znaczy... musiał pan być kiedyś bardzo dobrym człowiekiem, a teraz jest pan bardzo dobrą i łaskawą istotą – poprawiła.

Po tym, co ją spotkało, wciąż była w szoku, dlatego miała problemy z myśleniem. Nie skomentowałem jej słów. Ja – dobra i łaskawa istota – podniosłem śrutówkę ze spiłowaną lufą, załadowaną nabojami, które z odległości trzech metrów przepołowiłyby kodiaka jaskiniowego, na drugie ramię ja – dobra i łaskawa istota – zarzuciłem Greysona, czterdziestomilimetrowy miotacz granatów, a potem ruszyłem w drogę.

– Chodźmy. Odprowadzę cię do domu.

Na pewno było nam po drodze.

Chciałem sprawdzić, kim naprawdę jestem, kto zrobił ze mnie tę dziwną szaradę i co za monstrum siedzi w mojej głowie. Zdeterminowanie, by rozliczyć się z przeszłością, zamieniało się w granitowy blok wbijający się do mózgu. Póki się tego nie dowiem – rękojeść Margaret i kolba Greysona nagle się rozgrzały, Kleszcze zadrżały, chcąc wydostać się z rękawicy – na pewno nikt więcej nie weźmie mnie za dobrą i łaskawą istotę.

* * *

Odprowadziłem Valenę tylko do połowy drogi. Tam spotkaliśmy się z Richardem. Choć byłem ostrożny, on pierwszy nas zobaczył. Za pas miał wetkniętą schiavonę, na plecach karabin maszynowy, którego magazynek pachniał srebrem, w dłoni trzymał archaiczny oszczep z kamiennym grotem. Najwyraźniej zmierzał w stronę zamku. Kiedy tych dwoje się objęło, odwróciłem wzrok. To nie był widok dla mnie, co więcej – ja obejmuję nieco inaczej, a nie chciałem budzić znów tego pragnienia. Nie tutaj, nie teraz.

Pożegnałem się z nimi natychmiast, pewien, że nigdy nie skorzystam z propozycji odwiedzenia ich w Kosterlitz. Wiedziałem dlaczego. Powiedzieliśmy sobie „z bogiem” i każdy ruszył w swoją stronę. Po kilku krokach odwróciłem się, żeby zobaczyć, jak Richard maskuje swoje ślady. Wydawał się większy niż wcześniej, a nad jego głową rozpoznałem niewyraźny kontur jeleniego poroża.

JABŁONKÓW – ZNAJDŹ SOBIE OBRONCĘ I STRZEŻ SIĘ

Już dawno zostawiłem za sobą Bratysławę, Malacky. Przez ostatnie dni przemierzałem ziemię niczyją w kierunku północno-wschodnim. Unikałem ludzi, którzy zamieszkiwali tę krainę, żeby zostawić jak najmniej śladów – w razie gdyby milady czy raczej hrabia Deffer zmienili zdanie i zaczęli mnie szukać. Nie dowiedziałem się niczego o tajemniczym R. C. W jedyńych jak okiem sięgnąć miastach mieszkali ludzie, którzy niezbyt chcieli ze mną rozmawiać. Miałem nadzieję, że uda mi się znaleźć w starej prasie coś więcej na temat wydarzeń sprzed osiemdziesięciu lat. Niestety, z bratysławskiego centrum nie zostało prawie nic. Nie znalazłem nawet miejsca, w którym stał niegdyś ratusz z księgami metrykalnymi albo biblioteka. W dodatku tubylcy używali papieru najwyżej jako podpałki. Musiałem jechać dalej, bardziej na północ.

Przede mną otwierała się szeroka na kilka kilometrów kotlina, od wschodu i zachodu odgródzona górami. Przyjechałem z południa przez przełęcz biegnącą nieopodal opuszczonej osady, która nazywała się, jak informowała zardzewiała tablica, Mosty koło Jabłonkowa. Ostrożnie minęliśmy padlinę praleśnego olbrzyma. Micuma zatrzymała się, dając mi ostatnią szansę wyboru, którą drogą chciałbym kontynuować naszą podróż. Dwieście metrów dalej po prawej stronie przebiegała asfaltowa autostrada. Kusila komfortem jazdy, tylko że jakiś czas temu przeszło po niej coś, co zostawiło na pierwotnie gładkiej nawierzchni ślady głębokie niemal na metr i trzykrotnie dłuższe niż przeciętnego wzrostu dorosły człowiek. Ich brzegi były spalone – autostradą mógł kroczyć jeden z ognistych demonów. Od tego czasu minęło już z dziesięć lat, dlatego właśnie niepokoiło mnie, że w dziurach nic nie rośnie. Nie leżały w nich nawet żadne śmieci, liście czy kamienie, jakby po przejściu potwora zostało tam coś niewidzialnego. I z pewnością szkodliwego dla zdrowia.

* * *

Wybrałem więc drugą drogę, wijącą się po zboczach gór, nieustannie wznoszącą się i

opadającą. Czas, we współpracy z wodą i lodem, już dawno zerwał utwardzoną nawierzchnię, zostawiając jedynie ubite kamienie, po których spływały niezliczone potoki. Zmusiłem Micumę, by przyspieszyła kroku. Odwróciła się, spojrzała na mnie z wyrzutem, lecz posłusznie ruszyła dalej. Po dwóch godzinach ciężka droga odwdzięczyła nam się pięknym widokiem. Na północnym wschodzie leżało jakieś miasto. Miałem nadzieję, że to Trzyniec. Według ludzi, z którymi rozmawiałem, było to wielkie przemysłowe miasto, gdzie łatwo o każdą pracę. Przez chwilę stałem i w zamyśleniu patrzyłem na dół. Nie, to nie Trzyniec. Miasteczko było zbyt małe, poza tym w Trzyńcu działały huty, a nigdzie nie widziałem żadnego smogu, nieodzownego towarzysza techniki i przemysłu. Sięgnąłem do bocznej sakwy i wyciągnąłem mapę. Nie była zbyt dokładna. Przedstawiała świat przed Krachem, ale zaznaczono na niej Mosty koło Jabłonkowa, drogę, z której zrezygnowałem, a nawet linię kolejową. Nie przekraczałem jednak żadnych torów. Być może kilka lat po Krachu padły łupem złomiarzy. Po krótkiej analizie mapy stwierdziłem, że miasteczko przede mną to Jabłonków. Dlaczego nie, może kiedyś wiodło się tu dobrze nawet jabłoniom; kiedyś, kiedy klimat należał do cieplejszych.

Im dłużej obserwowałem tę krainę, tym gorsza była widoczność, jakby w powietrzu unosił się jakiś opar. Potem uświadomiłem sobie, że mgłę widzę tylko Okiem. Po długim okresie współpracy zbuntowało się i pokazywało mi coś, co w rzeczywistości nie istniało. A może przeciwnie? Może usiłowało pokazać coś, czego zwykły śmiertelnik nie ma szans zobaczyć? I co może go zabić, a czasami zmetamorfizować. Sięgnąłem do drugiej sakwy i wyciągnąłem urządzenie Zeissa. Już dawno przestałem nazywać je lornetką, służyło do czegoś zupełnie innego. Przyłożyłem je do oczu, czekając, aż demon posili się kawałkiem mojego ciała i skoncentruje. Opar nad Jabłonkowem pozostał, zyskał chaotyczną strukturę, jakby był nośnikiem mocy, fizycznej lub innej. Poruszał się, modyfikował swój kształt, starając się wspiać na zalesione góry. Przeszkadzała mu w tym jednak rozczłonkowana, wysoka na kilkadziesiąt metrów ściana migających cząsteczek, prawdopodobnie prochu. Nawet Oko nie mogło tego objąć. Syknąłem – demon nadgryzł mnie po raz drugi, patrzyłem już zbyt długo. To, co widziałem, wyglądało jak walka oparu ze ścianą, bój o strefę wpływów. Straciłem całkiem ochotę, by zjechać do miasteczka, tylko że wszyscy muszą się czymś żywić, nawet ja. Poza tym po starciu z upiorami i przeprawie przez dżunglę w okolicach Dunaju potrzebowałem uzupełnić amunicję lub, jeśli to możliwe, zdobyć jeszcze skuteczniejszą. Choć zbliżałem się do cywilizacji, kraina wokół była bardziej dzika i niebezpieczna, niż się tego spodziewałem.

Znowu ruszyłem przed siebie, trzymając się z dala od asfaltu, mimo że musiałem przez to nadłożyć trochę drogi. Chwilami jechałem pośród drzew, chwilami przez świeże poręby. Wydawało się, że miejscowi pragnęli odepchnąć las jak najdalej od swoich posiadłości. A może walczyli z takim zacięciem o każdy kawałek roli – powierzchnia kotliny była jednak na tyle duża, że nawet na mniej urodzajnej glebie dało się wyhodować tyle ziemniaków i zboża,

by wystarczyło dla wszystkich.

Droga od dłuższego czasu wznosiła się ku górze, miejscami zwięzając. Po niekończącej się wspinaczce zaczęła wreszcie opadać w dół. Raptem kilka metrów za szczytem odbijała od niej odnoga – karkołomna ścieżynka przez las. Zawahałem się. Nie wyglądało na to, żeby ktoś ostatnio tędy wędrował. Leżały na niej połamane gałęzie i kamień ze stoku. W powietrzu unosił się zapach starego pożaru. Zostawiłem Micumę i z Margaret w kaburze zacząłem się wdrapywać. Po niecałych stu metrach dotarłem do spaleniska. To był stary dom, chata z bali postawiona na wysokich kamiennych fundamentach. Z drewnianej konstrukcji zostało jedynie trochę popiołu, fundamenty częściowo rozebrano. W jaworze, który stał tak blisko domu, że spłonęły jego gałęzie, była wycięta spirala, pomalowana na czerwono dla spotęgowania wrażenia. Przejechałem opuszkami palców po szorstkiej powierzchni i oblizałem je. Krew. Znalazłem jeszcze pusty chlew i zapuszczone ziemniaczane poletko za domem. Już chciałem wracać, kiedy trochę wyżej na pniu jednego ze świerków dostrzegłem coś białego – ludzką głowę przybitą do drzewa wielkim gwoździem. Z bliska jej człowieczeństwo budziło już wątpliwości. Gwóźdź wbito w kość czołową tak, że jego główka przypominała trzecie oko. Czaszka wydawała się większa niż u zwykłego człowieka, ale nie dostrzegłem więcej szczegółów. Z twarzy została mniej więcej połowa, rozkład zmył z niej rysy. Odetchnąłem głęboko. Nie próbowałem rozpoznać zapachów. Szukałem atmosfery tego miejsca, emocji, które mogły się jeszcze gdzieś unosić.

Martwy mieszkał w tym domu. Nie umarł od razu, zafundowano mu długie cierpienia. Stojąc pod drzewem i patrząc w stronę lasu, nie miał nadziei, że przeżyje – miał nadzieję, że zostanie pomszczony. Niczego więcej się nie dowiedziałem.

Odwrociłem się i przy ruinach domu zobaczyłem Micumę. Przeglądała zgliszcza, ze skupieniem obwąchiwała spiralę wyciętą w jaworze.

– Trafiłaś na coś ciekawego? – zapytałem.

Gdybym znalazł aparat artykulacyjny albo inny wypróbowany mechanizm do porozumiewania się, od razu zainstalowałbym go w Micumie. Z każdym dniem nabierałem coraz większego przekonania, że analityczny chip i sztuczna struktura nerwowa, którą inżynierowie Mitsubishi umieścili w jej mózgu, są dużo lepsze i dużo bardziej złożone, niż swego czasu przypuszczałem. Nawet bez głosu potrafiła przekazać mi istotne informacje.

– Kaleka. Żył na odludziu, żeby za bardzo się nie wychylać. Ale i tak nie podobał się kilku ludziom. Przyszli w nocy, podpalili strzeżę, a jego zabili – powiedziałem głośno.

Popatrzyła, jakby mi brakowało piątej klepki.

– Wiem, czaszka na drzewie, wiadomość zostawiona dla kogoś, spirala... – Wzruszyłem ramionami. – Zostawmy to i jedźmy.

Z punktu widzenia ludzi też byłem kaleką, może nawet mutantem albo czymś jeszcze gorszym, pozszywańcem. Lecz w przeciwieństwie do trójkiego faceta, który teraz patrzył na górę, trudno było mnie zabić. Bardzo trudno. Dotąd nikomu się to nie udało.

Po kolejnych trzech kilometrach, chcąc nie chcąc, musiałem zjechać ze ścieżki, a potem w dół zboczem i między polami. Większość została już zaorana przed zimą. Zauważyłem mężczyznę z końskim i bydłym zaprzęgiem. Nikt na mnie nie spojrzał więcej niż raz, ale im bardziej zbliżałem się do miasteczka, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że wiedzą o mnie i że powitają mnie nieprzyjazne uśmiechy. Może mieli krótkofalówki albo telefony komórkowe, może używali łączy telepatycznych. Nigdy nic nie wiadomo.

Na skrzyżowaniu, gdzie w końcu wjechałem na całkiem przyzwoicie utrzymanym asfalcie, czekało na mnie pięciu mężczyzn. Dwóch z nich trzymało rewolwery, jeden myśliwską strzelbę, inny granat, a ostatni pistolet maszynowy. Jak na członków komitetu powitalnego rekrutowanych z chłopów pracujących w polu, byli całkiem niezłe uzbrojeni.

– Nie chcemy tu takich jak ty – odezwał się właściciel największej spluwy.

Ich twarze były spalone słońcem i wychłostane wiatrem, zmarszczki zmieniały je w pełne nienawiści maski.

Położyłem ręce na udach, Margaret już czekała w pełnej gotowości, wręcz dygotała ządą wystrzelenia. A może to ja byłem roztrzęsiony? Obie strony mojej osobowości w harmonijnej zgodzie?

– A wam się pewnie wydaje, że się wystraszę tych waszych zabaweczek, co?

Mój głos brzmiał paskudnie; jadowniczo i paskudnie, pobrzmiwała w nim agresja. Ostatnio wciąż skądś uciekałem, przeszłość przeciekała mi między palcami, nie miałem więc dobrego humoru. A ten martwy chłopina na górze popsuł mi go jeszcze bardziej, bóg raczej wie dlaczego.

– Z tego rewolweru zastrzeliłem niedźwiedzia. – Mężczyzna pokazał nierdzewną czterdziestkęczwórkę. – Wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Ostatnie zdanie przemknęło przez moją pamięć jak impuls czegoś dobrze znanego. Już to kiedyś słyszałem, dawno temu, i to wiele, wiele razy.

Zeskoczyłem z konia i stanąłem przed nimi. Instynktownie cofnęli się o krok, potem uświadomili sobie, że ich jest pięciu, a ja sam, w dodatku wszyscy we mnie celują. Margaret znowu spoczywała w kaburze, choć nie pamiętałem, żebym ją tam wetknął. Mężczyzna z rewolwerem przytknął mi lufę do brzucha. Nabój śmierdział mocą, której nie rozpoznawałem, ale byłem pewien, że rozszarpałby wnętrzności bardziej niż wystrzał z mózdzierza.

Spust drgnął, Oko pokazało mi to precyzyjnie w niemal artystycznym ujęciu. Huknąłem mężczyznę Ręką niczym młotem, zachrzęściły kości. Jeden dłuższy krok i już stałem pomiędzy nimi. Na twarzy mięśniaka ze strzelbą myśliwską odbiłem stalowe paski rękawic. Padł na ziemię i to uratowało mu życie, ponieważ jego dwaj towarzysze zaczęli strzelać. Serii z karabinu wtórowały pojedyncze strzały z rewolweru. Kule rozrywały mięso, puste magazynki wylatywały z brzękiem na chodnik. Nagle zapadła cisza. Tylko ja trzymałem się na nogach, czterech mężczyzn konali w męczarniach. Piąty, ze zmiążdżonym nosem, rozglądał się zdziwiony i na wszelki wypadek nie wstawał.

– A ja miałem nadzieję, że znajdę tu jakąś pracę. – Pokręciłem głową i schyliłem się po rewolwer. – Nie strzelisz mi w plecy, jak cię tutaj zostawię? – zapytałem ostatniego żywego.
– To by nie było fair.

Gorliwie pokręcił głową i odsunął od siebie karabin.

– Miłego dnia – pożegnałem się i ruszyłem w stronę miasteczka.

Po trzecim kroku odwróciłem się. Już trzymał w dłoniach karabin, twarz wykrzywiła mu nienawiść. Strzeliłem z biodra i znowu do niego podszedłem. Kula eksplodowała w ciele i niemal go przepołowiła. O dziwo, nadal żył.

– Dobij mnie – jęknął.

Wytarłem z rewolweru swoje odciski palców i wrzuciłem go do kałuży krwi.

– Miłego dnia.

Ten krótki przystanek był wart śmierci pięciu łajdaków. Czerpałem z niej szczerą, niekłamana satysfakcję.

W zasięgu wzroku nikogo nie było, mogłem twierdzić, że nie miałem z tą masakrą nic wspólnego. Pytanie tylko, czy mi uwierzą. Miałem wrażenie, że tak. A może rzeczywiście znajdę tu dobrą pracę albo zrobię jakiś korzystny interes? Miałem kilka porządných map. Wprawdzie nie okolic Jabłonkowa, tylko terytoriów trochę bardziej na wschód, ale to akurat żaden problem, zresztą miejscowi zwykle znają swój teren doskonale. Chciałem też popytać o człowieka z inicjałami R. C, dowiedzieć się czegoś o bitwie o Sewastopol sprzed osiemdziesięciu lat. Dużo więcej obiecałem sobie jednak po wizycie w Trzyńcu. To miasteczko było zbyt zapyziałą dziurą. Owszem, Jabłonków był zapyziałą dziurą – ale dziurą na poziomie. Czyste ulice bez walających się wszędzie odpadków, działająca kanalizacja, jakiej nie widziałem nawet w wielkich metropoliach, sklepy, w których można dostać to i owo, tablice ogłoszeniowe z podobiznami obrzydliwych facetów i napisami „Poszukiwany żywy lub martwy”. Były to w połowie fotografie, a w połowie ręcznie malowane portrety. Pod każdą widniał podpis trynieckiego sędziego Karkołoma. Mieli tutaj nawet kościół, stary katolicki kościół z ponurym, na wpół spalonym krzyżem, wznoszącym się wysoko ponad starannie zrekonstruowany dach.

Albo mieszkali tu ekstremalni konserwatyści, albo wariaci, ponieważ po tym, jak J. Ch. postradał zmysły albo pojął, kim właściwie są ludzie, jego imienia wzywali już tylko szaleńcy.

Szczyt cywilizacji stanowił hotel z restauracją i stajnią dla koni. Dobrobyt zawdzięczano zapewne bliskości Trzyńca, inaczej nie umiałem tego wyjaśnić. Po asfaltowej autostradzie, która zdążyła już mi obrzydnąć, z pewnością poruszało się więcej karawan kupieckich, niż można by się spodziewać.

Zostawiłem Micumę przed wejściem, nie obrażałem jej przywiązywaniem do płotu. Wszedłem do środka. Przywitał mnie przyjemny cień, zapach starych skór i ciche skrzypienie podłogi w kuchni.

Usiadłem przy stole, na którym leżała gazeta z zeszłego tygodnia. Oko, nie wiadomo dlaczego bardzo przyjaźnie do mnie nastawione, przełączyło się na tryb nocny, dzięki czemu mogłem czytać nawet przy tak słabym świetle. Tryniecki burmistrz M. Hoflex usunął z miasteczka lichwiarzy i podniósł podatki dla handlowców spoza regionu; miejscowy asesor szczęśliwie uniknął zamachu na swoje życie. Reszta wiadomości dotyczyła spraw gospodarczych i społecznych.

Wiedziałem, że ktoś wszedł do restauracji, choć nie słyszałem skrzypnięcia drzwi ani kroków. Po szeleście odzieży zorientowałem się, że przybyszów jest dwóch.

– Kelner jeszcze nie dotarł. – Spojrzałem na nich.

O mało co nie zakrztusiłem się ze zdziwienia, a Oko musiało kilkakrotnie zmienić ostrość, zanim pokazało mi porządnie czarną sutannę księdza. Drugi przybysz był o wiele bardziej pospolitym typem w staromodnej kevlarowej kamizelce i wysokich, ręcznie sztych butach ze skóry. W dłoni trzymał karabin z czasów tuż przed Krachem, a do przedramienia miał przymocowany nóż sprężynowy. Nie było go widać, ale dobrze znałem wzór, w jaki splatały się jego rzemienie na obcisłym rękawie koszuli wykonanej z materiału odpornego na przecięcia. Na szyi miał miniaturowy mikrofon. Lekko kanciasta sylwetka sugerowała, że pod mundurem kryje się skomplikowany egzozkielet, który chroni przed uszkodzeniami ciała powstającymi w wyniku jego nienaturalnego ułożenia. Jeśli to był *hi-tech*, dawał o wiele więcej możliwości.

– Porucznik Janota – przedstawił się. – Ojciec Strazynski – wskazał na księdza.

Jego broń przez niemiły przypadek była wycelowana prosto we mnie, a on sam równie niemiłym przypadkiem trzymał palec na spuście. Z lufy emanowała ta sama moc co z nabojów jednego z mężczyzn pod miasteczkiem, a to już nie był przypadek. Możliwe, że rzemiosłem zajmował się tutaj jakiś strasznie poprawny teolog, demonolog albo inny wtajemniczony.

– R. C. – również się przedstawiłem.

Dziwne, cała ta sytuacja mnie bawiła, śmieszyła nawet. Do tej pory w ogóle nie zaobserwowałem u siebie poczucia humoru, choćby najczarniejszego, najbardziej gorzkiego.

– Podróżnik, handlowiec, okazjnie podejmuję się prac, które rezydentom – sięgnąłem po słowo z trynieckich wiadomości – wydają się zbyt niebezpieczne. Na przykład.

Ojciec Strazynski nie spuszczał ze mnie wzroku. Czułem aż w łędźwiach, jak badał mnie, rozpracowywał, rejestrował poszczególne detale i starał się wydedukować, co z nich wynika. W przeciwieństwie do niego Janota był niezwykle spięty i skupiony tylko na jednym – nie dać się zaskoczyć. Zwykły człowiek, ale we wspaniałej formie, sprawiał wrażenie doświadczonego. Po swojej stronie miał technologię i lepszą pozycję do ataku. Nasze szanse oceniałem jako równe. Mrugnął. Empata albo telepata, po Krachu najwięcej ocalało właśnie takich typów. Zwłaszcza wśród tych, którzy mieli w dłoni broń. Dotarło do niego, że nie zamierzam atakować, i trochę się rozluźnił. A co by było, gdybym zmienił zdanie? Może

czułbym to samo, co po śmierci tamtych pięciu na polu. To było jak błysk, mignięcie myśli. Porucznik uspokoił się, a ja wiedziałem, że nic takiego nie zrobię. Być może na ułamek sekundy mój demon zamknięty w ciemności wy dostał się na zewnątrz.

– Pod miasteczkiem doszło do rozlewu krwi. Mamy uzasadnione podejrzenie, że był pan świadkiem tego zajścia – zaczął ksiądz dziwnie ugodowym tonem.

– Co najmniej świadkiem – dodał Janota.

Lufa i palec na spuście ani drgnęły. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak trudno tak wytrzymać. Albo miał wrodzony talent, albo przeszedł specjalne szkolenie.

– Macie na myśli tych pięciu mężczyzn – przytaknąłem.

– Tak, tych pięciu, których krew ma pan jeszcze na płaszczu – potwierdził porucznik.

Nie denerwował się. Jego głos był oschły, miał w sobie twardość matrycy do kucia stali, kontrolowanej rentgenem defektoskopowym.

– Wiecie, panowie, to było dziwne. Czekali na mnie... nie żeby mnie to zdziwiło. Co lepsze miasta mają swoje patrole, które kontrolują podejrzanych cudzoziemców. A ja jestem podejrzanym cudzoziemcem. – Uśmiechnąłem się do nich.

Moje poczucie humoru coraz bardziej mnie zaskakiwało. Czy to aby na pewno byłem ja? Czy nie zostałem podstępnie zainfekowany jakimś inteligentnym wirusem? Może to przez spotkanie z królową upiorów, której imię usiłowałem wyprzeć z pamięci, i krótkotrwały dotyk przeszłości? Może.

– I co dalej? – zapytał spokojnie Janota.

Jego szanse wzrosły do dwóch do jednego. Dwa do jednego, gdybym nie miał Ręki. Mimochodem odpiąłem zapięcie na rękawicy. Teraz mogłem otworzyć ją jednym ruchem, a Kleszcze, ostrzejsze niż jakiegokolwiek noże, w okamgnieniu obróciłyby sytuację na moją korzyść.

– Jestem już bardzo długo w drodze. Muszę uzupełnić ekwipunek, sprzedać kilka rzeczy. Przepelniony pokojem wędrowałem przed siebie, a oni naprawdę nie spoglądali na mnie zbyt przyjacielsko – kontynuowałem.

Początek zdania był prawdziwy, koniec absolutnie nie. Znowu ożyła we mnie ta radość, którą czułem, gdy przekroczyli granicę, gdy już tak bardzo przeciągnęli strunę, że nie było drogi odwrotu. Wykorzystałem to. Demon we mnie był zadowolony, ja właściwie też. Ani trochę mi nie przeszkadzało, że zginęli. Wilk syty i owca cała. W końcu nie miałem wrażenia, że udało mi się nasycić część swojego ja, wyrządzając krzywdę drugiej. Co innego, gdybym zabił Janotę.

– I co dalej? – zrozumiałem, że Janota już po raz drugi zadaje mi to pytanie, a spust jego karabinu przesunął się o milimetr. Znowu to artystyczne ujęcie Oka, było mi naprawdę życzliwe.

– Potem – rozłożyłem ręce w geście zdziwienia – zajęli się sobą i wystrzelali nawzajem. W ogóle nie zwracali na mnie uwagi.

Janota nie odrywał ode mnie wzroku.

– Ojczy?

Strazynski tylko pokręcił głową. Uczucie, że leżę pod mikroskopem, zniknęło.

– Ten człowiek jest czysty. Ostatnio nie rzucił na nikogo żadnej klątwy ani czaru. Nie omamił tych mężczyzn.

– A czy jest zdolny rzucić klątwę albo czar? – chciał wiedzieć Janota.

– Co pan może na ten temat powiedzieć? – Strazynski zwrócił się do mnie kurtuazyjnie.

– Czy wyglądam na kogoś, kto potrafi zaklinać i czarować? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Tak – rzekł oschle Janota.

– Oto odpowiedź na pańskie pytanie, poruczniku. Wie pan również, że nie przekląłem waszych ludzi.

– To dobrze – stwierdził Janota i opuścił karabin. Byłem pewien, że wystarczyło mgnienie oka, by nabój trafił prosto w moje serce.

– Ma pan szczęście, że ci ludzie nie byli od nas. Przysłali ich z Trzyńca. Najemnicy, którzy mieli nas bronić, jakbyśmy sami nie mogli sobie poradzić.

Ojciec Strazynski spojrzał na porucznika – policjanta, a zapewne także miejscowego klawisza i detektywa.

– Może później omówimy z panem R. C. kilka spraw. Po tym, oczywiście, jak już pozłatwia swoje sprawy, z powodu których odwiedził nasze spokojne miasteczko.

– Potrzebujecie żołnierza? – zapytałem wprost, ale żaden nie odpowiedział.

Ksiądz uklonił się na pożegnanie, Janota wymierzył we mnie palec wskazujący i pociągnął za wymagowany spust. Zanim drzwi się za nimi zamknęły, przy moim stole stał już wysoki, zgarbiony ze starości mężczyzna z głową jak kula bilardowa. Kojarzył mi się z Rosjaninem ze wschodu. Musiałem spotkać się z kimś podobnym w poprzednim życiu, którego nie pamiętałem.

– Pan sobie życzy? – zapytał z miękkim akcentem.

Zacząłem zamawiać.

To były najlepsze trunki i jedzenie, odkąd sięgałem pamięcią, a kawa po prostu wyśmienita. Silna, aromatyczna i idealnie gorzka, bez kwaskowego posmaku, jakie miały wszystkie jej substytuty uprawiane na kontynencie.

Nie odmówiłem nawet kieliszka koniaku na zakończenie. Co ciekawe, nie chcieli zapłaty z góry. Dziwne. Może to przez wizytę ojca Strazynskiego i porucznika Janoty, choć stawałbym raczej na tego drugiego. Należał do tych ludzi, którzy z przyjemnością rozstrzelaliby każdego, kto skalał ich miasteczko. Tak, Janota uważał Jabłonków za swoje miasteczko. A to oznaczało tylko jedno – był imigrantem.

Koniak nie był koniakiem, ale winiakiem, delikatnym, aromatycznym, przypominał mi coś dawno minionego i przyjemnego. Skusiłem się na jeszcze jeden kieliszek. Siedząc w

opustoszałym zakątku restauracji, wyciągnąłem z kieszeni na piersi ilustrację, którą wyrwałem z książki królowej upiorów. Królowej upiorów, mojej niegdysiejszej kochanki. Nie pamiętałem naszej wspólnej przeszłości, tylko tę jedną noc, kiedy prawie ją zabiłem. Właściwie zabiłem ją naprawdę, zamęczyłem zniewoloną przez rozkosz, dając się ponieść ukrytym we mnie ciemnym mocom, których nie byłem świadomy. Przeżyła tylko dzięki odporności danej najwyższym upiorom. To było słodko-gorzkie wspomnienie i nieco mnie przerażało. Zalałem je kolejnym haustem winiaku, po czym wychyliłem cały kieliszek do dna. Na szczęście rosyjski kelner był uważny i natychmiast przyniósł następny. Może zdołałbym się upić i zapomnieć. Zapomnieć o gotującym się we mnie drugim ja, o rzeczywistości, o przeszłości, o przyszłości, która przyniesie wszystko, tylko nie szczęście. Po prostu o wszystkim.

Zamiast tego rozłożyłem przed sobą pomietą kartkę. Po długiej podróży papier był porozrywany, brudny, pognieciony, sam obrazek jednak nie ucierpiał.

Mężczyzna o zdecydowanych, ostrych rysach, zbyt energicznych i szorstkich, by można go było nazwać przystojnym, stał pod bramą miasta. Jedną dłoń zaciskał w pięść, w drugiej trzymał krótką dębową pałkę. Sam jeden naprzeciw armii duchów, demonów, starych i nowych bogów, dewów, akoinów i innych istot, których nazw ludzki język nie znał. Nie otaczała go żadna aureola, żadna bariera ochronna. Siła była w nim samym, w spojrzeniu, w sposobie, w jaki trzymał kij, i w oczach, przede wszystkim w jego oczach. Za każdym razem, kiedy oglądałem obraz bitwy o Sewastopol, miałem wrażenie, że się zmienił. Dzisiaj widziałem lepiej twarz obrońcy, jednocześnie w zalewie czerni, która na niego napierała, rysowała się coraz wyraźniejsza struktura. Za to mury Sewastopolu i ludzie na nich tonęli we mgle.

Przyłapałem się na tym, że oddycham głęboko, a na czole mam wielkie krople potu. Było tak za każdym razem, kiedy patrzyłem na tę ilustrację.

– Jest do pana podobny.

Metal wbił się w drewno, Margaret sama wskoczyła mi do ręki, a wylot jej lufy zatrzymał się na czole dziewczynki. Dwanaście, może trzynaście lat. Dwanaście lat, cztery miesiące i trzy dni, sprecyzowałem niespodziewanie.

– Co, co powiedziałaś? – wyjąkałem i włożyłem Margaret z powrotem do kabury.

Przez chwilę patrzyła na mnie zdumiona, ale po chwili odwróciła się i uciekła.

Wciąż nie czułem się dobrze. Ta ilustracja za każdym razem działała na mnie w dziwny sposób, posyłała gdzieś indziej, gdzieś, gdzie niczego nie byłem pewien. Powinieneś się do tego przyzwyczaić, powiedziałem do siebie w duchu i upewniłem się, że Margaret spoczywa w kaburze. Na wszelki wypadek zapiąłem ją na zatrzask.

– Pan sobie życzy?

Wraz z tymi słowami przy stole pojawił się Borys. Skąd znałem to imię? Nie miałem pojęcia. Możliwe, że to sprawka ilustracji, wprowadzała mnie w trans, którego nie byłem

warty.

– Zapłacę już. Ma pan wolne pokoje?

Uklonił się lekko, ukazując ciemię.

– Oczywiście, proszę pana. Obiad dopiszemy panu do rachunku.

Jabłonków, wspaniałe miasteczko... Przypomniałem sobie o pięciu martwych i melodia natychmiast przybrała fałszywy ton. Pięciu martwych, no i co z tego? Za to kawę i winiak mają znakomite.

* * *

Micumę zostawiłem w stajni, Greysona i resztę uzbrojenia w pokoju, wsunąwszy pod sakwy jeden z medalionów. Ktoś, kto okazałby się zbyt ciekawski, ryzykował ustaniem akcji serca, oczywiście pod warunkiem, że do złodziejstwa nie przygotowywał go doświadczony czarodziej. Ale moja własność nie była znowu tyle warta.

Spacerowałem głównymi ulicami miasteczka, zaglądając w boczne, jeśli tylko uznałem, że znajdę tam coś więcej niż na wpół zburzone oryginalne domy albo lepianki nowo przybyłych osadników – tych było najwięcej. W pięciu sklepach sprzedawano przedmioty codziennego użytku, mięso, w tym nawet kilkudziesięcioletnie, ale ciągle zdatne do spożycia konserwy, pieczywo i oczywiście mąkę. Nie tego jednak szukałem. Warsztaty mechaniczne znalazłem dopiero na skraju miasteczka, jakby w samym Jabłonkowie nie było popytu na te usługi. Pierwszy minąłem. Proste silniki parowe, silniki elektryczne i piły z napędem olejowym. Do tego myśliwskie sztucery, dwururki, trzyrurki, automaty importowane z Grodziska i Zwickau. Nic, co mogłoby mi się przydać. Drugi sklep, leżący poza granicami miasteczka, był bardziej interesujący. Moją uwagę przykuł starannie wypolerowany silnik leżący tuż za drzwiami.

– Trzysta pięćdziesiąt sześć koni – oznajmił z dumą właściciel, gdy tylko przekroczyłem próg.

Był to poczciwy, nieprzechodzony dwunastowalowiec na naftę. Doświadczony mechanik nauczyłby go pracować nawet na resztkach ropy.

Nie rozumiałem, dlaczego tak świetny silnik stoi właśnie tutaj. Wystarczyłoby załatwić dobre podwozie, porządne przewody i właściciel nieźle by zarobił. Ktoś, kto nie bał się zapuścić w okoliczne lasy, mógł znaleźć coś ciekawego. Kiedyś musiało tu się żyć lepiej niż dobrze.

Nic jednak nie powiedziałem. Wyszedłem spod zadaszenia nad potężnym urządzeniem, a usłużny optymizm na twarzy właściciela wyraźnie przygasł.

Przypomniałem sobie o niedawno odkrytym poczuciu humoru. Czy raczej o jego zarodkach, które starałem się pielęgnować...

– Trzysta pięćdziesiąt sześć koni? – powtórzyłem głośno. – Sporo. Jeśli podłączy pan do

niego prasę, będzie można z trupów tłoczyć wodę, a mączką z mięsa i kości nawozić pole.

Niepewność na jego twarzy zmieniła się w przerażenie. Właściciel warsztatu, tusty, brzuchaty chłop, wyciągnął rękę w kierunku wiszącego na ścianie karabinu. Broń musiała być antykiem już w czasach Krachu, co nie zmieniało faktu, że doświadczony strzelec dałby radę rozpruć z niej bebechy pięciu bliźnim z odległości tysiąca metrów.

– Przyszedłem kupić jakąś broń, dobrą broń – powiedziałem, żeby go nieco uspokoić.

Nie liczyłem się z nim tak bardzo, ale potrzebowałem czegoś, czego mógłbym użyć również na ulicach Jabłonkowa. Wprawdzie porucznik Janota okazał się otwarty na logiczną argumentację i ugodową postawę księdza, ale miałem wątpliwości, czy zaakceptuje użycie Margaret przeciwko mieszkańcom miasteczka. Każdy wystrzał powodowałby masowy rozlew krwi.

– Taką, z której mogę zastrzelić tylko jednego człowieka na raz – sprecyzowałem.

Czerwony nos powędrował z lewa na prawo i z powrotem, nabiegłe krwią oczy starego pijaka zaszkliły się jeszcze bardziej.

– Może jakiś pistolet? Żebym trafił w to, do czego celuję. Mam tylko ją. – Podsunąłem mu Margaret pod nos.

Zaczął się trząść. Jeśli tak działał humor, to bardzo mi się to podobało. Szkoda, że nie byłem dowcipny już wcześniej.

Odwrócił się i zaczął wysuwać z półki szuflady, a potem jedną po drugiej układać przede mną na stole.

– Glock, najpopularniejsze modele. Cezety, tańsze, równie łatwe w obsłudze i odporniejsze. Luksusowy Smith and Wesson, Haudiny and Corporation, Apollon – zachwalał prezentowany towar.

Handel bronią kwitł w każdych czasach.

Towar miał dobry, ale drogi, a ja nie odnosiłem wrażenia, że powinienem się spieszyć, bo wkrótce będę musiał kogoś zabić – na przykład Borysa, który obsługiwał mnie przy stole.

– A naboje?

– Sprzedaje je pan Smutzer, ma stragan na placu.

Skinałem na znak, że zrozumiałem.

– Cena?

Spojrzał na mnie w sposób charakterystyczny dla handlowców, jakbym zadał niegrzeczne pytanie.

– Sto, sto pięć, sto dwadzieścia pięć... – wskazywał poszczególne sztuki broni, podając ceny.

– To niezbyt wiele. Tyle że same klasyczne modele, a ja szukam czegoś specjalnego.

W tutejszej walucie miałem około stówy, w towarze grubo ponad tysiąc. Nie chciałem jednak zwracać na siebie uwagi, a już na pewno nie chciałem pozbywać się takiej ilości towaru z powodu gadżetów. Jeżeli miałem wlec ze sobą jakieś żelastwo, chciałem, żeby mi

się przynajmniej podobało.

Zamyśliłem się. Kto chciał, żeby mu się podobało? Ja czy demon zamknięty w środku? A co to znaczy: podobać się?

Wszystko jedno. Wiedziałem, że żadnej z tych pukawek nie kupię. Brakowało im właściwego zapachu, woni, odoru pobudzającego do zabijania – kogokolwiek, kiedykolwiek, wyłącznie w zależności od zdolności tego, kto naciska spust. To wszystko były swego rodzaju zabawki, opanowane, zmanipulowane. Nie wiedziałem, skąd ta wiedza, ale nie miałem żadnych wątpliwości.

Odwrociłem się do tonącej w mroku ściany, zasłoniętej pustymi metalowymi beczkami i mnóstwem zużytych kół zębacych.

Stara dubeltówka, karabin kaliber 7.62, rewolwer bębnekowy z odmetów zapomnianej historii. Między tymi zabytkami, które nie wiadomo dlaczego wyglądały na skuteczniejsze niż cały arsenał wyłożony na ladzie, na zardzewiałym gwoździu wisiał niezgrabny rewolwer z masywną, ośmiokątną lufą.

Sięgnąłem po niego ostrożnie.

– Do niczego, stary grat – ostrzegł mnie właściciel.

Rdza nie kruszyła się przy dotyku, trzymała się i zostawiała ślady rdzawego proszku. Broń była znacznie lżejsza, niż mogło się wydawać. Sadząc po rozmiarach, oczekiwałem trzy-, trzyipółkilogramowego gnata, a on nie ważył nawet dwóch. Zajrzałem do czarnej lufy i nie powstrzymałem cichego gwizdnięcia. To nie była trzydziestkaósemka, czterdziestkapiątka czy pięćdziesiątka. Ten kaliber nie mógł się równać z żadnym innym, z którym się zetknąłem, ani nawet z tymi, o których tylko słyszałem. Lufa była dłuższa niż szerokość dwóch męskich dłoni, a kaliber... miałem wrażenie, że patrzę w lufę działa.

– Cały z żelaza. Został jeszcze po starym Horaku, poprzednim właścicielu. Nie ma do tego nabojów, a nawet gdyby były, i tak nikt nie zdołałby go utrzymać. Przy wystrzale urwie głowę – ostrzegł mnie właściciel.

Miał rację.

Takiej broni nie mógł używać człowiek. Ale ja nie byłem człowiekiem. I z całkowitą pewnością, której nie rozumiałem, wiedziałem, że ten rewolwer nie został skonstruowany z myślą o zabijaniu ludzi. Z pewnością nie.

– Ma pan tu gdzieś beczkę z odpadkami? – zapytałem.

Właściciel kiwnął głową w róg pomieszczenia.

– Co pan w niej znajdzie, należy do pana. Chętnie się tego pozbędę. Ale porządnego żelaza tam nie ma, sama tandeta.

Po godzinie babrania się w odpadkach, starym żelazie i innych śmieciach, które zostawiają po sobie kolejne pokolenia, znalazłem jedenaście magazynków oraz kleszczyki do odlewu kul. Nie powiedziałem nic pijakowi, tylko ukradkiem pochowałem je po kieszeniach. Udając rozczarowanie, włożyłem wszystko z powrotem do beczki, ściągnąłem ze ściany

rewolwer i położyłem na ladzie.

– Jest do niczego, ale podoba mi się. Kupuję go.

– Horak nazywał go Zabójcą Demonów.

Nie słuchałem, jak wychwalał ogromny pięciostrzałowy rewolwer, czekałem, aż dojdzie do ceny.

– Jeśli ma pan do niego naboje, biorę – nie ustępowałem. – Poczekam, może je pan zamówić u kogoś innego – udawałem, że idę mu na rękę.

Starłem się zakryć wylot lufy swoim kciukiem. Nie wystarczył. Oko już od dawna usłużnie informowało o faktycznej średnicy – jeden i dwadzieścia dwie setne kciuka.

– Nie mam nabojów i chyba nie dam rady ich załatwić – odparł właściciel.

– No cóż, naprawdę szkoda, chciałem go mieć. Wie pan, taki rarytas. Ale bez nabojów nie jest wiele wart... – udawałem żal. – Pięć koron – zaproponowałem dziesięć razy mniej, niż oczekiwał. Od razu położyłem pieniądze na stole.

W odpowiedniej walucie, dziesięć blaszanych półkoronówek chronionych przeciwko zakłębom. W każdej ukryto czar na szczęście dla jej właściciela. Ten, któremu je zabrałem, już go nie potrzebował.

– Zabójca Demonów, dobre imię – powiedziałem na odchodnym i wycelowałem w niego gnata.

Mężczyzna zbladł, a ja wbrew sobie pociągnąłem za spust.

Mechanizm szczęknął. Poczulem lekki opór w rękojeści i walec przekreślił się gładko.

Mężczyzna za ladą padł na ziemię. Do zapachu nafty, oleju maszynowego i zardzewiałego żelaza wmieszał się smród fekaliów.

– Czy to właśnie jest humor? – zapytałem głośno.

Zwracałem się do nowego współnika – Zabójcy Demonów, ale nie odpowiedział. Margaret i Greyson też milczeli. Może to ich nie obchodziło, a może po prostu nie mieli poczucia humoru.

* * *

Siedziałem w swoim pokoju z nogami na stole. Greyson leżał na łóżku, Margaret miałem w zasięgu ręki, w kaburze przewieszanej przez oparcie fotela, gigantyczny rewolwer trzymałem na kolanach. Powinienem rozebrać go i dokładnie wyczyścić, ale nie chciało mi się. Zamiast tego drzemałem i zastanawiałem się, czy nie powinienem pryskać z Jabłonkowa. Nie podobało mi się tutaj.

Dziecko, dopiero co narodzone, jeszcze mokre od wód płodowych i ze śladami śluzu na skórze. Pusta twarzyczka z zamkniętymi oczami, która jeszcze nie umie wyrazić myśli i uczuć. Dłonie, męskie dłonie w chirurgicznych rękawiczkach, ubrudzone krwią, sięgają po pępowinę

i próbują owinać ją wokół szyi noworodka. Jest grubsza od kciuka, brązowa i śliska w dotyku, ale zbyt krótka. Dłonie wahają się, szeleści szary foliowy worek i nagle trafia do niego dopiero co narodzone ludzkie szczenię. Na zawsze. Z foliowej trumny dobiega krzyk. Wiem, że teraz noworodek ma wytrzeszczone oczy i krzyczy, krzyczy ze wszystkich sił, jakie są w stanie wykrzesać jego płucka.

– Proszę pana?

Wzdrygnąłem się i w ostatniej chwili cofnąłem Rękę w stalowej rękawicy. Zmiażdżyłbym nią dziecięce gardło w sekundę. Z olśniewającego blasku pierścienia wynurzył się ludzki kontur. Dziewczynka – ta, która wczoraj zaskoczyła mnie na dole w restauracji. Lśniący pierścień stał się nagle zwykłym pierścieniem na jej środkowym palcu.

– Czego chcesz? – warknąłem.

Mignięcie wspomnienia, które na moment przesłoniło rzeczywistość, wytrąciło mnie z równowagi.

– Chciałam... chciałam tylko powiedzieć, że na dole czeka trzech panów – wydukała trochę przestraszona.

Czy to ja zabiłem tego noworodka? Chyba tak. Kiedy? Nie udało mi się tego ustalić.

– Spałem, trochę mnie wystraszyłaś – wyjaśniłem, żeby się uspokoiła, i wstałem.

Podniosła głowę, żeby zobaczyć moją twarz.

– Myślałam, że ludzie tacy jak pan się nie boją. Że to ich boją się inni. – Spojrzała zdziwiona.

Trafna uwaga. Tak, zwykle tak to bywa. Jej strach prysnął niczym bańka mydlana.

– Nie powinnaś wchodzić do pokojów obcych ludzi. Mogliby zrobić ci coś złego – dodałem niemal szeptem.

W moim głosie było więcej nacisku, niż chciałem.

– Ale nie pan. Pan jest tym bohaterem z obrazka – zaśmiała się. – Chcą z panem rozmawiać. Pomyślałam, że powinien pan to wiedzieć.

Bohater z obrazka. Niepokojące wyobrażenie. Zamiast odpowiedzieć, skinąłem głową, przypiąłem Margaret do pasa i sprawdziłem, czy Nóż spoczywa w pochwie. Był tam, jak zawsze. Pierścionek dziewczynki nadal przyciągał moją uwagę, skrywał w sobie tę szczególną siłę, tak wyraźnie emanującą dookoła i zupełnie dla mnie niezrozumiałą.

Pokazała mi go, jakby wyczuła, że na niego patrzę.

– Dostałam od mamusi, niedawno – powiedziała z dumą. – Podobno już jestem dorosła.

Nagle zrozumiałem, o co chodzi. Dostała go z okazji pierwszej menstruacji, kiedy fizycznie stała się kobietą. Jej matka dostała go zaś od swojej matki i tak to się toczyło od dawien dawna, aż z przyzwoitego pierścionka zrobił się zwyczajny złoty krążek, noszony przez całe generacje matek i córek. A każda z nich włożyła do niego swoją miłość, życzenie szczęścia, te wszystkie dobre emocje, jakie rodzice żywią w stosunku do swoich dzieci.

Przypomniały mi się niedawne zwidy i wbrew woli zachwiałem się. Dziwne, w rzeczywistości widywałem na własne oczy rzeczy jeśli nie dużo gorsze, to równie okrutne, ale one nie poruszały mnie tak bardzo.

– Ładny pierścionek. Dzięki za wyjaśnienie.

– Mama pracuje w kuchni, często tu z nią przychodzę. Jak ktoś będzie pana szukał, od razu panu powiem.

Skinałem w podzięcie i wyszedłem z pokoju szybciej niż ona.

W restauracji czekał ojciec Strazynski z innym mężczyzną w sutannie oraz porucznikiem Janotą, który nie wyglądał na zbyt spokojnego.

Usiadłem przy stole, jednocześnie przesuwając Margaret, żeby nie uwierała mnie w biodro. Czekałem w milczeniu. To oni chcieli ze mną rozmawiać, inicjatywa należała do nich.

Ulicą przejeżdżała właśnie mała karawana kupiecka. Przybyli tak jak ja z południa, ale trzymali się pewnie poniszczzonego asfaltu. Załadowane wozy zatrzymały się, na drugim uniosła się płachta. Piły, świdy, półsurowce i mnóstwo innych wartościowych towarów. Sądząc po antykorozyjnej impregnacji, pochodziły z czasów przed Krachem. Albo z centrów, gdzie technologia znowu zbliżała się do starej doskonałości. W każdym razie to byli bogaci handlowcy, wieźli ze sobą spory majątek. Mężczyzna idący obok pierwszego wozu zawrócił, żeby poprawić płachtę. Przypadkiem przesunął wzrokiem po fasadzie hotelu, nasze spojrzenia spotkały się, choć on o tym nie wiedział. Na jego piersi, na wpół zakrytej kurtką, kołysał się automatyczny kompakt z podwójnym magazynkiem. Oko przełączyło się na rentgen i ukazało zawartość drewnianego pudła przymocowanego do bocznej ściany wozu – gotowy do natychmiastowego użycia wielkokalibrowy karabin maszynowy z zainstalowanym pasem amunicji. Ci handlowcy z doświadczenia wiedzieli, że niewielu ludzi stać na ich towar, a jednocześnie wielu go pożąda. Mężczyzna, na którego zwróciłem uwagę, starał się zachować ostrożność, ale na nic mu się to zdało, bo dostrzegłem migające widmo jednego z bogów śmierci. Nie znałem tych ludzi, nosili jednak nieusuwalne piętno. Doskonała chromowo-wanadowa powierzchnia świdrów po raz ostatni błysnęła w słońcu i zniknęła pod zarzuconą grubą płachtą.

– Może zaczniemy rozmawiać o naszych sprawach – przemówił ojciec Strazynski.

Ocknąłem się z zadumy i popatrzyłem na niego. Oko zmieniło powiększenie i wysunęło się na maksymalną długość obiektywu. Żaden z nich się nie wystraszył, zawiedzione schowało się z powrotem.

– Porucznik Janota powiedział, że dysponuje pan, ekhm, ekhm, pewnymi zdolnościami, z których mógłby pan zrobić dla nas użytek.

Spojrzałem na nich pytająco.

– To bardzo miłe z jego strony. Jakimi zdolnościami?

Obcy mężczyzna był dziwny. Nie zwracał uwagi ani na rozmowę, ani na muchę, która usiadła mu na nosie, jakby był w transie, ewentualnie na wycieczce w towarzystwie

niezwykle egzotycznego narkotyku. Albo została z niego ruina. Niektóre narkotyki po dłuższym okresie używania dawały taki efekt – zostawiały pusty organizm. Nie wymazały jednak jego umysłu. Kiedy zorientował się, że go obserwuję, spojrział prosto na mnie. Miał bardzo jasne źrenice, niemal zlewały się z bielą gałki. Dopiero teraz dostrzegłem na jego skórze sinawe plamy – to oznaczało, że od dłuższego czasu zażywał podtrzymujące metabolizm lekarstwa.

– Sądzimy, że jest pan wykwalifikowanym likwidatorem demonów – przeszedł do sedna Strazynski.

Już wiedziałem, co spotkało jego kompana. Widziałem ten błysk na każdym kawałeczku krateru, który pozostał z jego osobowości, na rozpadających się ruinach duszy. Pogrywał z demonami.

– Demonów? – powtórzyłem. – Których? Jakich konkretnie? I jak się tu znalazły? Tu, w okolicach tak malowniczego i przytulnego miasteczka, jakim jest Jabłonków? – zwróciłem się do Janoty.

Nawet nie drgnął, za to Strazynski nerwowo przysiadł się do stołu.

– Nie wiem, co to za jeden albo jedni. Mamy niejasne informacje – przemówił wypalony ksiądz. – Wydaje mi się, że chodzi o demona, który chce się dostać do nas, do świata materialnego, wstępując w ludzkie ciało.

– To najwłaściwszy i najprostszy sposób – odpowiedziałem. – Chodzi więc o demona z zamkniętych sfer? Z tych, które od czasów Krachu nie stykają się z naszą rzeczywistością?

Ksiądz nie odpowiedział.

– Brat Saxon ma problemy z rozumieniem ludzkiej mowy. Z pewnością spróbuje nam odpowiedzieć – pospieszył z wyjaśnieniem Strazynski i położył towarzyszowi rękę na ramieniu.

– Domyślam się, że poświęcił dużo energii i czasu na studia nad demonami.

Wypalony ksiądz nadal milczał, błędząc gdzieś w ruinach swojego ja.

– Był egzorcystą – potwierdził Strazynski.

Janota patrzył bez zainteresowania, ale wiedziałem, że słucha i stara się wszystko zapamiętać. Poczulem podziw dla tego na wpół martwego mężczyzny. Wypędzanie było najtrudniejszym, najbardziej niebezpiecznym sposobem walki z demonami. Chodziło w nim o ratowanie życia opętanego człowieka.

– Egzorcystą i myśliwym – dodał niespodziewanie Saxon.

A więc wraz z demonami zabijał opętanych przez nie ludzi. To było dużo prostsze.

– Zagrażają nam demony albo ze sfery zamkniętej, albo ze sfery, która kiedyś była zamknięta – odpowiedział w końcu na moje pytanie.

– Nie potrafi pan tego sprecyzować? – starałem się wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji.

– Nie rozumiem, jaka to różnica? – odezwał się Janota.

– W czasie Krachu doszło do przełamania barier między poszczególnymi sferami – wytłumaczyłem. – Nikt nie wie, ile ich się otworzyło. Trzy, cztery, pięć. – Wzruszyłem ramionami.

Ojciec Strazynski popatrzył na mnie, jakby chciał zaprzeczyć. Nie podobało mu się, kiedy w tak prosty i przystępny sposób objaśniałem problem teologiczny, nad którym łamały sobie głowy całe generacje mędrców, a jego skutki dotykały cały świat i wszystkich ludzi. Prawdopodobnie ujawniałem coś, co miało pozostać tajemnicą dla zwykłych śmiertelników, ale było mi to obojętne. Skąd ja to wszystko wiedziałem?

– I z tych sfer zaczęły przenikać bestie, które teraz możemy spotkać na każdym kroku – wywnioskował porucznik.

Ludzie to wiedzieli. Nie mogli tego nie wiedzieć, w końcu natykali się na nie bezustannie.

– Co ważne, a wiemy o tym niewiele, obecność tych istot zmienia nasz świat – dodał ku mojemu zdziwieniu Strazynski.

Wtajemniczeni starali się ukryć tę informację przed opinią publiczną.

– To już nie tylko nasz świat. Należy również do tych, którzy przed osiemdziesięciu laty nie zostali zniszczeni pod Sewastopolem albo wypędzeni. Rzeczywistość połączyła się z niektórymi sferami, wydaje mi się, że z pierwszą albo drugą – dodał brat Saxon. – Już nigdy nie zdołamy ich od siebie oddzielić.

Najwyraźniej ożywał się, kiedy rozmowa schodziła na tematy demonów i innych stworzeń, z którymi przez całe życie walczył – i którym je poświęcił.

Myślałem nad tym, co Strazynski powiedział o demonach. Coś mi tu jednak nie pasowało, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Gdy w grę wchodzi demony, nigdy nie można być niczego pewnym.

– A mieszkańcy głębokich, wciąż zamkniętych sfer marzą o tym, by przedostać się do naszego świata. To dla nich naturalne, chcą się zemścić na tych, którzy ich tam umieścili. Przychodzi im to tym łatwiej, że znają nas z opowieści tych, których posłaliśmy z powrotem do piekła.

Z pokiereszowanego łowcy demonów emanowała teraz niemal namacalna, pełna pasji nienawiść.

– A opętanie człowieka to jeden z wielu sposobów, jakie może wykorzystać demon, żeby wydostać się z zamkniętej sfery – porucznik ponownie wyciągnął wnioski.

Wciąż miał przy sobie ultranowoczesny karabin. Tym razem oparł go dyskretnie o stół przy swojej prawej ręce.

– Wydaje się panu ciężyc, poruczniku. To dziwne, jak na kogoś, kto chodzi ciągle obwieszony żelastwem – oceniłem.

Rzucił mi krótkie spojrzenie, które mogłoby spokojnie konkurować z nożem wbitym między żebra.

– To ze względu na pana. Żeby nie czuł się pan niedowartościowany – odbił piłeczkę.

– Porucznik Janota to bardzo sprawny mężczyzna. Każdy mieszkaniec tego pięknego, miłego porządku miasteczka z pewnością by mu pomógł, jeśli dałoby się zmienić obowiązujące prawo i zniszczyć demona, który zjawił się tutaj bóg wie skąd. Dlaczego zwracacie się do mnie? Moje usługi są bardzo drogie.

Strazynski popatrzył na Janotę, a potem na brata Saxona. Moja przepona drgnęła, w pierwszej chwili o mało co nie chwyciłem za Margaret, bo wziąłem to za efekt czaru. Po chwili zorientowałem się, że przecież na zewnątrz stoi potężny wóz, a drgania przepony są spowodowane oddziaływaniem jego agregatorów napędowych.

Patrzyłem na niego cały czas, kiedy sunął za oknami. Czteroosiowy opancerzony kolos z kołami wysokości dorosłego mężczyzny, kabina kierowcy chroniona kuloodpornym szkłem. Kształt karoserii został zatem podporządkowany kształtowi szkła, bo dzisiaj już nikt nie potrafił go wyprodukować. Na pace znajdowały się dwie wieżyczki strzelnicze, po bokach zaś otwory, przez które można było strzelać również ze środka kolosa. Z wychodzącej do góry rury wydechowej nie ulatywał dym. Używali zwykłego silnika spalinowego prawdopodobnie tylko jako wspomagającej siły napędowej. Monstrualną maszynę napędzał agregat wyprodukowany przed Krachem i skonstruowany z wykorzystaniem technologii, które jeszcze nie znalazły się w powszechnym użyciu. Wóz zatrzymał się w zasięgu mojego wzroku, widziałem go przez szklane drzwi.

– Jak silny jest ten demon? – zadałem następne pytanie, bo nikt się nie kwapił do dalszej rozmowy.

– Najwyżej piąta kategoria – odpowiedział Strazynski.

– Szósta, możliwe, że siódma – prawie jednocześnie Saxon wyjawiał swoje przypuszczenie.

Ksiądz spojrział z wyrzutem na partnera, ale ten znowu nie zareagował.

– Według jakiej skali? – zapytałem, choć z jakichś powodów byłem przekonany, że znam odpowiedź.

Istniała tylko jedna skala, która klasyfikowała moc demonów aż do hipotetycznych wyżyn. Logarytmiczna skala Rawspiera mocy niszczenia encji.

– Według R – odparł Saxon.

– To wyjaśnia, czemu nie chcecie mieszać w to porucznika Janoty – uśmiechnąłem się. – Ani miejscowych.

– Owszem – przytaknął Strazynski. – To robota dla fachowca.

Albo szaleńca, dodałem w duchu.

Milczeliśmy. Wciąż obserwowałem wóz przed hotelem. Do tej pory nikt z niego nie wysiadł, tylko kilka razy poczułem zwiadowcze czary. Sprawdzali wszystko, byli diabelnie ostrożni. Wróciłem myślami do tego, co powiedział Saxon. Dotąd zetknąłem się z demonem najwyżej piątego stopnia, słyszałem o szóstkach i wiedziałem, co potrafią. Kiedy się rozwścieczą, efekt jest podobny do wybuchu bomby atomowej na paru tysiącach metrów

kwadratowych.

– Jeśli podejmie się pan tego zadania, proszę nie używać broni nuklearnej – dodał Strazynski, jakby czytając w moich myślach.

– Nie mam takiej.

– Jeśli demon jest blisko siódmej kategorii, musiałaby to być bomba fuzyjna, w żadnym przypadku rozszczepialna – dodał Saxon obojętnie.

Oczyma wyobraźni ujrzałem góry, na których szczytach poukrywano bomby wodorowe o różnych siłach rażenia. Wystarczyło po nie pojechać. Mając w perspektywie spotkanie z demonem klasy siódmej, parę tysięcy kilometrów w tę i z powrotem, łącznie ze wspinaczką na wiecznie oblodzone szczyty, nie wydawało się aż tak wielkim wysiłkiem. Lecz wtedy ani w Jabłonkowie, ani w Trzyńcu nie zostałby nikt, kto mógłby mi zapłacić.

– Ile panowie oferujecie? – przeszedłem do ostatniego punktu rozmowy.

Strazynskiemu chyba ulżyło, że się nie wycofałem. Być może proponowali już tę pracę innym.

Podał sumę. Zmroziło mnie aż po czubki palców, a złożone Kleszcze zaskrzypiały. Ten demon musiał być siódmką, inaczej nie płaciliby tyle.

– Od jak dawna pański zakon ma tutaj siedzibę? – zwróciłem się do Strazynskiego.

– Od prawie stu lat. Mamy w Trzyńcu klasztor. Dlaczego pan pyta?

– Podejmę się tego zadania, jeśli będę mógł spędzić w waszej bibliotece kilka dni.

Nie przestawałem myśleć o tajemniczym mężczyźnie z ilustracji, byłem do niego podobny. Musiałem dowiedzieć się o nim jak najwięcej, a biblioteka krnąbrnych szaleńców, którzy do dzisiaj wzywali imienia schizofrenicznego, dwukrotnie ukrzyżowanego boga, wydawała się idealnym miejscem na rozpoczęcie poszukiwań.

– Dobrze, ale dopiero potem, po wykonanym zadaniu. Jedną trzecią wynagrodzenia może pan wziąć już teraz. Wydaje mi się, że będzie pan potrzebował jakiegoś specjalnego wyposażenia – dodał po krótkim namyśle Strazynski.

Spojrzałem na Janotę. Jego twarz nic nie zdradzała.

– Tak się robi pieniądze – stwierdziłem z udawanym triumfem. Oko schowało się w głąb czaszki, pozostawiając pusty oczodół. Skanowało twarz Janoty, a dokładnie to, co się pod nią kryło, zwłaszcza rozpalone aktywnością płyty czołowe.

Wstałem, tak jakby nasze pertraktacje miały się ku końcowi.

– I jeszcze jedno pytanie, ojcze – rzekłem, już prawie odchodząc. – Nie tylko ja otrzymałem tę ofertę, prawda?

– Demonom wyższych kategorii nie zawsze wystarczy zniszczenie przeciwnika. Czasem poszukują też jego zleceniodawcy – odparł Saxon.

– To mogłoby się dla was źle skończyć. Dlatego opłaca się mieć więcej najemników.

Strazynski milczał, Janota milczał, jedynie Saxon znowu zgodził się z karykaturą człowieka mającego za nic doraźną politykę, układy i interesy.

– Szczegóły zdradzimy wszystkim jednocześnie, wieczorem, tu, w hotelu. Jeśli wciąż będzie pan zainteresowany – oznajmił Strazynski.

Wycelowałem w niego palcem, pociągnąłem za wymagany spust i wyszedłem. Drgnął przy tym geście, a może tylko mi się wydawało.

Chciałem obejrzeć monstrum na ulicy i sprawdzić, do kogo należy. Domyślałem się, że to jakaś grupa, która też miała nadzieję zainkasować nagrodę za zniszczenie demona. Sądząc po wyposażeniu, byli do tego o wiele lepiej przygotowani niż ja. Możliwe, że zostałem wynajęty jako ktoś w rodzaju zwiadowcy, zwierzątko doświadczalne, na którym następnymi w kolejności sprawdzą, na co stać demona, czego się po nim spodziewać i jaką strategię walki przyjąć.

Zatrzymałem się obok piekarni i zacząłem patrzeć. Przednia wieżyczka strzelnicza poruszyła się, lufa skierowała się w moją stronę. Stałem jednak zbyt blisko, mierzyła więc gdzieś ponad moją głowę. Pokazałem kierowcy i kamerom środkowy palec. Czekałem. Nie robiłem tego ze złości, przeciwnie. Niektórzy ludzie pod wpływem zdenerwowania zdradzają się. Ci mieli wszystkie atuty – mogło być ciekawie.

Zahuczała hydraulika, usłyszałem stukot zapadek. Sądząc po ich liczbie, kolos był w rzeczywistości ruchomą twierdzą. Potem odezwały się przewieszki, które miałem na szyi. Wychwyciły pole otwieranych czarów barierowych, na tyle dobrych, że nie zdołałem się niczego dowiedzieć. Drzwi się otworzyły i wyskoczył przez nie ostrzyżony na języka mężczyzna w tenisówkach, miękkich skórzanych rękawiczkach i nałożonym na nie pożytecznym, modnym gadżetem – kastetem z mosiądzu. Mierzył we mnie, a jego wąskie usta krzywiły się w nienawiści.

Wciąż opierałem się o ścianę. Kiedy ruszył na mnie klasycznym boksterskim atakiem, podciąłem mu nogi, by wyłożył się jak długi na ziemię, i przystawiłem do głowy chłodną lufę Margaret. Był szybki, dużo szybszy, niż się spodziewałem, ale niewystarczająco.

– No to się porobiło. Tak się rzucić na zwykłego gapia?

Część mojej osobowości, którą ciągle trzymałem na uwięzi, zadrżała z uciechy. A gdyby tak odstrzelić mu jedną z tych świńskich rękawiczek? Oczywiście razem z dłonią. Pomysł wynurzył się znikąd i natychmiast wdeptałem go z powrotem w próżnię, mimo że wydał się interesujący. Czy moje osobowości nie zaczynały aby na siebie wpływać, przenikać się nawzajem? Nie pozwoliłem sobie zepsuć humoru wyobrażeniem, które mi się nie podobało.

Gorączkowy facecik nagle spokorniał. Było widać, że już kiedyś czuł na policzku chłodny pocałunek lufy.

– Mam ochotę pociągnąć za spust. Strasznie brzydki ten kastet. Pewnie trzeba będzie się potem wybrać nawet do chirurga plastycznego, tylko kto za to zapłaci? – kontynuowałem nieformalną konwersację.

Zaskrzypiały zawiasy, z piekarni wyszedł mężczyzna z kilkoma świeżymi chlebami pod pachą. Na głowie miał stalową obręcz, bynajmniej nie dla ozdoby, w kaburach pod pachami dwa pistolety, a na pasie skaner myśli. Stary, bardzo nieprecyzyjny przedmiot. Jeśli właściciel

potrafił go obsługiwać, musiał być naprawdę niezły. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby się zorientować w sytuacji. Widziałem, jak rejestruje otwarte drzwi do kabiny kierowcy, kastet na dłoni leżącego mężczyzny, lufę karabinu wymierzoną w moim kierunku i oczywiście Margaret.

Ja zaś dostrzegłem tylko jego rozbiegane oczy i podobieństwo do faceta z transportera.

– Mój brat bywa w gorącej wodzie kąpany – powiedział z szerokim, przepraszającym uśmiechem.

Oczy pozostały ciągle takie same, wyzute z uczuć narzędzie analizy parszywego świata.

– A to czasami nie popłaca, prawda? – odgryzłem się. Śrutówka wciąż opierała się o czoło kierowcy. Bo to był kierowca, stąd te lekkie buty i rękawiczki.

– Nie, ale panu też nie popłaci – w jego głosie zabrzmiała stal chirurgiczna. – Jesteśmy przecież tylko ludźmi, powinniśmy sobie wybaczać ewentualne błędy, co nie? – wrócił do koleżeńskiego tonu.

– Tak, jesteśmy tylko ludźmi – przytaknąłem i ułożyłem Margaret z powrotem w jej skórzanym łożu. – Przyjechał pan tutaj w związku z ofertą ojca Strazynskiego? Polować na demona? – zapytałem wprost.

– W związku z ofertą jego przełożonych – uściślił kąśliwie mężczyzna z obręczą, przyglądając się, jak jego brat podnosi się z ziemi. – Uspokój się, Gucci – zgasił go. – Gdybym się tu nie pojawił, miałbyś już kaszę zamiast mózgu. W dodatku porzuciłeś Megalodona. Pogadamy o tym później. Wracaj na miejsce.

– Miałeś cholerne szczęście, że nie było tutaj Harta i Warga – szczerknął do mnie Gucci, po czym niechętnie powlókł się do kabiny.

– A ja polegam tylko na sobie. To bardzo dobry zwyczaj – odparłem. – Mowa o reszcie braci? – Odwróciłem się do mężczyzny z obręczą.

Sadząc po tonie, to on był szefem tej ekipy i nazwał swoją jeżdżącą fortecę imieniem jakiegoś prastarego jaszczura. Fakt, wstydu mu nie przynosiła.

– Owszem – potwierdził niechętnie. Najwyraźniej niezbyt mu się podobało, że jego braciszek zdradził tyle informacji.

– Nie masz szans na pokonanie siódemki! Jesteś tylko ofiarą. Zginiesz, żebyśmy mogli sprawdzić, jak walczyć z demonem – krzyknął jeszcze Gucci, zanim zamknął za sobą drzwi.

– Na miejsce! – Szef był już wściekły.

– Jasne, jasne, już idę, Fruzzi – wymamrotał jego brat i zniknął we wnętrzu wozu.

– Cóż, z pewnością jeszcze się spotkamy. Strazynski chce dać nam ostatnie instrukcje – pożegnałem się i podążyłem w przeciwnym kierunku.

Chciałem uniknąć bliższego spotkania z Hartem i Wargiem, którzy właśnie wrócili. Bliźniacy, koszmar wszystkich zapaśników i zabijaków. Nie można ich było pokonać, co najwyżej zabić. Potężne sylwetki, formowane albo w biokadziach, albo przez cholernie dobrego czarodzieja; ręce trochę dłuższe od naturalnie proporcjonalnych, przystosowane do

obsługi broni wielkiego kalibru i oczywiście do walki wręcz; potężne łuki brwiowe chroniące oczy i zwiększające odporność czaszki. Na pewno mieli jeszcze mnóstwo innych ulepszeń, których na pierwszy rzut oka nie było widać.

Czasami lepiej po prostu się wycofać.

* * *

Spotkanie ze Strazynskim miało się odbyć dopiero wieczorem, miałem więc trochę czasu, by rozejrzeć się po okolicy za demonem siódmego stopnia według skali Rawspiera. To mi najbardziej nie pasowało. Taką moc wyczułbym nawet na sto kilometrów, i to bez pomocy amuletów, talizmanów i wszystkich innych możliwych akcesoriów, które nosiłem przy sobie. Ale w przeciwnym razie Strazynski z pewnością nie szastałby tak pieniędzmi.

Ruszyłem główną drogą na Trzyniec. Na terenie miasteczka została zrekonstruowana, ale i tak można się było zorientować, którędy przechodził tajemniczy stwór, dotykając topiąc kamienie. Jego ślady wypełniono materiałem ścierającym się kilka razy szybciej niż inne nawierzchnie, łamiącym się i kruszącym. Spotkałem nawet grupę robotników, którzy właśnie łatali niedawno na nowo powstałą dziurę. Poświęcili mi wiele nieprzyjaznych spojrzeń, lecz potem wrócili do pracy.

Był piękny jesienny dzień. Promienie słońca padały na równinę wokół Jabłonkowa, podkreślając malowniczość gór ciągnących się na wschód i zachód. Nad nimi wisiały chmury, ciężkie, szare chmury, w których śnieg przygotowywał się do natarcia, a wraz z nim zima, która zmieni tę krainę w ponure miejsce, gdzie trudno będzie doczekać wiosny.

Przypomniałem sobie dwie zwalczające się siły, które pokazało mi urządzenie Zeissa. A zatem panująca tu idylla była tylko złudzeniem. Zresztą nie tylko tu. Przestałem gapić się bezmyślnie i skoncentrowałem się. Jeżeli chciałem szukać śladów bytów z innych sfer, musiałem rejestrować bardziej subtelne sygnały, dźwięki, dysharmoniczne tony, wychwytywane przez te spośród moich zmysłów, dla których nie miałem nawet nazwy.

Nie było łatwo. Stwór, który przeszedł tędy przed dziesiątkami lat, należał do piekielnej klasy. Może jakiś niegdyś mocny, dzisiaj już zapomniany bóg. Nawet ci zapomniani mogą czasami wdrzeć się na szczyt sławy.

Ciągle nic, tylko asfalt i echa wspomnień. Oddalając się coraz bardziej od miasteczka, zacząłem odbierać sygnały zdradzające obecność stworzeń, które w skali Rawspiera nie załapałyby się nawet na pierwszy stopień. Było ich więcej niż gdzie indziej. Potrafiły utrudnić podróżnikowi życie, a nawet zabić, pastwić się nad jego duszą i ciałem. Potem wyczułem inne stworzenia – ni to zwierzęta, ni to ludzie, gdzieś w połowie drogi między instynktami a myśleniem. Takie były najgorsze.

Ponownie skoncentrowałem się na asfalcie. Sądząc po tym, czego się dowiedziałem od Fruzziego i Strazynskiego, demon był w jakiś sposób związany z Trzyńcem. Co tu robił? Z

Trzyńca by go ot tak nie przepędzili, demony nie boją się niczego. Siódemki na pewno nie.

Potknąłem się. Nie zdołałem złapać równowagi i bezwolnie upadłem na kolana. Czułem się, jakby po godzinie wsłuchiwania w ledwo słyszalny ton nagle zaraz przy moim uchu ryknął tysiącowatowy głośnik. Powietrze, ziemia, wszystko było nim przesiąknięte, naznaczone piętnem jego egzystencji. Demon, potężny demon siódmego stopnia, inteligentna zagłada. Był tutaj. Następny krok – i pustka, większa niż gdzie indziej, jak gdyby ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby wymazać wszystkie ślady obecności poprzedniego podróżnika.

Przestałem analizować asfalt i rozejrzałem się, żeby znaleźć najbardziej prawdopodobny kierunek, w którym oddalił się demon.

Nagle miałem w dłoni Margaret, lecz dopiero po chwili uświadomiłem sobie dlaczego. Za pasem krzaków rosnących wzdłuż drogi stała kobieta. Około czterdziestki, może pięć lat więcej, może pięć lat mniej; wiek ludzi pracujących pod gołym niebem trudno oszacować. Kasztanowy warkocz przerzucony przez ramię, kamizelka z mnóstwem kieszeni, a w każdej coś się kryło. Kobieta przez cały czas mnie obserwowała, widziała, jak sięgam po broń, a mimo to została na miejscu i nie próbowała uciekać.

Jej oczy miały barwę niezapominajek – niezapominajek, które potrafiły walczyć o słońce z barszczem olbrzymim.

– Tak samo jak pan szukam śladów – odpowiedziała na niezadane pytanie.

Jej melodyjny głos idealnie pasował do wyglądu. Kiedyś musiała być piękna. Życie odarło ją ze wszystkiego, zostawiając podstawy, fundamenty, odbicia. Szkoda. Wzdrygnąłem się. Nigdy nie miałem takich przemyśleń, skąd się teraz brały? To mi nie wyglądało na sprawkę uwięzionej części mojej osobowości. Nie spuszczać kobiety z oczu, podążałem dalej tym tropem i zorientowałem się, że to już nie pierwszy raz, kiedy myślę w taki miękki, niemal melancholijny sposób. Teraz jednak jeszcze silniej niż przedtem, do tego stopnia, że to sobie uświadomiłem. Może to za sprawą tej młodej kobiety, przez którą zabiłem królową upiorów, własną kochankę, a może tego chłopca, który uratował mi życie, a ja w zamian spaliłem jego miasteczko?

– Czy musi pan we mnie celować? – przerwała moje wspomnienia.

Wprawdzie nie spuściłem z niej wzroku, ale gdzieś odpłynąłem, i to zdecydowanie na dłużej niż chwilę.

– Czasami się tak zamyślam – próbując się uśmiechnąć, schowałem Margaret.

– Zamyśla się pan z gotową do strzału bronią w dłoni?

Podobała mi się jej ironia.

– Czasami nawet zapomnę pociągnąć za spust.

– Nie wygląda pan na kogoś, kto mógłby o tym zapomnieć. – Czułem, jak analizuje mnie na kilku płaszczyznach naraz. Niektóre były tak głębokie, że dopiero teraz się o nich dowiedziałem. – Ciekawe. Nie sądziłam, że można przeżyć to, co wam zrobili.

Jej głos rozjaśnił odcień zyczliwości. Nagle odniosłem wrażenie, że ona wie, kim jestem,

że wie więcej ode mnie. Potem to wrażenie zniknęło. Tylko mnie badała, ustalała, jak daleko sięgały moje transformacje, i chyba trochę ją to przeraziło.

– Myślę, że powinien pan się tutaj porozglądać – zmieniła ton na konkretny i rzeczowy. – Ja już skończyłam. Zobaczymy się wieczorem.

Zanim zdążyłem zareagować, już jej nie było. Nie poczułem sygnału kinetycznej transportacji ani hipersferycznego transportu. Po prostu jej nie było.

„Nie sądziłam, że można przeżyć to, co wam zrobili”. Co tak naprawdę chciała przez to powiedzieć? Mogłem tylko zgadywać. Wiedziałem też, że albo powie mi wszystko dobrowolnie, albo nie dowiem się niczego. Ta kobieta była czarodziejką wysokiej klasy. Tak dobrą, że mogła sobie pozwolić na niezależność i anonimowość. Co to musiał być za demon, skoro Strazynski sprowadził tutaj wszystkich najlepszych łowców?

Nie miałem pojęcia, dlatego wróciłem do szukania śladów demona siódmej kategorii według skali Rawspiera. Powinien budzić wulkany, zrównywać całe miasta z powierzchnią ziemi, a ja ciągle nic nie czułem. Stałem w miejscu, w którym dostrzegłem czarodziejkę, i zacząłem się rozglądać. Dostrzegłem ślady – ślady kobiety podążającej w stronę gór. Odciski w glinie wypełniała woda po ostatnich opadach. Kobieta nie szła zbyt szybko, przeciwnie, wydawało się, że niosła coś ciężkiego. W jednym miejscu zatrzymała się, by odpocząć, a potem ruszyła dalej, zmęczona, ale stanowcza. Wszystko odczytałem z tego krótkiego odcinka, na którym pozostały jej ślady.

Niczego więcej już się nie dowiedziałem. Demon jakby się ulotnił. Spokój. Bezruch. Cisza.

Słońce dotknęło horyzontu, moje niezbyt udane poszukiwania dobiegły końca. Wróciłem na asfalt i ruszyłem w stronę miasteczka. Wieczorem pewnie dowiem się więcej, nawet jeśli będą nas celowo dezinformować. I okłamywać.

Po drodze spotkałem ludzi, którzy szli do kościoła na wieczorną mszę. Poważni, milczący, większość wciąż w ubraniach roboczych. W wielu miastach, które odwiedziłem, zabiliby ich za tę wiarę. Wszyscy się bali starego J. Ch. Nie miałem mu za złe jego paranoi. Zrobił dla ludzi, co tylko mógł, a oni potraktowali go jak psa, który przez całe życie wiernie pilnuje stada, a gdy coś mu się stanie, zostaje obdarty ze skóry i rzucony świniom na pożarcie.

Restauracja hotelowa była pusta, zarezerwowana dla Strazynskiego i jego gości, czy raczej najemników. Jednego z nich nie znałem – mierzącego ponad dwa metry chłopa, przy którym nawet Warg i Hart wydawali się mali. Nie miał ludzkich proporcji, twórcy jego ciała nawet nie próbowali ich zachować. Należał do tego samego rodzaju, co Micuma – jakaś biologiczna konstrukcja, skrzyżowanie człowieka z komputerem, komputera z człowiekiem lub coś zupełnie innego. Nosił gnata przypominającego karabin Janoty, lecz w nieco większej skali. Nie było w nim nic szczególnego i właśnie dlatego mnie irytował. Coś mi w nim nie pasowało.

Rosyjski kelner postawił przed każdym to, co ten zamówił. Zjawił się nawet sam

właściciel, żeby sprawdzić, czy ktoś nie ma jeszcze jakichś życzeń. Strazynski musiał być dobrym klientem. W drzwiach kuchni dostrzegłem znajomą dziewczynkę. Skinąłem na nią.

– Mam ochotę na kielbasę, tłustą kielbasę. Możesz to załatwić w kuchni, a potem przynieść mi ją prosto z patelni?

Zachichotała i przytaknęła. Po co ta życzliwość, zapytałem sam siebie. Nie, to nie była życzliwość. Potrzebowałem pomocy i w ten sposób chciałem ją kupić. Właśnie tak. To rozumiałem. To było w moim stylu.

– Widzę, że masz tu przyjaciółeczkę – zwrócił się do mnie cyborg.

– Taka znajomość się opłaca.

– O, z pewnością. – Wykonał obsceniczny gest.

To człowiek, już wiedziałem. Komputery i kompleksowe sztuczne inteligencje nie bywają tak perwersyjne.

Strazynski kaszlnął, by wszyscy zwrócili na niego uwagę. Janota siedział obok. Zwyczajny człowiek ze zwyczajną bronią, w porównaniu z innymi wyglądał krucho i jakoś tak zbytecznie.

– Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy – zaczął Strazynski.

Nie zabrał ze sobą Saxona. Pewnie nie chciał, żeby jego wypalony brat zdradził więcej informacji, niż to konieczne z punktu widzenia zakonu.

– W okolicach miasteczka pojawia się albo pojawi w najbliższym czasie demon szóstej, może nawet siódmej kategorii. Opętał człowieka i w ten sposób dostał się do naszej rzeczywistości.

– No to niewiele z tego człowieka zostało – rzucił Gucci.

– Według naszych informacji istnieje prawdopodobieństwo, że demon prędzej czy później podejmie próbę ataku na Jabłonków. Wszyscy dostaliście zaliczkę na przygotowanie się do zadania. Reszta pieniędzy pozostanie w sejfie, tutaj, w mieście. Jeśli dojdzie do ataku, przeprowadzonego z przewidywaną siłą...

– ...z sejfu nic nie zostanie – zadrwił cyborg. – To oczywiste.

Strazynski przytaknął.

– Wtedy nikt nie otrzyma zapłaty, nawet jeśli demon zostanie później zlikwidowany. Tutaj – wskazał na stertę kartek przed sobą – znajdują się dalsze informacje. Będę w mieście. Gdyby ktoś potrzebował czegoś ode mnie, postaram się pomóc, ale nic więcej nie wiem.

Rozdał nam pliki kartek z recyklowanego papieru. Byłem ciekaw, czy wszystkie zawierają tę samą treść, ale nie mogłem tego sprawdzić.

Moja mała znajoma przyniosła mi kielbasę na talerzu. Postawiłem go obok papierów i wcisnąłem dziewczynce w dłoń monetę. Odpowiedziała miną godną spiskowca.

– No, no... – skomentował cyborg.

– Też sobie zamów – zaproponowałem.

– I jeszcze jedno. Nie życzymy sobie używania broni nuklearnej w promieniu dwustu

kilometrów od miasteczka – dodał Strazynski.

Warg miał zawiedzioną minę, ale nic nie powiedział.

– Miejscowi mechanicy są do państwa dyspozycji. Jeśli będziecie potrzebowali czegoś szczególnego, proszę zwrócić się do mnie. Potrafię zdobyć wszystko, co występuje w Trzyńcu i okolicy – kontynuował ksiądz.

– Niczego nie potrzebujemy. Wszystko przywieźliśmy ze sobą – powiedział Fruzzi.

Byłem już całkiem pewny, że to właśnie on przewodzi braciom.

– Ponieważ demon siódmej kategorii jest niezwykle silnym przeciwnikiem, postanowiłem wypłacić wam zaliczki, choć to spore sumy. Mam nadzieję, że będziecie współpracować. Aby uniknąć późniejszych sporów o to, kto zniszczył demona i ma prawo do reszty nagrody, ustalmy, że będzie to ten, kto po wykonaniu zadania zgłosi się jako pierwszy.

Cyborg zarechotał, tak samo Gucci i jego dwaj zmutowani bracia.

To było iście makiaweliczne wyrafinowanie. Pewnie będziemy współpracować, póki ktoś nie zniszczy demona, a potem skoczmy sobie do gardeł. Przy odrobinie szczęścia nie będą musieli nikomu niczego płacić. Znali się na tym, ten warunek musiał zostać.

Rozłożyłem swój plik. Było tam napisane wszystko to, co Strazynski nam właśnie powiedział. U dołu jednej z kartek przyklejono plastrem kosmyk włosów. Mógł bardzo pomóc specjalistom zajmującym się poszukiwaniem zaginionych osób. Tylko że my mieliśmy znaleźć demona siódmej kategorii. Nawet gdyby znajdował się w naszej rzeczywistości, w odległości nie większej niż sto kilometrów, ten najprostszy asferyczny amulet zachowywałby się jak kompas podczas burzy magnetycznej. Ciągłe coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Część mojego honorarium stanowił również pobyt w klasztornej bibliotece.

– Jeśli nikt nie ma uwag, zostawiam państwa i już nie przeszkadzam w pracy. – Na pożegnanie umył z nami ręce.

Siedzieliśmy przy stole i patrzyliśmy jeden na drugiego.

– Wy jesteście bracia Heldonowie? Ci, którzy wybili Wrocławski Klan? – zapytała czarodziejka, patrząc na Fruzziego.

Nie mogłem rozszyfrować, co znaczyła jej mina.

– Tak. Nasi zleceniodawcy powiedzieliby raczej, że uwolniliśmy ich miasto od upiorów – odparł Fruzzi z uśmiechem.

– A więc nie ma sensu proponować ugody – kontynuowała.

Gucci i pancerni bliźniacy zaśmiali się.

– Ano nie ma – przytaknęli.

– Dlaczego? Ugoda może się okazać korzystna dla obydwu stron – Fruzzi nie dał się zakrzyczeć.

Już rozumiałem, jak funkcjonuje ta braterska ekipa. Fruzzi był analitykiem. Decydował, czego się podejmują, a czego nie i jak się zachowywać w stosunku do partnerów handlowych. Gucci, kierowca, zapewne zajmował się wehikułem. Ten kasek był jednak zbyt wielki, żeby

zdołali go ugryźć. Mieli co prawda całkiem porządny pojazd, lecz tutejsze góry pozostawały poza ich zasięgiem. Warg i Hart byli specjalistami od pracy w terenie. Możliwe też, że gdy dochodziło do walki, wybierali taktykę dla całego zespołu. Nie wydawało mi się jednak, by arsenalem, z którym tu przybyli, dali radę zlikwidować cały klan upiorów – klan, który zaważadnął całym państwem Wrocław.

– Nie, nie ma sensu proponować porozumienia. Wy nie dotrzymujecie słowa – wyjaśniła czarodziejka.

Fruzzi na wszelki wypadek rzucił braciom ostrzegawcze spojrzenie, by nie działali w afekcie. O dziwo, nie musiał. Z pewnością wiedzieli o niej więcej niż ja.

Cyborg wstał, solidna podłoga zaskrzypiała pod jego stopami.

– Płaci nieźle, ale siódemka to nie przelewki. I wszyscy wiemy, że pieniądze są tutaj, w mieście. A co, gdybyśmy je sobie przywłaszczyli, a potem po prostu się pożegnali? – rzucił propozycję z szerokim uśmiechem.

Pokazał przy tym drugi rząd zębów ukryty za pierwszym. Naraz uświadomiłem sobie, co mnie w nim cały czas tak niepokoiło. Roztaczał wokół siebie taką samą aurę, jaka krótkotrwale towarzyszyła pewnym czarom. Ta była jednak tak silna, że długo nie mogłem jej rozpoznać. Ten świr miał w głowie induktor nerwowy, który pozwalał mu uprawiać prymitywną, ale bardzo skuteczną magię, choć nie miał do niej talentu. Sądząc po aurze, którą urządzenie generowało w trybie oszczędnościowym, przy jego pomocy zrównałby z ziemią ten budynek, a może nawet ulicę.

– W ciągu godziny pieniądze mogą być nasze. Miejscowi bardzo uważają, żeby nam nie przeszkadzać. Ale jak nie, to nie... – Wzruszył ramionami.

Znałem takich jak on. Najmują się do pracy, a kiedy zorientują się, że więcej zyskają, zwracając się przeciw pracodawcy, zostawiają za sobą jedynie spalone wsie. Takie jak Drewniana Szczelina.

Induktor błyskawicznie zwiększył moc, linie sił generowanego pola zaczęły mnie oplatać niczym sieć z drutu kolczastego. Nie doceniłem go. Mógł jedną myślą zmieść z powierzchni całe miasteczko. Nie rozumiałem, dlaczego inni się nie bronią, ale w końcu to do mnie dotarło – Fruzzi i czarodziejka chronili się permanentnie mentalnymi barierami. W dodatku na ich postrzeganie prymitywnej emanacji niekorzystnie wpływała ich własna magiczna aura – dlatego w ogóle nie zarejestrowali sygnału misternie skonstruowanego urządzenia. Co więcej, czarodzieje nie doceniali prostej indukcji nerwowej, a w bezpośredniej bliskości nie byli w stanie stawić czoła tak brutalnej sile.

– No to jak? Pytam po raz ostatni. – Cyborg szczyrzył zęby.

To był chwyt retoryczny. Zamierzał wykorzystać swoje atuty, zabić nas, a potem spalić miasteczko. Widziałem to w jego szalonych oczach. Sięgnąłem po Margaret, ale wiedziałem, że już jest za późno, ponieważ zerknął na mnie ukradkiem i w ułamku sekundy czar mnie znokautował. Nic specjalnie skomplikowanego, po prostu starał się podnieść temperaturę

mojego ciała. Do paru tysięcy stopni. Karabin zaniósł się długim, niemal nieskończonym terkotem, cyborg zastygł w bezruchu, spojrział ze zdziwieniem w kąt sali, gdzie siedział Janota. Nikt nie zwrócił uwagi na zwykłego miejscowego policjanta.

Zamek szczęknął. Magazynek był pusty, wszystkie pociski trafiły w cel – brzuch i klatkę piersiową. Mimo to cyborg trzymał się na nogach. Z ran sączyła się krew, ale nie w takich ilościach, jakich można by się spodziewać. W poharatanej tkance, jędrniejszej od drewna dębowego, skrzyła się magia. Zaklęcia, którymi była podrasowana amunicja Janoty, zmagaly się z układem odpornościowym rannego. Indukowane czary rozplýwały się wraz z gasnącą koncentracją ich twórcy, ale mimo to temperatura w pomieszczeniu radykalnie wzrosła. Szklanki na półkach popękały pod wpływem fali żaru.

– Kurwa, to niemożliwe – zdążył powiedzieć cyborg, po czym runął na ziemię.

Wszyscy z podziwem patrzyli na Janotę. Ten wymienił magazynek i dla pewności oddał po jednym strzale w obydwie oczodoły martwego.

– Nie zabiły go czary – stwierdził Fruzzi po chwili pełnej skupienia obserwacji cyborga.

– Nie – zgodził się Janota. – Stary, pocziwy jad na bazie kurary. W pobliżu potoku jest dużo żab. Przeczytałem w jednej książce, jak to kiedyś robili Indianie. Dzisiaj też działa. Dopiero później się zorientowałem, że przed Krachem jadowite żaby żyły w amazońskich pralaszach, nie tutaj. Jeśli komuś jeszcze nie podobają się ustalone zasady, niech to od razu powie.

Zastanawiałem się, jakie jeszcze triki kryje w zanadru ów skrzywdzony przez życie popapraniec. Ten wyszedł mu bezbłędnie. Jego czujność, bezwzględność i nieprzewidywalność oszczędziły nam wszystkim wielu problemów.

– Ze mną nie będzie żadnych problemów, poruczniku. – Czarodziejka wstała i odeszła bez pożegnania.

Ruszyłem w jej ślady. Bracia upiorobójcy nie byli warcii mojego towarzystwa.

* * *

Siedziałem w pokoju i topiłem ołów w garnuszku na przenośnej kuchence spirytusowej. Wozilem ze sobą dwa ołowiane pręty na podobne okazje. Materiał wziąłem z trumien, w których pochowano ofiary katastrofy przemysłowej w pewnym mieście. Z pewnością dla nich to nie miało większego znaczenia. Kiedy tam się zjawiłem, wszyscy już byli martwi.

Gdy metal był dostatecznie ciekły, chwyciłem naczynie szczypczykami, które zdobyłem razem z ogromnym rewolwerem, i wlałem syczący płyn przez lejek do formy. Szczypczyki były stare, rdza zrobiła swoje. Odrobina ołowiu wyciekła bokiem, co znaczyło, że musiałem jeszcze oszlifować pocisk. Oczekałem chwilę, wyłuskałem go z formy i patrzyłem, jak toczy się po skośnym blacie. Pozwoliłem mu opaść na ziemię. Wszystkie te czynności powtórzyłem jeszcze dziesięć razy. Na amunicję do ostatniego, jedenastego magazynku nie wystarczyło już

ółowiu. Potem nastąpił kolejny etap. Nie potrafię czarować w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale istnieją wykresy, schematy, obrazy, w które człowiek może przelać swoją wolę. Czary, przetrwanie i nawet samo życie są tylko pochodnymi woli. Zacząłem kreślić grafiki na oszlifowanych pociskach. Wyobrażałem sobie przy tym Fruzziego i jego bandę, stworzenia, które kiedyś spotkałem i zabiłem, upiora, który pokonał mnie w pojedynku na gołe pięści. Myślałem o nich wszystkich i starałem się zawrzeć w diagramach jak najwięcej swojej wewnętrznej siły, by zabijały. Istnieje tylko jeden sposób sprawdzenia, czy się udało. Opracowałem tak pięć pocisków, a potem czułem już zbyt wielkie zmęczenie. Moje drugie ja znowu wydostawało się na zewnątrz, jak zawsze, kiedy byłem psychicznie albo fizycznie wyczerpany.

Zająłem się teraz czymś innym. Na pozostałych pociskach powycinałem nożem krzyże i kilka okręgów, żeby po wnikięciu w ciało rozszczepiły się na kawałeczki jak amunicja odłamkowa. Do łusek, które oddałem do renowacji miejscowemu mechanikowi, powkładałem sponki, wypełniłem je prochem i na koniec sprasowałem. Podczas pracy pole widzenia Oka kilkakrotnie się zaczerwieniło – kiedy zbyt głęboko nacinałem pociski, przez co mogło je rozerwać na kawałki już w momencie wystrzału, albo kiedy przesadzałem z ilością wpychanego do środka prochu. Po kilku godzinach miałem dziesięć całkiem porządnym naboju do Zabójcy Demonów. Nawet ostatni, jedenasty, był już gotowy, wystarczyło tylko wprasować proch.

Byłem zmęczony. Obława miała zacząć się jutro, musiałem jeszcze rozebrać i wyczyścić rewolwer. Położyłem go na ręczniku, wyjąłem z plecaka olej. Zanim wziąłem się porządnie do roboty, wyciągnąłem ilustrację. Znowu się zmieniła. Twarz obrońcy miasta zapadła się, zmarszczki dodały mu lat. Pojawiły się linie mocy tworzące klin, na którego szczycie znajdował się mężczyzna. Pojąłem, że nawet jeśli z pozoru tylko on sam przeciwstawia się nieskończonej fali monstrów, ma w sobie siłę wszystkich ludzi w mieście, przekazujących mu nadzieję i moc. Potem mój wzrok przykuła nadciągająca rzeka czerni. Albo zyskała strukturę, albo po którejś już analizie wreszcie nauczyłem się dostrzegać ukryte prawidłowości. Skoncentrowałem się. Odkrywałem obraz jak człowiek, który zbliża się do celu, ale tuż przed nim dostrzega jeszcze jakieś nieznane dotąd szczegóły. Gdy rozpoznałem pierwszą kreaturę otoczoną aurą, przy której induktor cyborga wydawał się dziecięcą zabawką, zamknąłem oczy. Możliwe, że nie potrzebowałem aż takiej wiedzy, możliwe, że nie chciałem, by ta część mnie, której się bałem, wiedziała, jak to wtedy było. Jak wspaniale, porażająco, doskonale. A przeciwko tej rzece czerni stanął jeden mężczyzna, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

– Zmienia się. To magiczny obrazek, prawda? – pytanie wyrwało mnie z transu.

Był magiczny już choćby dlatego, że redukowałam moje instynkty bojowe do poziomu prosiaka prowadzonego na rzeź.

– Zmienia się za każdym razem, kiedy pan na niego popatrzy.

Moja mała znajoma nie brała sobie ostrzeżeń zbyt do serca.

– Jak myślisz, kto by ci pomógł, gdybym teraz postanowił cię skrzywdzić? – warknąłem, podnosząc się.

Po zmęczeniu nie było ani śladu. Ręka dygotała, jakby chciała wyswobodzić się z rękawicy. Wystarczyło zrobić krok, zamknąć drzwi i...

Popatrzyła na mnie z pewnością właściwą tylko ludziom młodym i niedoświadczonym.

– Dlaczego miałby pan to zrobić? Ja dobrze wiem, kim pan jest. Nie podobało się panu, co mówił ten pan, którego zastrzelił porucznik Janota. Tylko pan by mi pomógł.

Napięcie zniknęło, nagle znowu poczułem się zmęczony. Demon uwięziony we mnie ucichł, jak gdyby skuty jeszcze większą liczbą łańcuchów.

– A jak ty się właściwie nazywasz? – zapytałem nie wiadomo czemu.

Nie należy poznawać imion ludzi. Tak powstają więzy, których nawet najlepsi czarodzieje nie są w stanie zerwać.

– Gabreta – odpowiedziała. – A pan jest Raymond Curtis.

Co ona wygaduje?

– Zapytałam porucznika Janotę, jak nazywał się ten mężczyzna, który ocalił ludzkość w bitwie na tym pana obrazku – wyjaśniła, widząc niezrozumienie wypisane na mojej twarzy.

Raymond Curtis? R. C? Tak zwrócił się do mnie umierający Czarodziej w Drewnianej Szczelinie, te inicjały przyjąłem jako swoje imię. Znała je również Serena, królowa upiorów. Zatkało mnie.

– Co jeszcze powiedział ci porucznik?

– Że to był odważny mężczyzna. Prawdopodobnie jeden z najbardziej prawych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli.

Gabreta miała nowe kolczyki, miedziane spiralki. Kiedy mówiła, kołysały się delikatnie, a metal błyszczał w świetle dwóch lamp naftowych, które zapaliłem na czas pracy. Prąd był w Jabłonkowie trzy razy w tygodniu, dzisiaj nie miałem tego szczęścia.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Wpatrywałem się tępo w błyskające refleksy metalu.

– Powinnaś już spać – wyprosiłem ją.

– Dobranoc. Niech panu szczęście sprzyja – powiedziała z powagą godną dorosłych.

Gdy zamykała drzwi, wydawało mi się, że dostrzegłem w ciemnych kątach korytarza niewyraźne kształty posłańców śmierci. Śmierci nieodwracalnej czy innej? Na razie to tylko cienie, ożywione moją wyobraźnią wskutek wyczerpania. Z drugiej strony szykowałem się do polowania na demona siódmej kategorii. Nie zdziwiłbym się, gdyby pojawił się tutaj sam wielki bóg śmierci i z tym swoim sarkastycznym uśmiechem życzył mi dużo szczęścia. Czym jest szczęście dla boga śmierci? Jeszcze tego nie ustaliłem.

Zacząłem rozbierać rewolwer. Poszło łatwo, łatwiej, niż sądziłem – mechanizm był w zadziwiająco dobrym stanie.

Dłoń w rękawicy chirurgicznej szarpnęła za uchwyt i otworzyła kontener, a potem zniknęła w czerni jego wnętrza przeciętej światłem latarki. Po chwili w hałdzie odpadów znalazła foliowy worek. Wyciągnęła go w szarą ciemność zwykłej nocy. Skalpel błysnął, przeciął folię. Ukazała się zsiniała, pozbawiona wyrazu twarz noworodka. Już nie płakał, wyglądało na to, że także nie oddychał. Skalpel zniknął, pojawiła się maska tlenowa. Przez chwilę nic się nie działo, gdzieś w pobliżu przejechał samochód, między zardzewiałymi kołami kontenera mignął cień szczura. Dziecko zaczęło się wiercić, poruszyło nóżkami i zakwiliło. Był to pełen wyczerpania głos kogoś, kto już prawie znalazł się po drugiej stronie. Maskę zniknęła, dłonie włożyły noworodka do przygotowanej torby. Nie było w tym ruchu żadnej życzliwości. Tylko satysfakcja, jakby trud włożony w tę czynność był tego wart.

Znowu zadrzałem. Światło księżycy wpadało do pokoju przez okno, wygładzało zarys Zabójcy Demonów leżącego przede mną, prawie zmieniając go w zwyczajną broń. Byłem mokry od potu.

Ręka w jakiś sposób wydostała się z rękawicy i otworzyła Kleszcze. Samowolnie wbiły się w dębowy blat stołu. Oko przedstawiało zamglony świat, jakby miało mokrą soczewkę albo coś w jego wnętrznościach uległo uszkodzeniu. Nie prześladował mnie zwyczajny nocny koszmar, lecz kontynuacja tego poprzedniego, snu, który omotał mnie jeszcze w dzień. Co oznaczał? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem jednak, że lepiej by się stało, gdyby noworodek z kontenera umarł. To, co go czekało, nie było warte nawet wspomnienia. Jeszcze raz przypomniałem sobie te dłonie. Precyzyjne, doskonale skoordynowane ruchy, sięgną widoczne przez cienką warstwę lateksu i małe blizny między trzema kłykciami. Poznałbym je. Nagle odkryłem, że trzęsę się nawet teraz, w półśnie. Zacząłem ładować naboje do magazynku Zabójcy. To mnie uspokoiło.

Chyba wciąż panowała noc, ale obławę na demona, w którego istnienie poważnie wątpiłem, mogłem rozpocząć natychmiast. Na świecie nie było zbyt wiele rzeczy, których bym się bał, wprost przeciwnie. To inni powinni bać się mnie.

Micumie oczywiście nie spała, czekała na mnie. Osiodłałem ją, Greysona włożyłem do worka podróżnego, Margaret do kabury, Zabójcę wetknąłem za pas. Uwierał mnie. Minie sporo czasu, zanim się do siebie przyzwyczaimy, ale czułem, że to się nam opłaci.

Jechaliśmy asfaltową drogą, starannie omijając źle załatane dziury. Noc była cicha i wilgotna. Ledwo opuściliśmy Jabłonków, dym z kominów rozpląnął się w porywach zimnego wiatru zstępującego z okolicznych gór. Noc jedno wyostrzała, drugie rozmywała. Miejsce, w którym na chwilę zjawił się demon, odnalazłem szybciej niż za dnia. Potem dotarłem na puste terytorium, gdzie nie czułem zupełnie nic. Żadnych duchów, żadnych oznak starych śmierci, od których aż się roi w pobliżu ludzkich siedlisk. Widziałem ślad wilkołaka zmierzający w stronę pustego terytorium. Rozpląnął się jak kamfora. To nie był przypadek. Demon się maskował, choć nie idealnie. Znalazłem też ślady kobiety. Już wczoraj powinienem był się

domyślić, że ona i demon mają ze sobą coś wspólnego. Włosy na kartkach od Strazynskiego zapewne należały do niej. Zapewne? Uśmiechnąłem się szyderczo.

Oko przełączyło się na tryb nocny, pokazując okolice w odcieniach zieleni. W ostatnim czasie często tak ze mną współpracowało. Dziwne. Ślad był już jednak zbyt stary, bym mógł dzięki niemu coś zobaczyć.

Zatrzymałem się między dwoma zgarbionymi jaworami. Przebierałem w amuletach, aż wreszcie znalazłem właściwy. Wyciągnąłem nóż i wbiłem sobie w prawe przedramię. Tak jak zawsze, głębiej i mocniej, niż trzeba, bo Ręka uwielbiała krew, także własną.

Poczekalem, aż szkarłatna, a w ciemności czarna ciecz skapnie na blaszaną tabliczkę, na wpół startą od wieloletniego noszenia, i powiesiłem ją z powrotem na szyi. Podczas gdy krew zasychała, moje zmysły stopniowo transformowały. Przystawałem słyszeć dźwięki, czuć zapach drzew, spadających liści i świeżej gliny. Zamiast tego docierał do mnie głód mniejszych i większych drapieżników, instynktowna groza ściganej zwierzyny łownej, typowa dla wilkołaków prymitywna, na wpół ludzka, na wpół zwierzęca chęć zabijania, mordercze żądze innych bestii. Sporo ich tu krążyło. Wąchałem ich emocje, uczucia, myśli, zanurzałem się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu w tej chaotycznej płątanie znalazłem ślad człowieka. Wściekłość, beznadzieja, niewiara, ból. Nie potrafiłem rozplątać tego węzła, lecz emocjonalny ślad zmierzał na zachód, w stronę gór, tak samo jak ślady kobiety, które miały związek z demonem.

Ruszyłem przed siebie z Margaret w dłoni, Micuma podążała tuż za mną. Jej wzrok nie sprawdzał się zbyt dobrze w warunkach nocnych, a nie chciała połamać nóg w gąszczu, w który się pakowaliśmy. Po kilku metrach dotarliśmy do świeżo zaoranego pola. Brodzenie w wilgotnej, lepiałej się glinie było równie trudne. Zawczasu dokładnie przestudiowałem mapę okolicy, stąd wiedziałem, że podążam w stronę przełęczy, która prowadzi do małej osady zwanej Lomna. Na mapie napisano „D. Lomna”, ale nie miałem pojęcia, co oznacza ten skrót. Dzisiaj osada leżała na samym skraju pralasu, kiedyś zapewne było inaczej, ludzi też mieszkało tam więcej. Dwukrotnie przeprowadziłem się wpław przez jakąś rzeczka, oznaczoną na mapie niebieskim napisem „Lomna”.

Byłem bardzo ostrożny, gdyż zintensyfikowana empatia robiła ze mnie na wpół głuchego, na wpół ślepego kalekę. Niektóre potwory nie mają żadnych emocji, a mimo to zabijają. Tych nie widziałem.

Po jakimś kilometrze dotarłem do niegdyś zamieszkanego miejsca. Kilka domów, nic więcej. Nie czułem obecności żadnego człowieka, jedynie szelest liści z okolicznych jaworów pod nogami. Szelest liści... To mi przypomniało, że za chwilę działanie amuletu się skończy, chociaż nadal wychwytywałem emocjonalne ślady. A poza tym jego używanie wiązało się z ryzykiem, trudno było odróżnić własne emocje od cudzych. Kobieta zatrzymała się tutaj na noc albo po to, by się zastanowić, dokąd iść dalej, o ile demon zostawił jej resztkę wolnej woli. Dlaczego nie, może czerpał z tego jakieś korzyści. Przysiadłem przy częściowo

zburzonym murku z kikutek komina i przykryłem się liśćmi, by tak czekać na świt. Micuma schowała się nieopodal w cieniu drzewa. Jej emocje nie przypominały żadnych mi znanych. Uporządkowane, o specyficznej, nieludzkiej strukturze, a mimo to na swój sposób uspokajające. Zasnąłem.

Obudził mnie szelest liści. Kilka kroków przede mną stał wilk, stary samiec z siwym pyskiem i sporą łatą na piersi. Przyglądał mi się przez chwilę, potem zaczął węszyć w kierunku Micumy i znowu w moim. Widać uznał, że przyniosę mu o wiele więcej kłopotów, niż mógł sobie pozwolić, wrócił więc tam, skąd przyszedł. Słońce jeszcze nie weszło nad górami na wschodzie, ale już muskało zachodnie szczyty.

Zaledwie dziesięć metrów od mojego legowiska zauważyłem pozostałości ogniska. W starym popiele widniał odcisk żeńskiej stopy. Niski obcas, trójkątny szpic – to była ona.

Demon pozwalała, by dbała o siebie. Dziwne, te istoty zazwyczaj nie miały żadnych skrupułów w stosunku do ludzi, których ciałami zawładnęły. Nie rejestrowałem żadnych znaków jego obecności. Kobieta zmierzała w kierunku Lomny, a najdogodniejsza droga wiodła przez przełęcz. Wznosiła się bardzo delikatnie, prawie nieznacznie, niewyczuwalnie, koleiny sugerowały, że kiedyś służyła za drogę główną. Wybór wydawał się prosty i logiczny, lecz jeśli bracia Heldonowie wyruszyli swoją machiną, tu mieliby mnie jak na tacy – i zastrzelili, bez względu na jakiegokolwiek ugody. Przez chwilę rozważałem inne możliwości. Po prawej stronie wznosił się masyw Małej Kuczery, którego grzbiet delikatnie sięgał aż do Małej Kykuły. Strome zbocza mierzyły nawet trzysta metrów ponad poziomem przełęczy. Po lewej, jak twierdziła mapa, góry biegły na południe. Gdybym się ich trzymał, oddaliłbym się niepotrzebnie od Lomny. Postanowiłem iść w prawo. Kiedyś wiodło tamtędy wiele dróg – służyły myśliwym, drwalom, pasterzom.

Opuściliśmy ruiny starej osady, kiedy słońce ukazało się na poszarpanym horyzoncie. Kawalek za brodem znalazłem ścieżkę wspinającą się na zbocze.

Droga wiała się między uprawnymi polami. Ku mojemu zdziwieniu pomimo panującej wokół wilgoci nadal była sucha. Micuma stąpała pewnie, ciągle pod górę – wprawdzie łagodnie, potem coraz bardziej stromo. Kiedyś biegła tędy prawdziwa droga dla samochodów, która po latach, za sprawą osuwającego się zbocza i rozrastającego lasu, przeistoczyła się w karkołomne górskie podejście.

Kawalek za przewężeniem przełęczy leżał wiatrołom. Tam mogłem rozejrzeć się po okolicy. Według mapy powinienem mieć go już w zasięgu wzroku.

Im wyżej się zapuszczaliśmy, tym starszy był las, aż w końcu przeszedł w potężny jodłowo-bukowy pralasz, tu i tam urozmaicony jaworami. Pasożytnicze grzyby pastwiły się nad powalonymi olbrzymami, niemal bez przerwy słyszałem ciche szemranie niezliczonych potoków. Micuma zarżała. Nieoczekiwanie wjechaliśmy na odcinek, na którym zachował się porządny asfalt i gruboziarnisty podkład. Po krótkim, łagodnie opadającym odcinku pojawił się wykop, czy raczej okop, głęboki rów biegnący wzdłuż zbocza. Miał dobre sto metrów

długości, a przecięcie korzeni okolicznych drzew musiało kosztować kogoś wiele wysiłku.

– A może wykopano go właśnie po to, by je przeciąć – stwierdziłem głośno.

– Może – odparł niski głos. „Z” brzmiało prawie jak „sz”.

Margaret sama wskoczyła mi w dłoń, drugą chwyciłem Greysona.

Nikogo i niczego nie widziałem, nie czułem i nie rejestrowałem.

– Może mam halucynacje.

Tym razem nikt nie odpowiedział.

Wskoczyłem do wykopu i zacząłem się przyglądać przeciętym korzeniom. Były dosyć specyficzne, z metalowymi żyłami, owinięte delikatnymi, również metalowymi włóknkami. O co tu chodziło? Przypomniałem sobie dwie walczące ze sobą siły, które widziałem, kiedy zjawiłem się w tej okolicy. Czy to miało jakiś związek? Nie wiedziałem, nie dlatego tu przybyłem.

Wskoczyłem z powrotem w siodło, pół godziny później dotarliśmy do wiatrołomu. Był o wiele rozleglejszy, niż oceniłem z oddali, nie był za to wiatrołomem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Szeroki na dwieście metrów pas lasu, który wił się górką grzbietem od szczytów aż do równiny rozparcelowanej na pola i łąki, padł ofiarą siekier i pił. W oddali tłoczyły się zabudowania osady. Najpierw rozejrzałem się dokładnie w poszukiwaniu maszyny braci Heldonów, ale powietrze wciąż było czyste. Musieliby narzucić sobie niezłe tempo, żeby przeszukać Lomnę i znaleźć się poza moim polem widzenia. Jak na myśliwych trochę za bardzo lubili wygodę, może jeszcze nie wyruszyli na wyprawę, choć to wydało mi się mało prawdopodobne. Fruzzi nie pozwoliłby marnotrawić czasu, zwłaszcza gdy chodziło o tyle pieniędzy.

– Może kombinują coś na boku – powiedziałem głośno.

– Może.

Ten sam szumiący głos i nikogo w pobliżu. Tym razem nie wytrzymałem, wyciągnąłem urządzenie Zeissa. Demon uraczył się większą porcją niż zwykle, wygryzł mi ranę aż do mięśni. Klnąc na czym świat stoi, przycisnąłem urządzenie do oczu. Nic, tylko drgająca bariera kilkadziesiąt metrów przede mną. Błękit z doliny rozpląwał się w złotawy pył, a ten unosił się w powietrzu. Kiedy się rozejrzałem, był już wszędzie dookoła.

– Tym razem chyba znaleźliśmy się w sferze wpływów tej drugiej siły – zwróciłem się do Micumy.

– Chyba. – Kiwnęła głową.

Oderwałem lornetkę od oczu i wbiłem wzrok w Micumę.

– Źle wybrałeś obiekt swojego zainteresowania – powiedziała. – Zamierzałeś strzec się braci Heldonów, nie mnie.

– To... to ty mówisz?

Przecież nie była w stanie artykułować, nie miała strun głosowych przystosowanych do mówienia. Nawet nie starała się poruszać szczęką. Głos wydobywał się z pyska niezależnie

od ruchu mięśni.

– Nie wiem. Sama do siebie mówię przez całe życie, ale teraz po raz pierwszy udało mi się odezwać na głos.

Przyglądałem się cudowi inżynierii biotechnicznej wyprodukowanemu przez Mitsubishi przed nie wiadomo ilu laty, klaczy, z którą przemierzyłem połowę świata. Wiele razy uratowała mi życie. Jeśli znalazłem się pod wpływem halucynogenów albo magii, musiały być tak wyrafinowane, że nie miałem szansy stawić im czoła. Żaden z moich amuletów nie wydał nawet najmniejszego dźwięku.

– Dobra, udam, że ci wierzę. Pogadamy jeszcze, jeśli będzie czas.

– Żaden problem, o ile nadal będę to potrafiła – oznajmiła Micuma i cofnęła się o kilka kroków. – Idealny teren dla snajpera – zarząła.

– Żaden koń nie będzie mnie pouczał – warknąłem, ale padłem i doczołgałem się aż do granicy lasu. Za naszymi plecami słońce pomału wznosiło się ku zenitowi. Jeśli rzeczywiście ktoś czekał na nas po drugiej stronie doliny, istniała szansa, że zdradzi się odbiciem światła w celowniku. Heldonowie chyba nie byli żółtodziobami, ale nigdy nic nie wiadomo. Mogli postawić tam Guczego. Jeśli czekał całą noc, był już zestresowany, myślał tylko o tym, by mieć to wszystko za sobą.

– Nawet stare triki bywają skuteczne – szepnąłem, widząc światło odbijające się w szkle obiektywu.

Oko znowu się wysunęło, pokazało mi go w przybliżeniu – zamaskowanego w trawie, z karabinem na prostym trójnożnym stojaku. Był rozmazany, jakby coś starało się go zamaskować. Czar ewidentnie nie działał tak, jak powinien. Może dlatego, że pochodził z terenów, gdzie panował błękit, a teraz znajdował się na złotym terytorium. Może. Gdybym miał taki sam karabin, zastrzeliłbym Guczego. Co prawda nieprzyjaciół zazwyczaj trzymałem blisko siebie – i z bliska ich likwidowałem, ale chcieć znaczy móc. Wystarczyło podejść pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów, przeczołgać się przez wiatrołom i już byłem przy nim.

– Poczekaj tutaj – rzuciłem do Micumy, jak to miałem w zwyczaju.

Na dźwięk jej gburowatego burknięcia ciarki przebiegły mi po plecach. Nie zdążyłem się przyzwyczaić do gadającego konia.

Pralas był o wiele mniej przystępny, niż się wydawało. Pożółkłe paprocie ukrywały nierówności terenu, z każdym metrem przybywało powalonych, spróchniałych drzew. Droga w dół po drugiej stronie doliny była jeszcze bardziej nieprzyjemna. Gucci nie mógł mnie spostrzec, musiałem więc uważać, a jednocześnie spieszyć się, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać i nie zmienił pozycji.

Ostatni odcinek przepełnąłem z twarzą przyciśniętą do ziemi. Tym razem gęste zarośla okazały się bardzo pomocne. Mój plan się powiódł – znalazłem się w bezpośredniej bliskości Guczego. Wystarczyło jeszcze przesunąć się trochę w bok i już miałem go na wyciągnięcie

ręki. Włożyłem Margaret z powrotem do kabury, zbliżałem się metr za metrem. Uświadomiłem sobie, że nie oddycham, ale przez kilka minut mogłem sobie na to pozwolić. Ściągnąłem rękawicę, Kleszcze rozwarły się niczym szczęki modliszki, powoli, z morderczą elegancją, tak, że nawet ja poczułem strach. Snajper leżał ciągle na swoim miejscu, z twarzą opartą o celownik. Pomógł mi szum wiatru, który na tej wysokości wiał przez cały czas. Już prawie byłem przy snajperze. Skoczyłem. Usiłowałem zareagować i wyciągnąć z bocznej kabury jakąś broń. Przygniotłem go ciałem do ziemi i poderżnąłem mu gardło. Trochę mocniej, niż zamierzałem – odrąbana jednym cięciem głowa gdzieś się potoczyła. Spojrzałem na twarz, której nigdy wcześniej nie widziałem. Szkoda, miałem nadzieję, że to jeden z braci. Pewnie wynajęli kogoś z miejscowych.

Przeszukałem dokładnie mężczyznę. Karabin, dwa celowniki, jeden do strzelania w nocy, dziesięć nabojów, polec słoniny i zwykła krótkofalówka.

Włączyłem ją i usłyszałem cichą pracę wysoko wydajnego silnika. Więcej nie potrzebowałem wiedzieć.

– Najemny snajper – powiedziała Micuma.

Nie zwracałem uwagi na jej kroki, już dawno się do nich przyzwyczailem. Teraz sytuacja trochę się zmieniła, powinienem mieć się bardziej na baczności.

– Nie bałaś się przyjść? Nie wiedziałaś przecież, jak to się skończy. – Wskazałem głowę opartą o kamień.

– Widziałam ruch. Gdyby to on wygrał, zachowywałby się beztrzesko. Koń z pewnością by mu się przydał.

– Cóż za cynizm.

– Podróżuję z tobą już od jakiegoś czasu, czegoś się nauczyłam.

Wolałem zakończyć tę debatę. Moduł komunikacyjny Micumy pomału zaczynał dorównywać moim możliwościom.

Zanim ściągnąłem zwłoki z drogi i ukryłem kawałek dalej, by nie wzbudzały niepotrzebnego zainteresowania i nie pozwoliły innym podążyć moim tropem, niżej na drodze pokazał się Megalodon – pancerny wóz braci Heldonów. Poruszał się pewnie i szybko, tak jakby jechał nie po wertepach, lecz drodze szybkiego ruchu. Brawurowo pokonywał kolejne rzeczki, rozpryskując wodę i błoto. Potem zatrzymał się w Lomnie. Może był to efekt arogancji Guziego, a może przypadek, tak czy inaczej, w czasie hamowania zarzuciło ich i rozwalili tyłem jedno z zabudowań. Prawdopodobnie jedynie małą szopę, ale miejscowi i tak chyba nie mieli powodów do zadowolenia.

– Teraz nie obejdziesz się bez środków perswazji, żeby z nimi szczerze pogadać – zauważyła Micuma.

– Mówiłem, że jesteś cyniczna.

– Powtarzasz się – zgasła mnie.

Nie odpowiedziałem. Z wozu pancernego wyskoczyły dwie postacie, chyba Warg z

Hartem. Wbiegli do najbliższego zabudowania. Ja wałęsałem się po górach przez całą noc, oni wstali przed godziną, zamówili sobie śniadanie i po dziesięciu minutach już tu byli. Może należało podłożyć na drodze minę przeciwpancerną? Nie pomyślałem o tym wcześniej, a to przecież żaden problem, załatwiłbym materiał. Taka porządnych rozmiarów mina wprawdzie nie zatrzymałaby ich, ale na pewno znacznie spowolniła.

Po chwili dwaj Heldonowie wyszli z domu. Nikogo ze sobą nie prowadzili. Albo spowiedź ich zadowoliła, albo spowiadany już nie nadawał się do użytku. Wsiedli, wóz ruszył. Tym razem Guczi musiał zahamować zaraz za ostatnimi zabudowaniami. Droga, choć kiepska, tu się kończyła, dalej wiodła ścieżka usiana spadającymi z góry skałami i połamanymi pniami. Jechali jednak. Kolos przedzierał się przez gęstwiny, brnął głębokim korytem Lomny, czasami unosząc się jedynie na tylnych kołach, jak żywe stworzenie, ale pomału i uparcie parł przed siebie.

– Nie mają w zwyczaju przemieszczać się na piechotę.

– Ty też nie.

Wzruszyłem ramionami i wskoczyłem w siodło. Zaczęliśmy schodzić stromym zboczem do doliny. Dosyć długo nie zsiadałem, w końcu to, że Micuma umiała mówić, w żaden sposób nie zmieniało jej obowiązków. Potem jednak zrobiło się bardzo stromo, dalej szedłem więc na własnych nogach. To rozwiązanie wydawało mi się bezpieczne, póki nie pośliznąłem się na glinie i nie sturlałem dziesięć metrów w dół.

Micuma nie odezwała się ani słowem. I dobrze.

Mieszkańcy wsi – choć to zbyt wielkie słowo na te kilka domów i budynków gospodarskich – nie zaszczycili nas swym zainteresowaniem. Gdyby nie wykrot, dotarlibyśmy tu przez las, który kończył się dopiero u samego podnóża góry. Pola ciągnęły się na jej drugim, nieco łagodniejszym stoku mniej więcej przez pół kilometra. Pralas rósł kawałek dalej, a od ziemi uprawnej dzieliła go ziemia niczyja. Leżało tam mnóstwo ściętych młodych drzew, świeżych i starych pniaków.

Zostawiłem Micumę przy zagrodzie dla bydła i poszedłem między dwie stodoły, gdzie już w trakcie mojego zejścia ze stoku zgromadzili się ludzie. Dałem sobie czas, rejestrowałem i analizowałem atmosferę miejsca. Z tym nie wolno się spieszyć.

Wyżej stoki wydawały się suche, tu zaś, o ile nie trzymałem się chodnika ułożonego z wielkich, płaskich kamieni, brodziłem po kostki w błocie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wygląda życie we wsi, kiedy długo pada. A w tym regionie tydzień czy nawet dwa tygodnie nieustannego deszczu nie były niczym specjalnym.

Już rozróżniałem głosy poszczególnych ludzi. Nie toczyli gorączkowego sporu, raczej obywatelską dyskusję, mniej lub bardziej zgodną. Między replikami zapadały długie, pełne spokoju i opanowania chwile ciszy. Małomówni górale.

Handlowano na udeptanym skwerku, z jednej strony ocienionym stodołami, z drugiej wielką hałdą porąbanego drewna, jakby mieszkańcy nie chcieli, żeby ktoś przygodny mieszał

się w ich interesy.

W centrum uwagi był wóz zaprzęgnięty w parę koni. Zanim odwrócili się w moją stronę i ktoś zarzucił płachtę na ładunek, zdążyłem dostrzec skóry – niedźwiedzie, wilcze, jelenie – solone mięso oraz dwa zaskakująco małe generatory elektryczne, jeden na naftę, drugi na drewno podgrzewające kocioł. Specyficzny zestaw.

– Czego chcecie? – zwrócił się do mnie zarośnięty mężczyzna z rozczochranymi, kędzierzawymi włosami i niechlujnym wąsem. Na ramiona miał zarzuconą baranicę. Patrząc na niego, pojąłem, jak wilgotny i chłodny klimat tutaj panuje. Przy zejściu zgrzałem się, ale teraz już zaczynałem czuć zimno.

– Chciałem tylko zapytać o kilka rzeczy i poprosić o coś na rozgrzewkę. Jeśli oczywiście można u was coś takiego kupić.

Zdałem sobie sprawę, że ani wąsacza, ani nikogo innego mój wygląd zbytnio nie zdziwił. Po chwili już wiedziałem dlaczego. Mężczyźni, do których należał wóz, byli istotami podobnymi do mnie – każdy z nich miał na czole trzecie oko. Wodniste, większe niż te naturalne. Pulsowała w nim rozmazana źrenica, raz duża, raz mała. Chyba nie zdołaliby nim cokolwiek zobaczyć, wydawało się raczej, że cały czas czuwało, rejestrowało wszystko i nic jednocześnie.

– Zapytać? Pewnie o to samo, co ci przed wami? – domniemywał wąsacz.

Niewiele dzieliło jego ton od bezczelności.

– Jeśli pytali o kobietę, która przechodziła przez waszą osadę, to owszem.

Patrzyli na mnie, twardzi mężczyźni w kozuchach, normalni i zmutowani. Nie znałem ich, nie miałem pojęcia o ich życiu. Ale jedno wiedziałem – przetrwać w tym regionie nie było łatwo. Wąsacz wzruszył ramionami, położył dłoń na siekierze o wąskim toporzysku opartej o koło wozu. Bardziej niż narzędzie przypominała broń – a może była symbolem rangi.

– Nie widzieliśmy jej, lecz rano znaleźliśmy ślady. Przeszła przez wieś i powędrowała dalej, w góry.

Kiwnąłem głową na znak, że zrozumiałem, chociaż mu nie wierzyłem. Mieli groźne psy, na karkach połowy z nich kołysały się talizmany i deseczki z zaklęciami. Te zwierzęta postawiłyby na nogi nawet umarłego, gdyby zbliżyła się do nich kobieta opętana przez demona. Albo wcale nie była opętana, a Strazynski kłamał.

– A jak będzie ze śniadaniem? I z czymś na rozgrzewkę?

Wąsacz wciąż mi się przyglądał, miałem jednak wrażenie, że trójcy analizują mnie jeszcze uważniej, dokładniej. Dodatkowe oczy z pewnością nie służyły za ozdobę, musiały być przeznaczone do czegoś konkretnego. Czulem ich spojrzenie aż w szpiku kości.

– Macie czym zapłacić?

– Wyżej, na stoku, gdzie stara ścieżka krzyżuje się z wykrotem, leży dobry karabin, nóż i lornetka. Znajdą się chyba nawet porządne buty. Ubranie wprawdzie nie jest wiele warte, ale

moglibyście je dać komuś potrzebującemu.

Rzykowałem trochę. Snajper pochodził z miasteczka. Mógł mieć tu krewnych, ale niekoniecznie.

– Zobaczymy – przytaknął wąsacz. Na jego niewidzialne skinienie dwóch chłopców ruszyło w stronę góry. – Zjemy coś. Was też zapraszamy – rzucił w kierunku trójjokich.

Przytaknęli. Wyglądali na zadowolonych.

Chwilę potem w błyskawicznie przygotowanym ognisku buzowały płomienie, w zawieszonym nad nim kotle bulgotała gorąca ciecz, coś między herbatą, kawą a zupą. Dwie kobiety – młoda i nieco starsza, obydwie w spodniach i długich swetrach z filcu, za to z mnóstwem kolorowych koralików wplecionych we włosy – smażyły na rozpalonej płycie płaty słoniny. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Rozumiałem ich. Nie byłem gościem, nie zaprosili mnie do domu. Ja tylko zawarłem z nimi spółkę.

Jedliśmy w milczeniu, gorący napój pomału usuwał wilgoć z moich kości, dym unosił się ku górze i spotykał nad naszymi głowami z promieniami słońca, które jeszcze nie dotarły na wilgotne dno doliny.

Po plusku wody w rzeczce zorientowaliśmy się, że wracają chłopcy z gór.

Jeden niósł karabin, drugi resztę wyposażenia. Ostrożnie rozłożyli wszystkie przedmioty na kocu koło ogniska.

– Z miasteczka – powiedział wąsacz.

To była konstatacja, nie pytanie. Wystarczyło spojrzeć na zdobycz. Sądząc po tym, co teraz leżało przed nami, rozebrali trupa do naga.

– Wybierajcie pierwsi – wąsacz zwrócił się do trójjokich ku zaskoczeniu wszystkich.

Wyższy sięgnął po karabin, obejrzał go, odłożył i wybrał sobie celownik strzelania w ciemnościach. Teraz przyszła kolej jednego z chłopców. Bez zastanowienia wziął karabin. I tak to szło, póki koc nie był pusty. Wąsacz zabrał to, co zostało na samym końcu – przywieszkę w kształcie spirali. Specjalnie zgniótł ją w palcach, aż zupełnie się odkształciła, a potem schował do kieszeni. Dobrze rozumiałem ten rytuał. Dzieląc łup, wszyscy zobowiązali się do zachowania tajemnicy. Gdyby ktoś coś zdradził, spotkałaby go krwawa zemsta albo kara ze strony mocy sprawujących tutaj władzę sądowniczą.

– Ludzie z miasteczka chyba nie przepadają za góralami – przerwałem ciszę, kiedy jedna z kobiet naląła mi kolejną porcję napitku. Wąsacz po głębokim, badawczym spojrzeniu dopełnił zawartość kubka porządną porcją przezroczystej cieczy z bukłaka, który nosił za pasem.

– Ano nie. Zabraniają nam z nimi handlować – spojrział dziko na swoich trójjokich podwładnych – czasami urządzają na nich oblawy. Ale rzadko kiedy udaje im się któregoś pojmać – dodał z ledwo dostrzegalnym zadowoleniem.

Wziąłem łyk. Napitek wzbogacony wysokoprocentową przepalanką rozgrzał mnie jeszcze bardziej niż przed chwilą.

– Nigdy nie wiesz, czy twoje dziecko nie urodzi się przypadkiem z trzecim okiem. My na nich nie polujemy, a kiedy nikt nie patrzy, ubijamy razem interesy. Prawda? – zapytał wyższego z trójokich, wziął porządny łyk i podał manierkę siedzącemu naprzeciwko.

– Prawda – potwierdził trójoki.

– Maszyny za skóry, zboże za mięso, leki za pomoc, jeśli trzeba. Kiedyś więcej się handlowało, może do tego wrócimy. A gdy urodzi się jakiś trójoki, zawsze ktoś się nim zajmie...

Manierka zatoczyła już prawie pełne koło, nie omijając chłopców, ogień trzaskał, szumiała rzeczka.

Trzeba było się zbierać. Przełknąłem ostatni kęs, przyglądając się stokom nad doliną i zastanawiając, jaką drogę wybrała kobieta demon.

– Pół godziny marszu za osadą, po prawej stronie leży dolina. Wiedzie aż do podnóża gór. Tamtędy nie poszła. Niecały kilometr dalej jest następna dolina. Jeden szczyt od drugiego dzieli raptem kilka kroków – poradził mi milczący dotąd trójoki.

– Co to za jedna?

– Złe z nią – odparł Wąsacz. – Ale cieszymy się, że nie została tutaj. Musielibyśmy ją zabić, jest przeklęta.

Poszedłem w swoją stronę. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Jak niby chcieli zabić demona siódemką? Owszem, byli szorstcy i okrutni, ale w starciu z nim nie mieli żadnych szans, jakby próbowali walczyć z powodzią. Nawet ja widziałem swoje szanse raczej w ciemnych barwach. Z drugiej strony jednak byłem coraz bardziej przekonany, że wcale nie chodzi o demona albo że w jakiś sposób został on osłabiony. Zamierzałem to wykorzystać. Biblioteka klasztorna w Trzyńcu była dla mnie zbyt łakomym kąskiem.

Wspinaliśmy się z Micumą coraz bardziej karkołomną drogą. Dolina zaczynała wznosić się delikatnie. Wierzchołki górskich grzbietów zbliżały się do siebie niczym kochankowie pragnący spleść swoje ciała. Tam, gdzie Heldonowie przedzierali się wehikułem, ja kluczyłem – między kamieniami, z dala od miejsc niedostępnych i tych, w których można by mnie łatwo zastrzelić. Bracia pewnie dysponowali odpowiednim sprzętem.

Już chyba po raz pięćdziesiąty przechodziłem przez rzeczkę, kiedy nagle poczułem coś, co kazało mi przykucnąć. Schowałem głowę w ramionach i ukryłem się za wielkim głazem, Micuma bez żadnej komendy położyła się w wodzie na brzuchu. Wszędzie unosiły się znaki obecności demona. Słaby odór łupanego kamienia, coś korzennego; zapachy, które mogły zaćmić ludzki umysł, jeśli się na nich skoncentrowało i analizowało zbyt drobiazgowo.

Z sakwy przy siodle, przez którą przelewał się teraz górski potok, wyciągnąłem Greysona i ustawiłem magazynek. Woda była lodowata, grabiały mi palce. Tylko Kleszcze pozostały ciepłe. Wygiąłem się w pałąk, dotykając brzuchem powierzchni wody, i wyjrzałem zza kamienia. Na przeciwległym brzegu, w odległości dwóch metrów znajdowała się półtorametrowa okrągła dziura, prawie pełna wody, której lustro było poniżej poziomu

rzeczki, jakby dokądś ściekała. To tutaj zmaterializował się demon, dlatego jego zapach utrzymywał się tak długo.

Znów przyjrzałem się okolicy. W ślad za wzrokiem podążała lufa miotacza. Nic, dalej wszystkie niepokojące sygnały zniknęły, neutralizował je spokój górskiej okolicy. Już miałem ruszać, kiedy zobaczyłem odcisk stopy w kałuży błota za następnym kamieniem. Sądząc po rozmiarach, kobieta albo mężczyzna z małymi stopami, wysokiej jakości buty do poruszania się po trudnym terenie. Rozległo się rżenie, Micuma uniosła się i ostrożnie podeszła do mnie.

– To nie są ślady kobiety, tamte wyglądały inaczej. Ktoś tu się jeszcze kręcił.

– Czarodziejka z Jabłonkowa – odparła Micuma dziwnie piskliwym głosem.

Spojrzałem na nią zdumiony.

– Nałykałam się wody, dlatego mój głos brzmi zupełnie inaczej – wyjaśniła.

– Skąd wiesz, że to ślad czarodziejki?

– Widziałam jej buty. Ciągle aktualizuję jej ślady w bazie danych.

Uświadomiłem sobie, że stoję po kolana w lodowatej wodzie i rozmawiam z koniem. Być może miałem kłopoty ze swoją i tak już nadwątloną poczytalnością, może zacząłem się staczać po równi pochyłej prosto ku szaleństwu, przed którym tyle czasu się broniłem, coraz bliżej zamkniętego gdzieś głęboko mojego drugiego ja. Zacząłem ostrożnie brnąć w kierunku brzegu, Greysona ciągle trzymałem w pogotowiu.

– Nadal to robisz? Mam na myśli utrwalanie planów okolicy, archiwizowanie obrazów i tym podobne.

– Oczywiście. Pamiętam wszystkie mapy, które kiedykolwiek widziałam.

– Chyba rzadko się gubisz – przypuściłem.

– Nie, prawie nigdy. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio gdzieś zabłądziłam.

To ja byłem coraz bardziej zagubiony. Pochyliłem się nad lejem, który pozostał po materializacji demona.

– A ja błędę całkiem często – powiedziałem z wyrzutem.

– Jestem tylko koniem. Nie mogę cię ciągle pouczać.

Na te słowa nie znalazłem odpowiedzi.

Ściany leja wyglądały na sprasowane, zbite z wielką siłą, w dotyku sprawiały wrażenie skondensowanej materii, której w ogóle nie można było skruszyć palcami. Z wielkimi trudnościami odłupałem wreszcie kawałek nożem.

– Pobrał więcej materii, niż potrzebował, a potem ją oddał.

Spojrzałem na rzekę. Ludzie zazwyczaj wybierają najkrótszą drogę przeprawy, zwykle na przełaj. W przypadku demonów nie można być już niczego pewnym.

– Trzy dni – oceniła Micuma. – To się stało przed trzema dniami. Wynik w przybliżeniu, obliczony na podstawie wilgotności i przepustowości ścian tej dziury.

Spojrzałem na nią podejrzliwie, ale nic nie powiedziałem, tylko kiwnąłem głową. Oprócz bezsprzecznie doskonałej sztucznej struktury nerwowej miała również porządny komputer.

Raczej się nie myliła.

– Ale dlaczego to robił?

Demony, tak jak większość mieszkańców sfer pod powierzchnią, przychodzą na świat jako psychodynamiczne entity i muszą się przyodziać w cielesność, co kosztuje je sporo wysiłku. Przyłapałem się na tym, że od dłuższej chwili obserwuję szereg śladów w podmokłej ziemi na brzegu. Tym razem odciski stóp z modnym trójkątnym szpicem. Demon był tutaj, nie miałem wątpliwości. Zatem później, gdy już wracał do swoich sfer, oddał kobiecie jej ciało i własne ja. Dlaczego? A może później poruszał się w pantoflach? Nie, bez sensu. Kawalek dalej znalazłem odcisk buta z metalowymi zelówkami. Drugi przybysz już wcześniej oglądał starsze ślady, a potem zniknął w gąszczu. Czarodziejka przybyła tu przede mną. Nie przeszkadzało mi to, pod warunkiem, że nie rzuci na mnie jakiegoś piekielnego uroku.

Micuma przestała badać jamę i beztrosko skierowała się w stronę pobliskich zarośli. Nie czekałem, natychmiast sięgnąłem po Greysona.

– Czego tam szukasz?

– Jestem koniem – przypomniała mi – a te młodziutkie listki wyglądają wyjątkowo apetycznie. Co więcej, w mojej diecie brakuje niezbędnej do metabolizmu goryczy.

Dałem jej spokój. Zastanawiałem się, jak na razie bezskutecznie, co teraz się stanie. Jeśli czarodziejka poradzi sobie z demonem – chwała jej za to, nie musiałem oddawać zaliczki. A jeśli będzie potrzebowała pomocy – dogadamy się, pieniędzy wystarczy nawet dla dwóch osób. Idealny wariant. Demon, którego tropiliśmy, zachowywał się, delikatnie mówiąc, specyficznie.

– Chyba daruję sobie te listki – odezwała się głucho Micuma.

Stała w zaroślach, przygotowana do uniku, i czegoś wypatrywała. Przewiesiłem Greysona przez ramię i sięgnąłem po Margaret. Ryzyko, że zginiemy wraz z nieprzyjacielem, było teraz mniejsze.

W zaroślach leżały dwa ludzkie ciała, poukładane w jakieś makabryczne puzzle. Ten, kto ich zabił, nie zadowolił się zwykłym ćwiartowaniem zwłok. Oddzielił mięso od kości i wypatroszył jamę brzuszną. Może użył noża laserowego, ale nawet wtedy musiał się nieźle narobić.

Nieopodal zobaczyłem broń. Stary automat z drewnianą kolbą, lekki karabin, skrzynka z amunicją, noże zwykłe i myśliwskie. Wszystkie równo ułożone, ani trochę niepoplamione krwią.

Widok wydał mi się znajomy.

– Dzieło wariata – stwierdziła Micuma.

Pokręciłem głową, cofnąłem się o krok i wyprostowałem jak tylko mogłem, by przyjrzeć się upiornej układance z trochę większej wysokości.

– Nie. To wyzwanie. Kręgosłupy, wokół których owinał mięso z trupów, tworzą palec

środkowy, reszta gołych kości to pozostałe, skurczone i złożone. Tak to miało wyglądać – rozprostowałem wzmiankowany palec i pokazałem Micumie stary nieprzyzwoity gest.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie, o ile koń w ogóle może w ten sposób spojrzeć.

– Częściowo się zmaterializował, zabił tych dwóch, a potem znowu gdzieś się schował – snułem głośno przypuszczenia. – Albo wrócił do swojej sfery.

Dlaczego? To wszystko było coraz bardziej dziwne.

* * *

Szliśmy w milczeniu. Nie, szliśmy to złe słowo. Wdrapywaliśmy się po stromym zboczu, tu i ówdzie przeciętym tamami z pniaków, na których zatrzymywał się spadający żwir, ale też mniejsze i większe kamienie, liście i gałęzie. To już powinno było mi wystarczyć. Wybrałem najwygodniejszą drogę i co chwilę trafiałem na znaki, które świadczyły, że ktoś tędy przed nami szedł. Kobieta opętana przez demona? Sam demon? Czarodziejka? Nie miałem pojęcia i coraz bardziej mnie to denerwowało, niepokoiło. W dodatku wędrowaliśmy przez prawdziwy pralasz, którego wiek liczyło się w setkach lat. Mógł tu rosnąć jeszcze przed Krachem. Miał swojego ducha, jak większość miejsc, które są czymś więcej niż tylko punktem w czasie i przestrzeni. Ranił mnie, sprawiając ból większy niż zwykła rana zadana nożem albo po postrzale.

Im wyżej byliśmy, tym mocniej szumiał wiatr w koronach jodeł przypominających kolumny w średniowiecznych katedrach. W paru miejscach, w których osunęła się ziemia, znowu zobaczyłem stalowe włókna wewnątrz korzeni. Kolejna zagadka. Po godzinie morderczej wspinaczki minęliśmy resztki dawnego siedliska. Kamienne rozpadliny, pomiędzy których wyrastały młode jawory, wskazywały rozmieszczenie ścian w starym domu.

Liczne potoki zniknęły. Została tylko jedna żłobina, którą spływała woda w czasie deszczu. Szum wiatru przeszedł w świst. Gałęzie drzew łamały się, pnie trzeszczały. Co chwilę natykaliśmy się na rozłupane, świeże albo na wpół spróchniałe kikuty jakiegoś olbrzyma pokonanego w wiecznej walce z wiatrem. Szczyt był już blisko.

Kilkadziesiąt metrów dalej nieoczekiwanie pojawił się prześwit – regularnie czyszczona z drzew poręba ze starymi i nowszymi pniakami. Pośrodku, na płacyku u stromego podnóża góry, stała góraska chatynka. Mała, ale sądząc po nowych dachówkach, często remontowana.

Większość poręby porastały maliny, tylko tuż przy budynku widniał świeżo skoszony pas trawy. Z Margaret w dłoni powoli szedłem przed siebie. Nie mogłem tego w żaden sposób uzasadnić, ale wszystko mi mówiło, że nasz cel, kobieta demon, jest w środku. Wtargnęła tu jak dzikie zwierzę – ranne dzikie zwierzę szukające schronienia.

Trzy kroki. Wiatr nagle złagodniał, znalazłem się na osłoniętym terenie. Tylko korony drzew za moimi plecami kołysały się ciągle tak samo.

W końcu znalazłem się przy chacie z bali. Wystarczyło ją obejść, żeby wejść do środka.

– Nie jesteśmy tu sami – ostrzegła mnie Micuma. – Czuję ją.

– Wiem – szepnąłem z furją i położyłem palec na spuście.

Ostrożnie, nie bez trudu przedarliśmy się przez gałęzie świerków, przywiane tu przez wiatr albo poukładane specjalnie, żeby odgłos łamiącego się drewna ostrzegał przed nadciągającym zagrożeniem. Wychyliłem się zza węgła. Na schodkach przed drzwiami siedziała czarodziejka, oparta plecami o ścianę, z podkurczonymi nogami i brodą na kolanach. W dłoni trzymała brudny emaliowany garnek.

– Kiedy zjawią się braciszkwowie? – zapytała, nawet nie odwracając się w moją stronę.

– Kiedy wysiądą ze swojego wspianego samochodziku. Czyli nigdy. Zarobiłaś już, ile chciałaś? – Nagle usłyszałem, że w środku coś się rusza.

Nie odpowiedziała. Pokręciła głową, ciągle patrzyła przed siebie.

– Cholerny interes. Nie powinnam była tu przychodzić. Sam zobacz.

Wzruszyłem ramionami. Ostrożnie popchnąłem drzwi. Margaret trzymałem na udzie, palec na spuście. W starciu z demonem byłaby równie przydatna co wykałaczką w walce z niedźwiedziem. A pewnie jeszcze mniej.

Na pryczy w rogu pomieszczenia spała kobieta. Od razu zauważyłem buty z charakterystycznym trójkątnym szpicem.

Oddychała szybko, jej ramiona dygotały. Jęknęła, poruszyła się, a obdarty kawałek papieru, którym była przykryta, zsunął się na podłogę.

– Ja pierdołę – syknąłem.

– I owszem – zgodziła się czarodziejka.

Stała za mną, a ja nawet nie usłyszałem, jak weszła.

Kobieta na pryczy była ciężarna. Sądząc po wypukłym, niskim brzuchu, do porodu nie zostało już wiele czasu.

Zaczęła się wiercić i w końcu otworzyła oczy. W półmroku błyszcząły od gorączki albo czegoś innego. Potem znowu je zamknęła, jakby nas w ogóle nie zauważyła.

– I narodzi się demon – rzekła czarodziejka.

Rozejrzałem się po chacie. Miejsce na palenisko, prycza, do siedzenia dwa drewniane pieńki, przecinak wbity między belami w ścianie, a na nim zawieszona piłka do metalu.

Wyszedłem na zewnątrz i głęboko westchnąłem.

– Jesteś pewna?

– Tak. Czuję go w niej. W dziecku – poprawiła.

Popatrzyłem na nią. Wydawała się starsza niż kilka dni temu. W oczach miała zmęczenie, bez przerwy jakby patrzyła gdzieś daleko, za drzewa przesłaniające nam świat.

– Widziałem kilka matek opętanych przez demony. W tej fazie nie wyglądały już normalnie. Brzuch jak stulitrowa beczka, popękana skóra, otwarte, niegojące się rany.

– Ja też widziałam. Mózg wypalony wskutek długotrwałego opętania, metabolizm

rozregulowany nie do poznania. To potężny demon. Gdyby wszystko odbywało się według utartego schematu, już dawno byłaby tylko warzywem.

– Czemu więc wygląda tak normalnie?

– Nie wiem, nie rozumiem tego. – Pokręciła głową. – Przez chwilę w niej jest, przez chwilę go nie ma. A gdy jest, nie czuję świadomości dziecka. Jakby go tam nie było.

– Ale jest.

Spuchnięty brzuch oznaczał tylko jedno.

Rozległ się suchy trzask. Przez cały czas trzymała w palcach gałązkę i teraz ją złamała.

– Tak, i to jest właśnie najgorsze. Kiedy się urodzi, będzie za późno. Już nie damy rady go zabić, to siódemka. Czysta, prawdziwa, praktycznie niezniszczalna. Grog, Wakosixh, Godzilon – wymieniła trzy najsilniejsze demony, które w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat udało się zniszczyć w sposób, który dawał się udowodnić – były gdzieś między szóstką a siódemką.

Już zrozumiałem, dlaczego tak siedzi i czeka. Nie potrafi zabić nienarodzonego dziecka. I jego matki.

– Pieniądze są twoje, nie chcę ich – dodała jeszcze.

Wróciłem do chaty, cały czas trzymałem Margaret. Każda rysa, każde zadrapanie na rękojęści było jak krater, każda zadra jak góra napierająca na moją dłoń. Przypomniały mi się ręce wyciągnięte do grubej pępownicy, starające się omotać ją noworodkowi wokół szyi, odgłos tarcia metalu przy otwieraniu kontenera, a potem szelest hałdy śmieci, kiedy spadł na nią worek ze skazanym na śmierć.

Każdy powinien mieć szansę. Każdy.

Na ubraniu ciężarnej pojawiła się ciemna, szybko powiększająca się plama. Odchodziły wody płodowe. Jednocześnie kobieta otworzyła oczy, tym razem było w nich już tylko jedno – przerażenie.

– Zrób to – usłyszałem za sobą czarodziejkę.

Głos miała spięty. Z trudem przedarł się przez wąski, mikroskopijny przepust strun głosowych.

– Ostatni sprawiedliwy – powiedziała przyszła matka, wbijając we mnie wzrok.

Wryło mnie. Ostatni sprawiedliwy? Co to ma znaczyć?

– To pan spalił miasto złodziei i pozwolił odejść wszystkim uczciwym. Zabił pan królową upiorów, żeby obronić dziewczynę. Ostatni sprawiedliwy – powtórzyła jeszcze raz i zamknęła oczy.

W słowach kobiety nie było ani ziarnka prawdy. Spaliłem Drewnianą Szczelinę, bo jej mieszkańcy mnie okradli, nie zabiłem królowej, a już na pewno nie z powodu dziewczyny. Perwersyjny seks, moja przeszłość i tępe upiory, które mieszały się w nie swoje sprawy.

– Nie zostało już dużo czasu. Kiedy się urodzi, nic go nie zatrzyma – przypominała czarodziejka.

– Nie zabiję jej – powiedziałem spokojnie. – Ja nie.

Słyszałem, jak wzdycha głęboko.

– Ja też nie. Ale Heldonowie już tutaj są, może zdążą.

Rodząca zaszczękała zębami i zwinęła się w kłębek. Jak ja się tu znalazłem? Jaką rolę miałem odegrać w tym absurdzie?

– Zaczynają się skurcze. Jest ranna, osłabiona. Nie poradzi sobie bez pomocy – zauważyła czarodziejka.

Już mnie nie dostrzegła, zwracała uwagę tylko na kobietę. Cała się trzęsła, ale nawet tego nie czuła.

Będę odgrywał takie role, jakie sam sobie wybiorę. Nie jestem niczyją kukielką, choćby nie wiem kto pociągał za sznurki.

– Pomóż jej, a ja się postaram, żeby braciszekowie zostawili ją w spokoju – zaproponowałem.

Ten spokojny i łagodny głos nie mógł wydobywać się z mojego gardła. A przecież nikogo innego tu nie było.

– Wszyscy zginiemy. – Na jej twarzy rozkwitł uśmiech; uśmiech, który zniknie, zanim ktokolwiek zdąży sobie uświadomić, jak był piękny. Już się nie trzęsła.

Popatrzyliśmy na siebie. Twarze niczym dwie blade plamy w półmroku.

– Możliwe. Czy to ważne? – Wzruszyłem ramionami. – To jak, umowa stoi?

– Stoi – zgodziła się, a jej głos nagle stał się normalny.

Wyszedłem na zewnątrz, zdjąłem kurtkę i starannie złożoną położyłem na schodach. Przez prześwity w chmurach pędzących szaleńczo nad moją głową przez chwilę zaświeciło słońce, naboje wetknięte w pasy rzuciły pełen nadziei błysk. Potem znowu zdlawiła go szarość i mrok. Greyson w lewej ręce, w prawej Zabójca, Margaret w kaburze. Nie byłem sam. Jeśli brać pod uwagę naboje, miałem całkiem niezłą obstawę.

Jechali lasem po obrzeżach poręby. Jednego z nich nawet zauważyłem. Rozglądałem się, zastanawiając, które miejsce wybiorą do oddania strzału. To nie będzie karabin kaliber 7.62, tak jak ten u nieboraka na dole. Znając ich, użyją czegoś wielkokalibrowego, najpewniej pocisków z wsadem wolframowym i pewnie jeszcze ładunku z opóźniaczem. Tym powinni zabić nawet mnie, bez większego problemu, zwłaszcza jeśli trafią w głowę albo serce. Ruch w lesie ustał, wewnętrzny zmysł śmierci podpowiadał mi, że już zajęli pozycje. Oddychałem powoli, węszyłem, wietrzyłem zapowiedź tego, co w ciągu kilku najbliższych sekund miało się tu rozegrać. Było ich trzech, małego, porywczego brata chyba zostawili w samochodzie. Z chaty, zza moich pleców, dobiegały dalsze serie jęków, którym towarzyszył uspokajający głos czarodziejki. Czułem czary, rozpoznawałem ich kształty, strukturę, dostawałem gęsiej skórki, choć nie we mnie były wymierzone. Czarodziejka dodawała rodzącej siły. Dużo siły, bo ta kobieta powinna właściwie już od dawna nie żyć. Na moment owinęła się wokół mnie dziwna pajęczyna, strząsnąłem ją wbrew własnej woli. Lepiej stać tu, na zewnątrz, niż w środku,

pomyślałem. Jeszcze bardziej się ściemniło, poryw wiatru wzbił tuman kurzu z kamiennych schodów. Na skraju poręby pojawił się jeden z Heldonów. Ruszył w moją stronę. Napięcie rosło jak w teatrze.

Najpierw chcieli sprawdzić teren. Cały Fruzzi.

To był Warg albo Hart, nie odróżniałem ich. Ludzki model bojowy najwyższej jakości.

Szedł spokojnie, świadomie, nie szukał przejścia między krzakami malin. Pewnie wcześniej sfotografowali okolicę z góry. A to znaczyło, że mogli poustawiać więcej stanowisk strzelniczych, zanim jeszcze tu dotarłem. A jeśli otworzą ogień? Czy pojawienie się Fruzziego ma mnie zdekoncentrować, pozbawić podejrzeń? Poczulem ukłucie chłodu aż w rdzeniu kręgowym, potem zniknęło. Zatem umrę, nic dodać, nic ująć. *Klink*. Snajper już mnie namierzył, w celowniku miał dodatkowo czar naprowadzający. Widziałem, jak mierzy w moją przegrodę nosową. Ta kulka naprawdę nie powinna chybić. Oko przestawiło się na przybliżenie, połączyło kilka modułów widzenia i pokazało mi postać leżącą w krzakach na prawie niedostrzegalnej fałdzie terenu, kawałek za pierwszym szeregiem drzew.

Warg już prawie był przy mnie; uśmiechał się nonszalancko, na szyi miał przypięty mikrofon, w dłoni karabin maszynowy ze zintegrowaną wyrzutnią pocisków, za pasem pistolet wielkokalibrowy.

– Nie zabiłeś go.

To miało zabrzmieć jak konstatacja, ale rozpoznałem zdenerwowanie w jego głosie.

– Nie.

Martwił się o honorarium.

Wyprostowany przewyższałem go, a to mu się nie spodobało. Mnie też nie, ciągle czulem wycelowaną w nos lufę karabinu.

– Jeżeli wyciszysz przestrzeń, pozwolimy ci odejść – zaproponował jałmużnę.

Nie wiedzieli o czarodziejce, przez swoje zadufanie skupili się tylko na mnie. Dobrze. Stękanie ustało, przestrzeń wypełnił teraz świst wiatru. Do samego końca.

– A jeżeli nie? – zagadnąłem z konwersacyjnym zacięciem.

– Zabijemy cię.

Na to właśnie czekałem. Strzeliłem mu dwa razy w pierś z Zabójcy, jednocześnie zeskoczyłem ze schodów, skuliłem się i chwyciłem Wargę w pasie. Trzymałem go tak i strzelałem w stronę snajpera ukrytego w lesie, zasłonięty żywą tarczą.

Strzały oczywiście nie zabiły Wargę, tylko lekko zamroczyły. Prawie dobiegłem do skraju lasu, gdy zaczął szarpać za moją broń. Puściłem go i sam rzuciłem się na ziemię, upadłem szybciej niż on. Wystrzał ze snajperskiego karabinu rozwalił pień drzewa przede mną. Dwa razy przeturlałem się, w miejscu, w którym przed chwilą leżałem, eksplodował granat. Schowałem Zabójcę do kabury i wymierzyłem w niebo Greysona. Uważałem, żeby nie trafić w drzewo. *Pach, pach, pach*. Granaty wylatywały w górę zbyt szybko, by ludzkie oko zdołało to uchwycić. Widziałem rozmazaną czarną smugę. Huk przeciągłej eksplozji,

błysk ponad koronami drzew. Przez chwilę wydawało się, że to już wszystko. Warg podniósł się z ziemi, mierzył we mnie z pistoletu. Był zorientowany w sytuacji, jak najbardziej. Nie przeczuwał jednak, że to tylko eksplozja wstępna, która miała rozpylić w powietrzu materiał wybuchowy. Sama by nie zaczęła płonąć, to nie... *Pach*. To nie był wybuch, lecz jadowite syczenie, które poparzyło wszystkie żywe istoty w promieniu stu metrów.

Główna fala uderzeniowa ominęła Wargę. Miał na wpół spaloną twarz, skowyczał jak zwierzę, pistolet w jego dłoni zanosił się serią wystrzałów. Pierwszy trafił mnie w nogę, drugi otarł się o klatkę piersiową. Wyciągnąłem z kabury Zabójcę i załadowałem do niego trzy ostatnie naboje. Wszystkie strzały były celne, a mimo to Warg trzymał się na nogach i wymieniał pusty magazynek na pełny. Rzuciłem się, ciągle z Greysonem w dłoni. Warg już we mnie wycelował; tkanka skóry na twarzy zwęglona, układ odpornościowy w porządku, źrenice – krzyże celownicze. *Prask, prask*. Trafił trzy razy pod rząd w mostek, ale ten, na jego nieszczęście, wytrzymał. W rewanżu rzuciłem w niego granatem. Okazał się skuteczny, rozszarpał Wargę na strzępy i wyrwał mu kręgosłup. Z tego już się chyba nie wygrzebie.

Kątem oka dostrzegłem, że ktoś biegnie w kierunku chaty. Fruzzi. Albo los braci był mu obojętny, albo z góry przyjął inne rozstrzygnięcie tej potyczki. Porzuciłem Greysona i ruszyłem za nim. Na każde dwa jego kroki ja przybliżałem się o jeden. W połowie drogi odwrócił się, coś błysnęło. Spiałem się i jeszcze bardziej przyspieszyłem. Coś mnie trąciło, ale byłem już na tyle blisko, że całą sprawę mogłem rozwiązać z pomocą Margaret.

Wyciągnąłem ją z kabury, nagle między nami zmaterializowała się przezroczysta błona z dwuwymiarową twarzą, przetransformowała w postać i wskazała na mnie. Strzeliłem raz, drugi, zupełnie niepotrzebnie, dobrze o tym wiedziałem. Musiałbym zużyć tuzin magazynków, żeby chociaż trochę zranić ektoplazmowego demona. Rzuciłem się do przodu, ale on już wykonał pewien gest – uderzyła we mnie fala mroźnej niemocy. Mięśnie skostniały, runąłem na ziemię i resztkami sił dopełzłem do drewnianej ściany domu. Kolejny mroźny powiew, z oczu i nosa trysnęła mi krew. Braci Heldonów było nie czterech, lecz pięciu. Ostatni z nich leżał w samochodzie w kojcu projekcyjnym i siłą ego wytwarzał tę ektobestię przede mną. Normalny człowiek nie przeżyłby czegoś takiego, to musiał być wariat, szaleniec. Teraz już wiedziałem, jak zniszczyli Wrocławski Klan upiorów.

– Wystarczy – usłyszałem wściekły głos Fruzziego. – Potem się z nim rozprawimy.

Ektoplazmowy stwór popatrzył na swojego dowódcę, a potem niechętnie rozplynał się w powietrzu. Nie mogłem się ruszyć, ale wiedziałem, że jeszcze tylko chwila i policzę się z Fruzzim.

– To będzie bolało – wycedził przez zęby ten bydlak.

Nagle w jego dłoni znalazła się mała, ostra kusza. *Dznn, dznn*, ostre belty przeleciały z boku na bok, z góry na dół i tak jak leżałem, przyszpiliły mnie do ziemi. To było równie przerażające co atak magii. W stali krył się czar. Krepujący czar, który wysysał wszystkie siły z mojego ciała szybciej, niż ono nadażało je regenerować. Próbowałem się wyrwać, ale tylko

podrażniłem rany.

– Teraz zabiję tę dziwkę, a potem zajmę się tobą – obiecał Fruzzi i odwrócił się w stronę drzwi.

– Twój brat kwiczał jak żywcem opiekana świnia – wydusiłem, choć kosztowało mnie to prawie utratę przytomności.

Odwrócił się, w dłoni zamiast kuszy miał pistolet. Lufa drżała, dokładnie tak jak wtedy, gdy się próbuje opanować wściekłość.

– Zaraz zobaczysz, gnoju! – splunął i strzelił dwukrotnie.

Widział, jak mną rzucało, uspokoiło go to. Bolało, ale nie bardziej niż te szpikulce. Kula uderzyła w jeden z nich i trochę go przesunęła, gwałtownie osłabiając czar.

Kleszczami powyciągałem ze swojego ciała długie, trzydziestopięciocentymetrowe chromowane szpikulce ze stali stopowej.

Składniki stopu tak dobrano, by pozbawił potwory ich mocy, uziemił je. Miałem szczęście, że Fruzzi do mnie strzelił. Za kilka sekund już bym nie żył. Jestem potworem, wiem.

Fruzzi przestępował właśnie próg chaty. Podniosłem się na kolana. Było wyjątkowo ciężko – bardzo dobra stal. Uniósł pistolet. Czas zwolnił, skoczyłem jak zwierzę, powaliłem Fruzziego na ziemię i odgryzłem mu nos. Zagrzmiały wystrzały, raz, drugi. Nie wiedziałem, w którego z nas trafiły. Rękawica odpięła się, Kleszcze straciły ludzki kształt i bez mojego udziału znalazły szyję przeciwnika.

Leżeliśmy w bezruchu w szybko rosnącej kałuży krwi.

* * *

– Powiedziałaś, że nie dasz im przestąpić progu – odezwał się pełen wyrzutu głos. – Teraz zrzuć go z siebie, zaraz zaczną się kolejne skurcze. Spróbuję ci dodać trochę sił, będziesz ich potrzebował – głos stał się nagle łagodny i kojący.

Podniosłem się, najpierw na kolana, potem, opierając się o ścianę, na nogi. Już nie krwawiłem, ale rany paliły mnie jak piekielne ogniska. Bóg raczy wiedzieć jakimi czarami były podrasowane te szpikulce. Rany zaczynały się zasklepić, zacisnąłem zęby, żeby nie skowyczeć z bólu.

Jak przez mgłę widziałem czarodziejkę pochyloną nad rodzącą, spoglądającą na jej łono. Wracała mi świadomość i zdolność myślenia, czułem się coraz gorzej. Gdybym był martwy, z pewnością by mi ulżyło. Wyciągnąłem nóż i wydłubałem sobie z ramienia kulę. Zdeformowany kawałek ołowiu spadł na ziemię, a po pierwszym ataku bólu przyszła ulga.

– To już prawie – wyjęczała kobieta.

– Jeszcze nie, odpoczywaj, zbieraj siły – uspokajała ją czarodziejka.

Kolejna kula. Było mi niedobrze, miałem wrażenie, że za chwilę utonę we własnym bólu,

we własnej krwi. Z oddali dobiegał odgłos przyspieszonego, płytkiego oddechu, jęki.

– Powiniście zabić ją razem z dzieckiem – powiedział ktoś.

Próbowałem się rozejrzeć, ale nie mogłem nastawić odpowiedniej ostrości.

W drzwiach stała Micuma. Wydawało się, że jej sierść ma rudawy odcień.

– Wydaje mi się, że konie, nawet tak mądre jak ty, nie powinny się wtrącać w podobne sprawy – rzuciłem.

Ostrze noża trochę zjechało, rozciąłem udo bardziej, niż to było konieczne. Ale w końcu pozbyłem się tego kawałka metalu.

– Nie jestem koniem, tylko mówię za jego pośrednictwem.

– Tak, obiecałam mu to, choć się z nim nie zgadzam.

Głos był ciągle taki sam, dochodził z pyska Micumy. Drugie zdanie miało jednak wyraźnie inną dykcję. Znajomą.

– Kim jesteś? – zaskrzeczałem.

– Najbardziej precyzyjnym określeniem byłoby duch w maszynie albo duch z maszyny – odpowiedział głos po krótkim wahaniu.

Jęk był coraz głośniejszy, przybywało w nim rozpacz i zaciętości.

– Już widzę włosy, przyj mocniej.

– Powiniście to dziecko zabić, zanim będzie za późno. Nie zdajecie sobie sprawy, w co się wpakowaliście.

– W co? – zapytałem, choć niewiele mnie to obchodziło.

Walka o przeżycie absorbowwała każdy skrawek mojego ciała.

– Nie ma czasu na tłumaczenia. Zabijcie go natychmiast. Sam bym to zrobił, gdybym mógł.

Kolejny maniak z nieco uproszczonym poglądem na świat.

– Podobny problem roztrząsałem z tymi, którzy leżą tutaj dookoła. – Wskazałem od niechcenia ręką. – Bardzo się starali mnie przekonać, ale niewiele im to dało.

– Chciałem was ostrzec. Kiedy się urodzi, będzie już za późno.

Nie lubię, kiedy ktoś się powtarza. Zwłaszcza jeśli słuchanie tego kosztuje mnie tyle sił. W końcu udało mi się ustawić odpowiednią ostrość.

– Już wychodzi! Jeszcze trochę! Już prawie się urodziło!

Micuma patrzyła na mnie, ale nie potrafiłem odczytać z jej końskiego pyska żadnych emocji.

– To dziecko nie jest opętane – powiedziałem z tępym uporem.

– Zgadza się, nie jest. Tym gorzej.

– Już jest na zewnątrz! Wszystko z nim dobrze!

Ulga w głosie czarodziejki była niemal materialna.

Popatrzyłem na obydwie kobiety.

Czarodziejka trzymała w rękach małe ciało umazane krwią.

Oczy miała pełne łez, matka leżała wyczerpana.

– Zabijcie to – powtórzyła Micuma.

– Nie. Zamknij się wreszcie! – ryknąłem wściekle.

– Boże! – krzyknęła czarodziejka, rzuciła noworodkiem i zaatakowała go czymś, czego odprysk powalił mnie na ziemię.

Noworodek owinał się zwojem purpury i nagle nie leżał już na glinianej podłodze, lecz na dnie głębokiej na metr jamy. Dematerializacja dokonywała się błyskawicznie, demon przybrał kilkaset kilogramów masy ciała i wcielił się w czteroręką kreaturę z nieforemnymi nogami żaby. Miałem tylko Nóż. Z całej siły wbiłem go w demona aż po rękojeść, a ten naraz pokrył się zbroją z sześciokątnych płyt. Nóż utknął w jednej z nich, jakby stwór nie mógł go tak po prostu odepchnąć. Odwrócił się pomału w moją stronę, ujrzałem wąskie, podłużne oczy. Otworzył pysk, ukazując rząd trójkątnych zębów, a za nimi następny i jeszcze jeden. Rozwarł go bardziej – uskokzyłem i o mały włos uniknąłem jego zębów i kolczastych kul na języku mającym siłę męskiego ramienia. Zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Demon nagle zawył, odwrócił się w stronę czarodziejki, prawą parą rąk rozplątał ścianę chaty. Jego biodro zdobiła wielka krwawiąca rana – czar przeniknął warstwę ochronną.

Demon machnął szponem. Czarodziejka zrobiła unik, częściowo ukryta za magiczną tarczą, ale nic nie zapewniało jej całkowitej ochrony. Uderzona, wzbija się w powietrze jak szmaciana lalka. Doskoczyłem do demona, przycisnąłem się do niego ramieniem, jednocześnie chwyciłem oburącz Nóż i przekręciłem o trzysta sześćdziesiąt stopni. Stwór zostawił czarodziejkę i cisnął mną przez dziurę w ścianie na zewnątrz.

Margaret leżała obok. Załadowanie jej zajęło mi tylko chwilę.

Z pełną lenistwa gracją demon połamał ścianę. Patrzył na mnie długo, niemal z zainteresowaniem. Naraz chwycił dwa drewniane bale z pozostałości chaty. Uderzył nimi o siebie, jakby teraz miał się zacząć kolejny etap rytualnej walki.

– To śrutówka. Użyta z bliskiej odległości daje lepsze efekty – zdołałem wybełkotać, choć usta miałem pełne krwi. – Ale ty przecież lubisz walczyć bark w bark, czyż nie? Tak, jesteś jednym z tych walecznych bękartów.

Rzuciliśmy się na siebie w tym samym momencie.

Machnął balami na krzyż, z góry na dół i z dołu do góry. Przed pierwszym się uchyliłem, drugi powstrzymałem Ręką. Drewno trzasnęło. Następny cios, wymierzony szponem, odparłem Kleszczami. Przywarliśmy do siebie ciałami. Tak głęboko, jak tylko zdołałem, wcisnąłem lufę Margaret do rany po Nożu i pociągnąłem za spust.

Zdążyłem oddać jeszcze dwa strzały, a potem albo eksplodował mi w głowie granat ręczny, albo demon po prostu uderzył mnie pięścią. Odepchnąłem się nogami od jego ciała i wyrwałem z objęć. Jeszcze chwila i połamałby mi wszystkie kości.

Znowu staliśmy naprzeciwko siebie.

– Podoba ci się to? – wycharczałem i splunąłem krwią. – Mnie jak najbardziej – rzuciłem

bezczelnie.

Przytaknął, spojrział z niesmakiem na belę, która została mu po bojowej grze wstępnej, a potem zmiążdżył ją palcami. Nóż leżał teraz na ziemi, zaledwie kawałek ode mnie. Upuściłem go w czasie walki, a teraz po niego sięgnąłem.

– *Następna runda?* – zapytał prześmiewczo demon.

Jak na taki pysk artykułował całkiem sprawnie.

Zacisnąłem palce na rękojeści. Chciałem go użyć, Nóż doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dotyk był o wiele bardziej nieprzyjemny niż w Drewnianej Szczelinie. Jakbym dobrowolnie wpuścił do swojego mózgu pasożyta.

– *Wytrzymałeś więcej, niż się spodziewałem. No i potrafisz zaskoczyć* – demon kontynuował swój monolog.

Tak naprawdę nie mówił, to był czysto mentalny kontakt – stąd ta wspaniała artykulacja.

Oczy nabiegły mu krwią, otworzył pysk; tym razem nie wyleciała z niego kula, lecz strumień żaru. Już nie trzymałem jednego, lecz dwa Noże. Zanim strumień mnie sięgnął, zdążyłem skrzyżować ostrza i tak powstała tarczą odbić piekielną lawę w kierunku demona.

Bronił się, jego cztery kończyny tworzyły śmiercionośny wał, pięści waliły niczym wystrzały z dział moździerzowych, ostre jak brzytwy pazury przecinały tkankę aż do kości. Krwawiłem z dziesiątek ran, krew oślepiała mnie, ale nie przejmowałem się tym zbyt, bo aura demona przebijała swoim światłem materię sfer i zwykłej rzeczywistości. Pomimo wściekłego natarcia musiałem przejść do obrony. Miałem niemiłe wrażenie, że później już mi się to nie uda.

Nic nie robił, po prostu patrzył, jak padam na kolana i szybko oddycham. Dwa Noże znowu zrosły się w jeden, a ten zmienił się w miecz z dwumetrowym płonącym ostrzem. Wydawało mi się, że na obliczu demona pojawił się grymas, jeśli w ogóle można było rozpatrywać tę mimikę w ludzkich kategoriach.

Jego kontury nagle bardzo się wyostrzyły, zdobył nade mną przewagę. To już nie był materialny demon, tylko fala czystej energii. Rzuciłem się w bok, z przewrotu w przód od razu stanąłem na nogi i ciąłem zbliżającą się lawinę. Nastąpiła eksplozja. Wokół mnie owinął się zapach destrukcji rzeczywistości, ale klinga rozproszyła przeważającą część mocy uderzenia.

Demon machnął szponem, który wydłużył się nagle na kilkadziesiąt metrów, po czym zaatakował czułkami mocy. Drzewa się łamały, tony gliny i kamieni wzbijały się w powietrze, bruzdy w ziemi miały głębokość dziesiątek metrów. Miecz nie mienił się już na żółto, lecz na białoniebiesko, jego ostrze sięgało koron drzew. Dawałem mu tyle siły, ile chciał, a nawet więcej. Ciąłem. Eksplozja wydrążyła tunel w napierającej fali śmierci, a ja przeszedłem nim na drugą stronę.

Demon bez przerwy atakował, coraz szybciej i agresywniej. Odpierałem go, ale nie mogłem się zbliżyć, tylko się broniłem. I tak przesunęliśmy się aż na grzbiet gór, zostawiając

za sobą zwałiska połamanych drzew, spaloną ziemię i rozżarzone kamienie.

Jedna za drugą fala mocy, destrukcji i zagłady. Znowu i znowu świat znikał mi z oczu albo ja znikalem ze świata.

Egzystowałem już tylko na fundamentach istnienia. Wszystkie rezerwy były wyczerpane, nie wiedziałem już, czy władam Nożem-mieczem, czy on włada mną. Kolejne natarcie demona, szybsze i ostrzejsze niż wcześniejsze.

Po raz pierwszy nie odpierałem go klingą, starałem się unikać, zasłaniać, uciekać. Schowałem się w kraterze po wcześniejszych wybuchach, nad moją głową rozszalało się ogniste tornado. Wskoczyłem na dziesięć metrów, zanim do krateru wlała się lawa, i bezpośrednio z powietrza uderzyłem w sam środek ciała demona, z którego w każdym kierunku wychodziły macki. Nie spodziewał się ataku z tej strony. Zabolało go, zabolało również mnie.

Uniósł się w powietrzu, w szybkim trybie transformacji przeskoczył na kolejny, wyższy poziom. Ostrze Noża-mieczy wydłużyło się jeszcze bardziej i już nie mierzyło metry, ale dziesiątki, może nawet setki metrów. Ciąłem nim, poruszałem bronią resztkami sił i woli, które mi jeszcze zostały. Fala dźwięku przetoczyła się nad masywem. Czubek ostrza dosięgnął demona, ucięte macki spadły na ziemię, eksplodując oślepiającym blaskiem.

Demon zakończył transformację, a ja po raz kolejny zaatakowałem. Zahaczyłem o grzbiet górski, uwalniając lawinę rozżarzonych pni i stopionego podłoża.

Tym razem udało mu się zrobić unik. Jeszcze szybciej zmierzał prosto w moją stronę, jak gdyby chciał mnie wdeptać w ziemię.

Nóż-miecz skurczył się, cała energia skumulowała się w klindze, która teraz mierzyła nie więcej niż dwa metry. Trzymałem go przed sobą jak ostatnią barierę obronną. Następną falą dźwięku, demon był już przy mnie. Nie starał się nawet unikać ciosów Noża, zapamiętały w boju chciał mnie pokonać najprostszą, brutalną siłą.

Dawka mocy rzuciła mnie na kolana, bez przerwy, uparcie trzymałem przed sobą ostatnią tarczę. Nóż pobierał coraz więcej energii, zaczynał mi szwankować wzrok, mętniały myśli. Przystawałem egzystować. Potem coś wyrwało mi broń z ręki i świat zniknął.

Leżałem na ziemi, moja odzież dymiała. Nade mną pochylał się demon, tym razem w swoim pierwotnym wcieleniu. Szpary oczu otwarte na całą szerokość, ciemne krwawe źrenice przyglądały mi się z pełnym uznania zainteresowaniem.

– Nikt inny by tego nie dokonał, tylko ty, człowiecze – powiedział. – Powinienem był się wcześniej zorientować, że to ty. Już dawno nie stoczyłem takiej walki... Właściwie jeszcze nigdy nie stoczyłem tak wspaniałej walki jeden na jednego – poprawił się i wyszczerzył trójkątne zęby. – Nie zabiję cię. Nie zabiłbym cię, nawet gdybym mógł. Powinienem był rozpoznać cię wcześniej, człowiecze, ale zmieniłeś się. W każdym razie dzięki za pomoc.

Zaśmiał się, odbił gigantycznymi nogami i z rosnącą prędkością zaczął unosić się do góry.

Umarłem. A może zemdlałem? Co za różnica.

* * *

Coś huknęło mnie w głowę, potem znowu i jeszcze raz. Wyczułem w tym jakiś rytm. Leżałem w coś zawinięty na prostym siedzisku, popręg wrzynał się w rozłożyste ramiona kogoś, kto całe życie nosił kilogramy bagaży przez setki, a może nawet tysiące kilometrów. Sądząc po ciemnych plamach potu wzdłuż kręgosłupa i pod pachami, musiał mnie dźwigać już dosyć długo.

W dodatku na popręgu kołysał mu się wielozadaniowy karabin i kłuł go w bok.

– Cieszę się, że pana widzę, panie Janota – wycharczałem. – Jeśli to ma być tryumfalna parada zwycięzców, życzyłbym sobie, żeby trochę mniej mną rzucało.

Zatrzymał się, odwrócił w moją stronę i otarł pot z czoła.

– Tryumfalna parada zwycięzców? – powtórzył w zamyśleniu. – Niech pan to powie miejscowym. Pogrzebał pan pod lawiną kamieni całą wieś. Jeśli pan chce, powiem im, że pan przeżył. Pełni zachwyty ułożą panu stos. Z pewnością tryumfalny.

– Nie trzeba, jestem dosyć skromny – wystękałem.

Musiałem stracić przytomność, bo ocknąłem się znowu w chacie z bali. Czarodziejka karmiła mnie właśnie czymś, co miało smak wywaru wołowego. Miałem jednak wątpliwości, czy w tej okolicy znalazłaby się porządna wołowina.

– Sam sobie poradzę – zaprotestowałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że zupę mam wszędzie, chyba nawet w uszach.

– Po trzech dniach doczekaliśmy się jakichś zmian na lepsze – zgodziła się i z pełnym wątpliwości wyrazem twarzy patrzyła, jak próbuję chwycić oburącz blaszany talerz.

Wyteżając wszystkie siły, uniosłem go do ust i napiłem się. Może lepiej by było, gdybym pozwolił się karmić. Gorąca zupa spływała mi aż na spodnie.

Chatę wypełniał aromat wędzonego mięsa. Janota spostrzegł, na co zwróciłem uwagę.

– Upolowałem dzika. Całkiem miłe urozmaicenie zapasów, które tu przyniosłem – wyjaśnił.

– Naprawdę byłem wyłączony aż trzy dni? – zapytałem.

Czarodziejka przytaknęła. Sądząc po podkrążonych oczach, większość tego czasu spędziła, czuwając nade mną.

Dotarło do mnie, że jestem jej wdzięczny. Bez jej pomocy chyba umarł, a wcale nie chciałem jeszcze umierać. Tak naprawdę rozpaczliwie pragnąłem żyć, bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wdzięczność, dziwne uczucie.

– Nazywam się R. C. – przedstawiłem się inicjałami, które uważałem za swoje. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

Przytaknęła. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie powiedziałem niczego nowego. Znała

mnie? A może wiedziała, kim jestem?

– Mam na imię Hekate.

Przez chwilę je powtarzałem. Skrywało w sobie więcej, niż się w pierwszej chwili zdawało. Tylko wyjątkowy człowiek przyjmuje imię boga, bogini – Pani Krzyżówek. A może sama była boginią? To jednak wydawało mi się mało prawdopodobne.

Przy ogniu klęczała jeszcze jedna kobieta. Nigdy jej nie widziałem, ale stopniowo zaczynałem sobie przypominać, kim jest. To przez nią, przynajmniej częściowo, to wszystko się stało.

Była młoda. Starsza, niż sobie wyobrażałem, ale jednak młoda, dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem lat, twarz naznaczona pierwszymi zmarszczkami, przedramię poorane świeżymi bliznami po niedawnej przeprawie przez pralą. Biorąc pod uwagę męczarnie, jakie przeszła, była w zaskakująco dobrej kondycji. I poród, przypominałem sobie.

* * *

Wędzonka z haka nad ogniem zniknęła, poza tym wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Deszcz bębnił o dach chaty, a dym pełzał zaraz przy ziemi. Szczypał w oczy i odmawiał ujścia przez komin.

– Cieszę się, że znowu się pan obudził – powiedziała matka demona i uśmiechnęła się, ku mojemu zaskoczeniu bardzo sympatycznie. – Nazywam się Val.

Garnuszek, z którego piłem zupę, gdzieś przepadł. Nie rozumiałem, co się stało.

– Usnął pan w trakcie naszej rozmowy. Minęły kolejne dwa dni – wyjaśniła Hekate i podała mi miskę z jedzeniem. Tym razem to już nie była sama zupa.

Już nie leżałem, na wpół siedziałem oparty o stos gałęzi przykrytych kocami. Zapach wędzonki rozchodził się po całym pomieszczeniu, budząc we mnie niemal zwierzęcy głód. Ugryzłem kawał mięsa i musiałem się powstrzymać, żeby wszystko dobrze przeżuć, a nie połykać kawałkami jak drapieżne zwierzę.

– Co tu się właściwie stało? – odezwał się Janota. – Teraz, kiedy jest z nami R. C, moglibyście mi to powiedzieć.

On również jadł, ale w o wiele bardziej cywilizowany sposób niż ja.

Deszcz przybrał na sile, zmienił się w powódź spadającą z nieba. Spomiędzy bali prowizorycznie załatanych ścian spływały liczne strumyczki. Ogień przyjemnie grzał; pomimo zupełnego wyczerpania, które groziło mi utratą świadomości w każdej chwili, czułem się zaskakująco dobrze.

– A skąd pan tu się wziął, poruczniku? – odpowiedziałem pytaniem. Musiałem je powtórzyć, żeby usłyszał w huku deszczu.

– Rozmawiałem z ojcem Strazynskim i bratem Saxonem. Każdy z nich mówił mi co innego. Postanowiłem się więc przekonać, jak to jest z tym demonem. A to, co do tej pory

zobaczyłem, w ogóle mi się nie podoba – odpowiedział spokojnie Janota.

Nic dziwnego, mnie też wiele się nie podobało. A właściwie wszystko.

– To dziecko nie było opętane – zaczęła Hekate. Musiałem obserwować jej usta, żeby zrozumieć dokładnie, co mówiła.

– Ale nie było też normalnym ludzkim dzieckiem...

– Urodził się demon – dopełnił Janota, bo czarodziejka wciąż zwlekała.

Położył przy tym rękę na ramieniu Val, jakby chciał ją uspokoić.

– Tak, urodził się demon – potwierdziła Hekate. – W pierwszej tysięcznej sekundy swojego życia bezsilny, jak każdy noworodek, ale potem zebrał swoją moc i stał się...

– Demonem siódmej kategorii – znowu dokończył Janota. Wydawało mi się, że specjalnie mówi tak otwarcie, żeby obronić Val przed udrami wątpliwości. Z pewnością uważał ją za swoją podopieczną.

– Demon nie może się narodzić, nie w taki sposób. Gdyby spróbował, Val byłaby już dawno martwa, rozerwałby ją mniej więcej w trzecim miesiącu – nie zgodziłem się. Czy już coś takiego widziałem?

Hekate posłała mi krótkie spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

– Kim jest ojciec? – zwróciła się do Val.

Ta niepewnie pokręciła głową.

– Nikim. Nie miałam w tym czasie żadnego mężczyzny. Nic nie rozumiem, to mnie przerasta.

Gdyby nie to, co się stało, uznałbym, że kłamie. A tak tylko milczałem. Było mi wszystko jedno, z kim spała, w niepokalane poczęcie nie wierzyłem. Nie na tym świecie.

– Istnieje inne wyjaśnienie – odezwał się głos, do którego jeszcze nie przywykłem.

Micumina kuliła się w najdalszym od paleniska rogu chaty. Dym z pewnością przeszkadzał jej dużo bardziej niż nam.

– Tego nie mówisz ty, Micumo, prawda? – zapytałem, plując jedzeniem.

Z moją koordynacją wciąż nie było najlepiej. Klacz pokręciła łbem.

– Kimkolwiek byś była – powiedziałem najostrożniej jak tylko potrafiłem – z chęcią pogadałbym sobie ze swoim koniem... mimo że jego rady są guzik warte. Możesz z niej wyjść?

Micumina odbiło się, jakby przeskoczył jej głos.

– Wstawcie na ogień garnuszek z wodą i przykryjcie – poprosiła.

Ona albo duch z maszyny.

Janota spełnił jej prośbę, przez cały czas trzymając dłoń na kolbie karabinu. Z pewnością nie wypuszczał go, nawet gdy kładł się spać. Wcale mu się nie dziwiłem.

Czekaliśmy, co się stanie. Burza zagłuszała nasze głosy, na ubitej podłodze tworzyły się potoczki ściekające w jeziorko. Val wyryła w ziemi rowek, żeby ta mała powódź nie zgasiła paleniska.

Ledwie woda zaczęła się gotować, a pokrywka podskakiwać, odezwał się metaliczny głos. Brzmiał, jakby dobywał się ze starego fonografu. Natychmiast rozpoznałem tę dykcję.

– Po bitwie zostało w powietrzu mnóstwo energii. Mogę się z wami kontaktować również w ten sposób.

– Odzyskałaś swój głos? – odwróciłem się w stronę Micumy.

– Tak – odpowiedziała zwięźle. – Już trzeci dzień się obzeracie, ale nie przyszło wam do głowy, żeby przynieść mi jakieś lepsze żarcie.

– To chyba dobrze, że zazwyczaj konie nie mówią.

– O jakim wyjaśnieniu mówiłeś? – Hekate zagadnęła garnek, nie zwracając uwagi na moją przepychankę z Micumą. Punkt dla niej.

– Demony nie mogą po prostu się urodzić. Próbowaly już tysiące razy i nigdy im się nie udało. Są zbyt silne, zbyt brutalne, by zdołały połączyć się z kobietą rodzaju ludzkiego i w ten sposób przyjść na ten świat. Ale bogowie to potrafią. Robili to już wiele, wiele razy – mechanicznie recytował garnek.

Błaszany głos lepiej pasował do tajemniczego ducha niż alt Micumy.

– Stary J. Ch., kurwiarz Zeus i wielu innych – przytaknałem.

Nie powinienem był tego robić. Zakręciło mi się w głowie, ostatkiem sił zatrzymałem w żołądku to, co wcześniej tak łapczywie połknąłem.

– Odniosłeś o wiele poważniejsze rany niż te, które widać gołym okiem. Wystarczyłoby ich do uśmiercenia setek ludzi – ostrzegła Hekate i położyła mi dłoń na czole.

Terapia była jak uderzenie młotem kowalskim, ale pomogła.

Burza ciągle się wzmagała, deszcz i świst wiatru zagłuszały inne dźwięki. Płomienie niespokojnie tańczyły po polanach. Przygrywał im wiatr wdzierający się przez dziurawe ściany.

– Właśnie – zgodził się garnek, kiedy burza znowu na moment osłabła.

Jego słowa przerywało nieregularne podskakiwanie pokrywki unoszonej wydobywającą się z garnka parą.

– W dolinie ma siedzibę stary bóg, który pragnie powrócić z zapomnienia. Przez ciało kobiety. Począł to dziecko i tchnął w nie część siebie. Tak mało, żeby drobnusieńkie ciało z mięsa i kości zdołało ją unieść.

– A demon szukający drogi do naszej sfery to wykorzystał. Wyeliminował duszę boga i przyszedł na świat w wolnym już ciele – dokończyłem.

Hekate westchnęła głęboko. Pokrywka zabrzczała, jakby nasz niewidzialny kompan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie miał już siły.

– Rodząc się, zyskał prawo, żeby tutaj żyć. Ziemską sferą należy do niego tak samo jak do nas – rzekła cicho czarodziejka.

W przeciwieństwie do Janoty, który dotykami i ginącymi w ulewie słowami uspokajał Val, docierało do niej, o co tak naprawdę chodziło. Jaka wyrafinowana partia została

rozegrana między bogiem a demonem.

– I nigdy nie da się go stąd przepędzić. Co najwyżej zniszczyć.

Zamilkliśmy. Patrzyłem na płynącą po podłodze wodę. Mimo starań Val sięgała już do kamieni ułożonych wokół ogniska. Syczała tak głośno, że było ją słychać mimo huku deszczu walącego o dach.

– Ale nie upokorzył mnie tym, przeciwnie. Czuję się silniejsza, czuję się dużo lepiej niż w całym swoim dotychczasowym życiu! – zaprotestowała Val.

– Jasne – przytaknęła naburmuszona Hekate. – Jesteś jego zakotwiczeniem w materialnym świecie. Łączą cię z nim więzy krwi. I tak samo będą z nim związane twoje następne dzieci i mężczyzna, który je spłodzi. Staniecie się jego armią tu, na ziemi.

Nie zauważyłem żadnego ruchu, ale teraz Janota celował w Hekate.

Czarodziejka tylko uspokajająco ruszyła dłonią.

– Nie ryzykowałam po to, żeby teraz zabić Val, poruczniku. Nie musicie się bać, że zmieni się w monstrum i zmasakruje pańskie miasteczko. Mieliśmy zabić demona, ale na to jest już za późno.

– Chce coś powiedzieć – Micuma wmieszała się do rozmowy, wskazując garnek. – Wygotowała się woda, a bez niej nie może mówić.

– Dlaczego demon was nie zabił? – Janota zadał pytanie, które dręczyło mnie, odkąd odzyskałem przytomność.

Jak on to powiedział? „Nie zabiję cię. Nie zabiłbym cię, nawet gdybym mógł. Powinienem był rozpoznać cię wcześniej”. Jeśli rzeczywiście byłem mężczyzną z ilustracji, którą ciągle nosiłem przy sobie, czemu zostawił przy życiu dawnego przeciwnika? To nie miało sensu... i budziło grozę. Co takiego kryło się głęboko we mnie, że demon nie zgładził największego wroga z przeszłości?

Dotarło do mnie, że Janota powtórzył swoje pytanie. Obserwowały mnie trzy pary ludzkich i jedna para końskich oczu. Garnek zaczynał żarzyć się od spodu. Do smrodów, do których już przywykłem i które już ledwo wyczuwałem, dołączył jeszcze odór palonej emalii.

– To waleczny demon. Są ich setki, tysiące, miliardy – zaczęłam opowiadać. Nie miałam pojęcia, skąd to wszystko wiem. – Demony tworzy i żywi zapiekłość i strach wojowników całych generacji, od samego początku istnienia rodzaju ludzkiego. Walczą same między sobą, pożerają się, rosną w siłę, dążąc ku szczytom hierarchii.

Słuchali mnie z urzekającą uwagą, jaką poświęca się najgorszym kłamstwom – albo najgorszym prawdom. A ja wiedziałem, że to, co mówię, to najszczerza prawda.

– Niektóre hodują w górach ludzi bez względu na wiek i płeć, inne nawet nie kiwnęłyby palcem, żeby zabić kobietę albo dziecko, bo to by ich samych osłabiło.

Kiedyś znałem je wszystkie. Albo to coś, co żyło we mnie, je znało. Wstrząsające. Ale na swój sposób również pociągające.

– Ten demon należy do tego drugiego rodzaju. Po tym, jak mnie pokonał, nie chciało mu

się tracić sił na zabijanie zwykłej kobiety. Albo dotarło do niego, że Hekate pomaga jego matce, a ta z kolei pomaga mu ustabilizować byt na tym świecie.

– Ale dlaczego nie zabił pana? – Janota wrócił do sedna sprawy.

Wiedziałem, zanim jeszcze skończył zadawać pytanie. Wahałem się, czy powiedzieć to głośno. Nikt właściwie nie miał dzisiaj pojęcia, co przed niespełna stu laty stało się koło Sewastopola. Uważano, że Raymond Curtis zginął. A co, jeśli nie zginął, jeśli naprawdę to ja nim byłem? Mężczyzna z obrazka mnie przypominał, co do tego nie miałem wątpliwości. A co, jeśli bestie z ukrytych sfer zdecydowały się wykorzystać największego przywódcę ludzi do swoich celów? Co, jeśli tak go umęczyły, że rozbiły jego świadomość, rozszczepiły ją, a potem w najgłębszych pokładach umieściły potwora, którego nie chciał zabić demon siódmej, może nawet ósmej kategorii? Potwora, który uzewnętrzni się, kiedy przyjdzie na to czas?

Nagle oddychało mi się bardzo ciężko, na czole poczułem krople potu. Po raz pierwszy od starcia Oko przebudziło się i bardzo niewyraźnie starało się wyostrzyć obraz, ale wychodziły mu jakieś bzdury. Gdybym skłamał, zorientowałyby się. Hekate widziała to, co ukryte pod powierzchnią, Janota też nie sprawiał wrażenia kogoś, kto urodził się wczoraj.

– Nie wiem. Domyślam się, ale nie chcę o tym mówić – powiedziałem, zamiast skłamać.

Napięcie, o dziwo, rozładowało się.

Janota skinął, podał mi manierkę. Już z daleka poczułem zapach góralskiej przepalanki.

– Jeśli nie nalejecie do tego garnka jakiejś wody, będzie po nim – przypomniała Micuma.

Pociągnąłem porządny łyk, aż się zakrztusiłem. Woda zasyczała na rozżarzonej blasze i już po chwili pokrywka zaczęła podskakiwać.

* * *

Ktoś zadał jakieś pytanie, ale jego sens do mnie nie dotarł. Sen przyszedł wolniej niż poprzednim razem, ale nadal był niczym pędząca lawina, której nikt nie zdoła zatrzymać.

Obudziło mnie słońce. Wpadało do środka przez otwarte drzwi, a razem z nim wilgoć późnojesiennego dnia. Byłem w chacie sam, na kocu koło pryczy leżały magazynki z rewolweru i śrutówki. Nie brakowało ani jednego. Janota był drobiazgowy, w dodatku wiedział, jak ciężko teraz o materiał.

Do środka zajrzała Micuma.

– Przespałeś kolejne dwadzieścia cztery godziny – oznajmiła tonem łudząco przypominającym wyrzut.

– Czuję się, jakbyś po mnie przez cały ten czas deptała – odciąłem się.

Pokrywka brzęczała. Garnek znowu stał na gorących kamieniach i był napęczniony wodą.

Najwyraźniej reszta towarzystwa rozmawiała z duchem w maszynie, kiedy ja spałem.

– Mam dla ciebie propozycję – odezwał się duch.

– Z chęcią jej wysłucham, ale najpierw chciałbym wiedzieć, z kim tak naprawdę mam

przyjemność.

Na podłodze, zaraz obok pryczy, stała miska zupy, obok niej leżał kawał mięsa i porządnie wyschnięta pajda chleba. Zostawili je dla mnie. Ich troskliwość znowu mnie zaskoczyła, czułem się dziwnie. Nie byłem do tego przyzwyczajony.

Po raz pierwszy od długiego czasu udało mi się usiąść. Poszło zaskakująco ciężko. Ciało wydawało się z ołowiu i musiałem wyteńczyć wszystkie siły, żeby poradzić sobie z jego ciężarem. Przy ruchu zorientowałem się, że nie mam przy sobie żadnej broni. Kiedy jednak zobaczyłem arsenał na kocu, wyczyszczony i naoliwiony, uspokoiłem się. Janota to człowiek z tej samej gliny. Wystarczyło sięgnąć, o ile oczywiście udałoby mi się tak wyciągnąć. Na razie, zamiast zajmować się bronią, nałamałem sobie chleba do zupy, aż powstała gęsta masa o konsystencji kaszy, którą zacząłem łapczywie połykać. Dopiero potem zabrałem się do mięsa.

Pokrywka kilka razy brzęknęła, ale garnek nie przemówił.

– Obserwujesz mnie? – odgadłem powód milczenia.

– Tak – przyznał nasz dziwaczny kompan. – Po walce z demonem w powietrzu zostało jeszcze bardzo dużo energii. Wokół ciebie unosi się mnóstwo moich cząsteczek, które w zależności od potrzeby łączą ze sobą i kompilują z nich różne urządzenia. Teraz dzięki nim słyszę i widzę, a także mogę z tobą rozmawiać, do tego jednak potrzebuję trochę więcej energii i specjalnych warunków – ciśnienia pary albo ciepła i narządów mowy twojego konia.

– Ale kim właściwie jesteś? – wróciłem do zasadniczego pytania.

– To potomek jakiejś sztucznej inteligencji. – Hekate stanęła w drzwiach. – Jest w jakiś sposób związany z tym pasmem górskim. Sądzę, że przed Krachem uruchomiono tu jakiś superkomputer albo biologiczną sieć nerwową.

– Albo obie te rzeczy jednocześnie – odpowiedział garnek.

– Te korzenie ze stalowym rdzeniem to twoja sprawka? – przypomniałem sobie.

Hekate nie wchodziła do środka, opierała się o futrynę.

– Tak. W ten sposób pozyskuję energię ze źródeł na różnych wysokościach nad poziomem morza. Gdybym korzystał tylko z jednego, mogliby mnie łatwo namierzyć.

Udzielił bardziej wyczerpującej odpowiedzi, niż oczekiwałem.

– A co z trójkami?

Hekate wydeła policzki po głębokim wydechu, jakby chciała skosztować mikroskopijnych cząsteczek składających się na niewidzialne ciało ducha.

– Efekt uboczny nieudanego eksperymentu – odpowiedział spokojnie głos. – Nie mojego – dodał szybko, kiedy czarodziejka się zatrzęsła. – Eksperymentu moich twórców. Mam w pamięci wszystkie informacje, całe pokolenia trójokich żyją tylko dzięki mnie. Ich metabolizm jest niestabilny, muszę w niego permanentnie ingerować, utrzymywać w równowadze pozwalającej im przeżyć.

W jednej kwestii wierzyłem duchowi z maszyny – z pewnością był potomkiem albo

pogrobowcem jakiejś archaicznej sztucznej inteligencji. Nikt inny nie potrafiłby mówić tak beznamiętnie. Równowaga pozwalająca im przeżyć...

– A w zamian za to oni ci służą – dokończyła Hekate.

– Tak. Jeśli mamy kontynuować naszą konwersację, dolejcie trochę wody do mojego głośnika.

Starałem się spełnić jego prośbę, ale ciągle byłem dużo słabszy, niż mi się wydawało, na szczęście Hekate mnie uprzedziła. Udawała, że niczego nie zauważyła, a ja zamaskowałem słabość markowanym atakiem kaszlu.

Duch dostał swoją wodę, musiał tylko poczekać, aż zacznie wrzeć.

– Janota i Val są na zewnątrz? – zapytałem.

– Poszli. Zaproponował jej, żeby została w Jabłonkowie – wyjaśniła Hekate. – Jako komendant wojskowy może sobie na to pozwolić.

– Przypadła mu do gustu, mimo że jest matką demona.

– On jej też.

– Nie ma zbyt wielkiego wyboru – zauważyłem. – Jeśli nie zachowają w tajemnicy, kim jest Val, ludzie nie dadzą jej spokoju.

– Nie ma zbyt wielkiego wyboru – powtórzyła. – Ktoś taki jak Janota zdarza się raz na dziesięć tysięcy mężczyzn.

Przyznałem jej rację. Janota był wyjątkowy pod każdym względem.

– Jestem gotowy. Możemy dalej rozmawiać – odezwał się charakterystyczny blaszany głos, pokrywka znów podskakiwała.

– Masz problem – rzuciłem w stronę garnka. – W dolinie jest ktoś, kto z tobą walczy. Chodzi po górach, jego siła przytłacza twoje mikroskopijne cząsteczki, a ludzie niszczą dla niego korzenie, przez które czerpiesz energię.

– Twoje twierdzenie jest prawdziwe, ale niepełne. Mój nieprzyjaciół szkodzi mi jeszcze bardziej. Narusza ukrytą równowagę poprzez degradację mojego hardware z dodatnią derywacją, i to w sposób, który prędzej czy później spowoduje u mnie utratę osobowości.

– Myślałem, że sztuczna inteligencja jest w stanie myśłą rozszczyć atom – rzekłem w zamyśleniu.

– Może kiedyś – nie zaprzeczał duch z maszyny – ale nie ja. Jestem stosunkowo słabą i mało skomplikowaną sztuczną inteligencją.

– A co to za potwór z doliny, który robi ci takie problemy?

– To bóg – tym razem odpowiedziała Hekate. – Stary i niegdyś bardzo mocny duch, który wrócił z jakiegoś koszmarnego piekła i teraz walczy o swoje miejsce w blasku słońca.

– Bóg – powtórzyłem z nadmiernie dokładną artykulacją.

Poznałem pobieżnie kilku z nich; właściwie tylko ich zobaczyłem, zwłaszcza małych bogów śmierci, którzy znaczyli swoje ofiary.

– Lepiej nie wchodzić im w drogę – stwierdziłem na głos. – Rozumują inaczej niż ludzie,

potrafią kogoś zmiążyć z powodów, których zwykły śmiertelnik nie jest w stanie zrozumieć.

– Ty sam podróżujesz z bogiem – zwrócił uwagę duch.

Spojrzałem zdziwiony na garnek.

– Ma rację. Twój Nóż albo jest bogiem, albo bóg się w nim skrywa – potwierdziła Hekate. – Zależy, jak na to patrzeć.

Spojrzałem na Nóż leżący między resztą uzbrojenia.

Do tej pory instynktownie unikałem rozmyślań na ten temat, a teraz ten krótki kontakt wzrokowy mnie zabolął. Bolały też obrazy z przeszłości, musiałem zacisnąć szczękę, żeby powstrzymać szczekanie zębami.

– To jeden z bogów Candomble – powiedział duch. – Sądząc po inskrypcji, bóg żelaza i wojny, Ogun. Z prawdopodobieństwem dziewięćdziesiąt dwa procent.

– Dlaczego miałby być w Nożu? Dlaczego miałby podróżować ze mną? Dlaczego miałby mi pomagać? – niemal jednocześnie wyrzuciłem z siebie trzy pytania.

Być może osobowość ducha ulegała degradacji szybciej, niż sądził.

– Bogowie Candomble są bardzo osobliwi – zaklekotał garnek. – Sam przecież mówiłeś, że ludzie nie rozumieją ich motywów działania.

– Pozostaje pytanie, czy ci pomaga. Czy nie oczekuje czegoś w zamian – dodała po cichu Hekate.

Wiedziałem, czego nie powiedziała. Może widziała te ogromne głucho-przestrzenie, które zostały po mojej walce z demonem.

– Mojej duszy?

– Właśnie. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałam, demon wytrącił ci go z ręki i właśnie w ten sposób cię ocalił. O mało co nie przegrałeś sam siebie i nie zszedłeś wraz z bogiem.

Chciałem zaprotestować, ale gdzieś w środku byłem przekonany, że to prawda. Tak jakby powiedzieli coś, co już od dłuższego czasu przeczuwałem.

– Skąd tak dobrze wiesz, kim jest Nóż? – zwróciłem się do garnka.

– Każdego przeciwnika można pokonać – odpowiedział duch. – To tylko kwestia informacji, znalezienia słabego punktu. Widziałem waszą walkę, zdaję sobie sprawę, ile cię to kosztowało. Zbieram informacje o wszystkich bogach, a inskrypcja wskazuje właśnie na Oguna. Gdybym wiedział, który bóg osiedlił się w dolinie, miałbym szansę w walce z nim.

– I tego właśnie chcesz ode mnie – próbowałem zgadnąć.

– Tak.

– Jesteś słaby, R. C. – zwróciła się do mnie Hekate. – Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, byłeś jak monolit, blok z czarnego diamentu, o który roztrzaska się każdy przypuszczony atak. Teraz jesteś tylko cieniem. Wystarczy jedna kulka, zardzewiały gwóźdź i umrzesz jak zwykły człowiek. Na sekundę dotkniesz boga w Nożu i stracisz duszę. Mówiła prawdę.

– Dlaczego miałbym ci pomóc? – zapytał ducha.

– Zawarłeś umowę z księdzem z miasteczka. Interesuje cię historia walki o Sewastopol. Mam dosyć pokaźne bazy danych i sądzę, że znalazłbyś w nich dużo interesujących informacji.

Pokręciłem głową.

– To mi nie wystarczy.

– Ten bóg w dolinie to nie jest dobry bóg. Czuję to, wiem. To stary bóg krwi i cierpienia.

– A odkąd to sztuczne inteligencje wiedzą, czym jest dobro i zło? Albo cierpienie? – rzuciłem z sarkazmem. – Nawet jeśli byłoby tak, jak mówisz, dla mnie to nie jest dostateczny powód.

– Rozumiem – brzęknął garnek.

Jeśli w odpowiedzi kryło się rozczarowanie, nie słyszałem go.

– Pójdę się trochę przewietrzyć, może uda mi się utrzymać na nogach – powiedziałem jakby sam do siebie i wstałem.

Szło mi źle, bardzo źle.

Z pomocą Hekate pokuśtykałem na zewnątrz. Domyśliła się, że nie chcę, by mnie podtrzymywała, mimo to trzymała się na wyciągnięcie ręki, w razie gdybym stracił równowagę. Z tych samych powodów Micuma kroczyła przy moim boku. Wokół chaty rozpościerał się krajobraz księżycowy – wypalone kratery, promienie słońca odbijające się od roztopionych i ponownie zastygłych obłych gładów i rozległych obsuwisk – pozostałości po mojej walce z demonem.

– Dziwne, że ta chata się nie rozleciała.

Ani Micuma, ani czarodziejka nie odpowiedziały. Od zachodu zaczęły nadciągać chmury, słońce mieliśmy tylko przez chwilę. Czuję się osłabiony i nie chciało mi się ruszać w podróż, ale nie wiedziałem, jak duże mamy zapasy żywności. Nie byłem też pewny, jak długo Hekate zechce ze mną zostać. Po nieudanym polowaniu na demona nic jej tu nie trzymało.

– Spokojnie – oceniła Micuma, jakby pustynia, na której przed kilkoma dniami rozegrała się bitwa, zaliczała się do ulubionych uzdrowisk ludzi.

Zanim zdążyłem to powiedzieć, rozległ się trzask łamanej gałęzi. Po lewej, skąd wiał wiatr. Zesztywniałem. Z pustki wynurzył się pistolet – widziałem czarny wylot lufy, czułem nabój w komorze.

– Zabiję cię, gnoju – jednocześnie usłyszałem głos.

Rzuciłem się na ziemię, ale zbyt późno. Ciało jeszcze mnie nie słuchało, poruszałem się jak w przezroczystej masie o konsystencji kisielu. Błysk, kula wyleciała z lufy. Czuję ją, widziałem, co się stanie, kiedy trafi mnie w serce. Bez ostrzeżenia z krańców mojego pola widzenia wynurzył się cień. Zabrział wystrzał, huk.

Padłem na miękką glinę, Hekate tuż przy mnie. Instynktownie wciągnąłem nas oboje do jamy po wyrwanym młodym świerku. Czarodziejka leżała na plecach, na jej kamizelce rosła

plama krwi, pierś konwulsyjnie drgała, jakby nie mogła złapać powietrza.

– Zabiję cię, ty gnoju!

W końcu poznałem ten głos. Gucci.

Miałem go w dupie. Jednym ruchem rozdarłem kamizelkę czarodziejki i koszulę pod spodem. Trafił ją dwa razy. Miał pistolet, który wypuszczał drugi nabój, jeszcze zanim pierwszy wyleciał z lufy. Obydwa strzały trafiły w płuca, zaraz koło serca.

Nadal żyła.

– Dlaczego, dlaczego to zrobiłaś? – szeptałem i trzęsącymi się rękoma próbowałem wyciągnąć obydwie pociski jednocześnie. Jej krew była ciepła, gorąca, była wszędzie. Już zmieniała się w różową pianę. Zazwyczaj nie przejmowałem się tak ubytkiem czyjejs krwi.

– Na pewno masz coś tam, w chacie. Coś magicznego, coś, co ci pomoże!

Pokręciła głową. W mojej sakwie na pewno coś by się znalazło. Nic nadzwyczajnego, ale uratowałyby jej życie.

Wsunąłem pod nią rękę, podkurczyłem kolana, żeby dostać się do chaty dwoma, trzema skokami.

Przed bitwą z demonem nie zajęłoby mi to nawet sekundy.

– Czyha na ciebie – ostrzegł mnie dobiegający skądś głos Micumy.

– Nie rób tego – wycharczała Hekate.

Musiałem, nie mogłem pozwolić, żeby przeze mnie zginęła. Podniosłem się, lecz zanim się odbiłem do pierwszego skoku, strzał powalił mnie na ziemię. Ramię miałem zwęglone, wydałem z siebie bolesny skowyt.

– Zabiję cię, tak jak ty zabiłeś moich braci! – wrzeszczał Gucci.

– Źle go widzę, nosi maskujące ubranie – odezwała się Micuma, a raczej duch z maszyny.

Bandaż, na pewno miałem gdzieś w kieszeni bandaży, opatrunek. Albo ja, albo ona. Położyłem się z nią na ziemi. Dłoń przyciskałem do ran, Ręką przeszukiwałem kieszenie. Niezbyt dobrze się do tego nadawała.

Krew wyciekała już dużo wolniej i wydawała się zimniejsza. Ale nie dlatego, że rany się zasklepiały.

– Dlaczego? Dlaczego?

W końcu znalazłem ten bandaż. Pokręciła głową. Starąłem się na próżno. Słyszałem, jak serce przestaje bić, jak z każdym uderzeniem skurcze są coraz dłuższe.

– Dlatego – stęknęła, sięgnęła do swojej kieszeni i wyciągnęła ilustrację z księgi upiórów.

Trzymała ją w zaciśniętej pięści, pomiędzy jej palców wyciekały szkarłatne strużki krwi.

– Widzisz siebie tam? Widzisz? – szeptała.

Tylko kręciłem głową. Co miałem jej powiedzieć? Że już dawno nie jestem obrońcą ludzkości, za którego mnie uważa? Że mam w głowie bombę zegarową, przez którą nawet waleczny demon mnie oszczędził?

– Trafiłeś nie w tego człowieka! – wrzasnąłem zamiast wyjaśnień. – Pozwól mi ją ocalić,

a stanę przed tobą choćby i z gołymi rękoma!

Zamiast odpowiedzi padł strzał. Przeszedł tak blisko, że usłyszałem charakterystyczny świst przelatującej kuli.

– Widzisz siebie tam? – powtórzyła.

Jej źrenice znieruchomiały, oczy się zaszkliły.

– Widzę.

– Dlatego – powiedziała niemal z satysfakcją. – Ja również ciebie tam widzę. Spotkać cię... pokazywać ci drogę... to było wspaniałe...

Nie żyła.

– Przecież czarodziejki tak łatwo nie umierają! Mają więcej żyć niż koty, widziałem na własne oczy! – Nie mogłem się z tym pogodzić.

– Była wyczerpana, ponieważ cię leczyła. O mało sama przy tym nie umarła – odparła niewidoczna Micuma albo duch.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

Zacisnąłem zęby i oparłem czoło o jej biodro. Już stygła, czułem każdy stopień ciepła, wraz z którym odchodziła ze świata żywych, słyszałem, jak umiera jej mózg, rejestrowałem ostatnią myśl – wskazywać drogę. Ale przecież nigdy nikomu żadnej drogi nie wskazywałem, nie ja. Co najwyżej do piekieł.

– Zabiję cię, Guczi.

– Ciężko będzie – odpowiedział mi zadowolony, pewny siebie głos. – Wiem, gdzie leżysz. I przysięgam, że żywy z tej dziury nie wyleziesz.

– Mogę sprowadzić swoich ludzi w ciągu dwóch, trzech godzin. Chyba już wiem, gdzie on jest – zaszeptał duch z maszyny głosem Micumy.

Jednocześnie rozległ się kolejny strzał. Chciał ją mieć, bydlak.

– Zamknijcie się oboje! – wrzasnąłem. – Guczi, posłuchaj mnie teraz uważnie – powiedziałem tak spokojnie, że aż sam byłem zaskoczony. W środku aż wrzałem ze wzburzenia. Obie strony mojego ja pragnęły jego krwi, jego śmierci. Prędzej bym oszalał, niż powstrzymał tę żądzę mordy. – Mylisz się. Za kilka godzin będzie już ciemno. Może masz noktowizor, a może nie. Raczej nie. A ja nie jestem zwykłym człowiekiem i mam zaskakująco niską temperaturę ciała. Dla kogoś, kto nie zajmuje się profesjonalnie mordowaniem po nocach, znalezienie mnie w ciemnościach jest bardzo trudne. Kiedy już zapadnie zmrok, wyczołgam się z tego okopu i wrócę do chaty. Wisi tam na skoblu stara piła do żelaza, nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo zardzewiała i tępa. I właśnie tą piłą wyrnę ci nerki i zjem razem z twoimi oczyma.

Coś zaszeleściło w trawie. Wystraszyłem go. Punkt pierwszy planu zrealizowany z powodzeniem.

Czekałem i nasłuchiwałem. Gdy strzelał na oślep, mocniej przywierałem głową do ziemi. Utrata krwi z ramienia osłabiła mnie jeszcze bardziej. Nie przejmowałem się tym zbyt. W

ogóle niczym się nie przejmowałem.

Zapadł zmrok, nadeszła ciemna, wilgotna noc, zresztą jak zwykle w tej krainie. Czulem, jak chmury ocierają się o moje plecy. Jakby na złość Guziemmu zaczęło jeszcze padać. Przesunąłem się o metr, a potem uniosłem. Zaczął strzelać, kiedy byłem już w połowie drogi do chaty.

Tu odpoczywałem, tu towarzysze pomagali mi wylizać się z odniesionych ran, a jeden z nich był chyba nawet moim przyjacielem. Z pewnością nim była, ale teraz była też martwa. Straciłem ją. Świat ją stracił.

– Już tu jestem, Guzi! – krzyknąłem w ciemność. – I już trzymam tę piłę.

Pistolet szczęknął trzy razy. Noc pozbawiła go mocy, to już nie była ta sama broń, która trzy godziny temu zabiła Hekate.

– Idę po ciebie – kolejna dawka strachu. Poczekałem, aż wściekła seria wbije się w ściany.

Potem wszystko poszło już łatwo, przynajmniej do części finałowej z piłą w roli głównej. Hekate z pewnością by tego nie pochwaliła, ale martwi nie mają głosu. Guzi nie był tak twardym wojownikiem jak jego bracia. Na swoje nieszczęście tak bardzo w to wierzył, że nie wytrzymał do końca.

* * *

Do chaty wróciłem dopiero nad ranem. Micuma czekała w środku i nie przejawiała zbyt wielkiej ochoty na wypas. Świtało, ale nie czułem się zmęczony, nie bardziej, niż kiedy odchodziłem po zmroku.

Usiadłem, rozpałiłem ogień, nalałem wody do kociołka i wrzuciłem do niej garść kawy. Napełniłem też walający się nieopodal garnek, umieściłem nad płomieniami i przykryłem.

– Zakładam, że słyszysz mnie, nawet kiedy nie możesz mówić.

– Mogę mówić – zaprotestował duch z pyska Micumy.

– Zostaw w spokoju mojego konia – wycedziłem z dużo większą wściekłością, niż zamierzałem.

Ciągle nie byłem sobą, nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś będę. A kim niby jest ten ja?

– Nie jesteś teraz sobą – potwierdziła Micuma.

– Nie. Ktoś przeze mnie umarł, dobrowolnie, a ja nikogo o to nie prosiłem. Nigdy nie byłem, nie jestem tego wart!

Uświadomiłem sobie, że krzyczę.

– To ona miała żyć, nie ja.

Pokrywka zaczęła podskakiwać.

Umarła, poświęciła się, ponieważ uważała mnie za człowieka, za zbawcę, choć byłem nim w czasach, których już nie pamiętałem. A ja jej nawet nie powiedziałem, jak bardzo się

myli. Zrobiłem już mnóstwo głupstw, tym razem byłem jednak dumny, że udało mi się utrzymać język za zębami.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, jak mniemam – odezwał się blaszany głos ducha z maszyny, po chwili dołączyło do niego bulgotanie wrzącej wody.

– Owszem – przytaknąłem. – Chciałeś pomocy w walce z bogiem z doliny.

– A ty odmówiłeś.

Nic nie powiedziałem.

Znowu się rozpadało. Cóż za zmiana. W porównaniu z poprzednimi dniami wiatr trochę osłabł. Przez otwarte drzwi widziałem strugi deszczu, długie i silne powrozy biczące ziemię i zmieniające ją w kleiste błoto. Jeszcze trochę i tam, na dole, w dolinie Lomny, woda zaleje świat, górski potok porwie kamienie i głazy, zmiecie wszystko na swojej drodze. Dotarło do mnie, że Hekate ciągle leży tam, gdzie umarła. Wstałem, wyszedłem w deszcz i przyniosłem ją do środka.

Deszcz spłukał krew. Hekate była czysta, wręcz kryształowo czysta, jakby woda zmyła z niej dawne zmęczenie, wszystkie jej błędy, pomyłki i śmierdzące kompromisy.

Położyłem ją na kocu obok paleniska.

– Odmówiłem, ale teraz moja odpowiedź brzmi tak – wróciłem do rozmowy.

– Dlaczego?

– Bo teraz to już sprawa osobista. Ten bóg i ludzie, którzy go wzywają, są tego świadomi.

– Chcesz się na nich zemścić?

Zastanawiałem się nad tym. Chciałem się zemścić jedynie na Guzim. Pozostali bracia Heldonowie zginęli w walce, nawet do demona nie czułem nienawiści. Zemsta to broń obosieczna.

– Nie. Ja chcę, żeby to się już nie powtórzyło.

– Dolej wody.

Posłuchałem go i jednocześnie kątem oka spostrzegłem, że Micuma na mnie patrzy. To było mądre spojrzenie jak na konia, mądre i jednocześnie przenikliwe.

– W dolinie jest bóg. Albo ściślej, jest gdzieś na pobliskiej nizinie. Prawdopodobieństwo graniczące niemal z pewnością – duch z maszyny zamilkł, póki dolana do garnka woda się nie zagotowała. – Potrzebuję tylko uściślenia informacji, kim on jest, dalej sobie poradzę. Tak mi się wydaje. Albo przynajmniej pozbawię go głównych atutów.

Zgodziłem się z nim. To miało sens.

– Znam kilku bogów, ale trudno mi powiedzieć, który z nich ukrywa się właśnie tutaj – starałem się wskazać granicę swoich możliwości.

– Potrzebuję tylko informacji. Musisz wrócić do Jabłonkowa albo Trzyńca i mieć oczy otwarte. Ludzie od wielu lat gromadzą wszelkie możliwe informacje o bogach. To dziwne, ale mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielki mają wpływ na świat i jak bardzo różnią się od demonów, duchów i innych istot z otwartych sfer, ale i od nas, sztucznych inteligencji.

Mogło mi się wydawać, ale teraz duch z maszyny mówił z większym naciskiem. Pewnie też się bał albo troszczył o ten świat bardziej niż ludzie, którzy na nim żyli. Albo jedno i drugie. Możliwe również, że byłem zupełnie nie w temacie i kierowały nim całkiem inne motywy. Twór ograniczony tylko jednym ciałem z największym trudem mógł zrozumieć sztuczną inteligencję.

– No dobrze. Dostarczę ci tyle informacji, ile będziesz potrzebował, żebyś dobrze poznał swojego wroga. A potem ty umożliwisz mi dostęp do swojej bazy danych, do wszystkich informacji związanych z bitwą o Sewastopol i człowiekiem o imieniu R. C, to znaczy Raymondem Curtisem – doprecyzowałem warunki naszej umowy.

Omówienie szczegółów zajęło nam tyle czasu, ile trzeba, by litr wody wyparował. Potem nie było już o czym gadać.

– Wychodzę – rzuciłem do Micumy.

– Pada – ostrzeżenie było co najmniej zbędne, jakbyśmy nie musieli przekrzykiwać huku deszczu lejącego się z chmur zaledwie kilka metrów nad naszymi głowami.

– Wiem, ale muszę zbudować stos pogrzebowy.

Powalonych i połamanych drzew było w okolicy dość i Micuma z chęcią mi pomagała. Ledwie skończyliśmy, niebo rozjaśniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, chmury odsłoniły nad naszymi głowami sklepienie świata – największego ze wszystkich cmentarzy. Położyłem Hekate na stosie, przyglądałem jej się jeszcze przez chwilę. Już była ponad wszystkimi marnościami, takimi jak bicie serca, pożądanie, nienawiść, ciekawość i inni życiowi przewodnicy. A może nie?

Posypałem stos prochem, który mi jeszcze został, i odsunąłem się. W świetle księżyca mieniły się bransolety, medaliony i inne naszyjniki kryjące w sobie czary, magię, szczęście i siłę. Ktoś inny zabrałby je. Odpaliłem zapalnik i rzuciłem. Kiedy umiera ktoś bliski, dobrze przynieść mu ofiarę, żeby tam, po drugiej stronie, wiedział, że ktoś o nim chociaż przez chwilę myśli. Brak tego zapalnika będę odczuwał w każdej chwili, będę pamiętał.

Ogień zapłonął, syczał przez chwilę, a potem wszechogarniający żar rozprawił się z resztkami wilgoci w drewnie i zahuczały płomienie.

– I co teraz? – zapytała Micuma, kiedy w pomarańczowej zorzy ciało czarodziejki zaczęło tracić ludzki kształt.

– Teraz pójdziemy spać. Jutro czeka nas bardzo dużo pracy. – Odwróciłem się i oślepiiony ogniem poszedłem do chaty.

* * *

Zejscie było jak zwykle dużo cięższe od wejścia, ale w końcu oboje dostaliśmy się aż na samo dno doliny Lomny.

Dopiero tam wskoczyłem w siodło i pogrążony w półśnie pozwoliłem się wieść w

kierunku przełęczy. Pancernego kolosa braci Heldonów ominęliśmy szerokim łukiem. Rzeczka, która niedawno wezbrała, niemal przykryła go żwirem, kamieniami i mułem, ale któreś z dział mogło być ciągle sprawne. Górale na pewno znajdą sposób, by je wymontować i przywłaszczyć sobie.

Przejechaliśmy przez wieś. Nikt nie próbował mnie zatrzymać, ani nawet zagadnąć. Nie łudziłem się, ich patrole musiały mnie zauważyć. Byłem naznaczony stygmatami śmierci, których unika każda rozumna istota. Zmysły ciągle jeszcze nie służyły mi tak jak wcześniej. Czułem jednak, że wokół snują się niewidzialni posłańcy śmierci. Dlaczego nie widziałem ich w górach, kiedy umierała Hekate? Może nie wiedzieli, które z nas dotrze do celu swojej wędrówki? Może. Nie myślałem jasno, nie potrafiłem się zorientować, któremu z bogów służą. Wszystko jedno. Gdzie ja, tam i śmierć, lecz nie byłem głównym powodem ich obecności. Wiedziałem to na pewno.

Na szyi pod kołnierzem miałem zamontowany mikrofon, w ucho wetknięty jeszcze mniejszy głośnik. Nadajnik w kieszeni koszuli był o wiele większy i cięższy, ale Blacharz, jak zacząłem mówić o duchu, twierdził, że warto, że urządzenie wytrzyma co najmniej miesiąc. W dodatku pracowało dopiero wtedy, kiedy wydałem komendę, a w razie konieczności mogło skondensować cały komunikat do ultrakrótkiego impulsu. Jeżeli jednak musiałbym wdać się z kimś w dłuższą dyskusję, jego zdolność kodowania była niewiele warta, a ryzyko rozszyfrowania poważnie wzrastało.

Zgodnie z informacjami od Blacharza trójcy – jeden z nich, może więcej – powinni poruszać się wzdłuż podnóża gór. Niewidzialni, praktycznie niezagrożeni przez łowców z niziny, ale w zasięgu sygnału. Pełnili rolę ruchomych stacji translacyjnych.

– W mieście już chyba wszystko wiedzą?

Przejeżdżaliśmy między pastwiskami. Kawałek przed nami rozciągały się brązowe połacie pól uprawnych.

– Wiedzą, że nikt z was nie zabił demona. Księża potrafią wyczuć takie rzeczy – odparła Micuma po chwili namysłu.

– Brat Saxon – zgodziłem się. – Nie da się oszukać, kiedy chodzi o demony.

– Nie będziesz mógł się upomnieć o wypłatę reszty nagrody – przypomniała.

– Ale nie muszę oddawać zaliczki. Co cię dokładnie interesuje? Jakie informacje? – półgłosem zwróciłem się do Blacharza.

Bez prymitywnego głośnika jego głos brzmiał dźwięcznie i młodzieńczo.

– Wszystko. Cokolwiek niezwykłego, co przyciągnie twoją uwagę, wyda się dziwne, sprzeczne ze zwykłym życiem ludzi.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał podsłuchiwać.

– Mało prawdopodobne. Starzy bogowie nie przepadają za techniką.

Wolałem nie pytać, jak małe jest to prawdopodobieństwo. Powoli zaczynałem rozgryzać Blacharza. Kiedy wszystko toczyło się po jego myśli, nie powstrzymywał się – przyspieszał i

wypowiadał się z matematyczną wręcz precyzją. Kiedy jednak nie było już tak dobrze albo wręcz przeciwnie, tak źle, stawał się niezwykle enigmatyczny i wieloznaczny.

Wśród pól, już nieopodal miasteczka, natknąłem się na patrol, tym razem konny. Nie mogłem odgadnąć, czy są z Jabłonkowa, czy też to wsparcie z Trzyńca. Było ich dwóch, zachowywali się bardzo formalnie. Karabiny zostawili w kaburach przy siodłach, ale pistolety mieli już odbezpieczone, gotowe do użycia w każdej chwili.

– Jadę do Jabłonkowa. Pracuję dla ojca Strazynskiego – walnąłem prosto z mostu.

Po kilku godzinach w siodle myślałem tylko o wygodnym posłaniu i nie miałem ochoty na jakieś słowne przepychanki.

– Ojciec Strazynski, zdaje się, zatrudnia jakichś dziwacznym... osobników – odezwał się jeden z nich. Końcówki jego bokobrodów były nawoskowane i idiotycznie wywinięte do góry.

I jak tu nie twierdzić, że kłamstwo ma krótkie nogi.

– Też tak sądzę. W ostatnim czasie wszystko schodzi na psy – stwierdziłem, zanim zdążył dodać coś jeszcze.

Micuma zarżała z wyrzutem, ale przecież zrobiłem to ze względu na zdrowie pana Bokobrodatego. Nie zamierzałem znosić nawet odrobinę bardziej niegrzecznego pytania. Własny koń będzie mnie krytykował, jeszcze czego. Wyprostowałem się w siodle, starając się patrzeć nieco groźniej. Postanowiłem rozegrać tę sytuację według własnych zasad. Położyłem rękę na udzie, Margaret już tam czekała. Drugi mężczyzna, starannie ogolony, z cerą tak jasną, że niemal przezroczystą, nachylił się i powiedział coś swojemu kompanowi na ucho. Przed walką na górze wszystko bym usłyszał, teraz już nie.

– Wszystko w porządku. Ojciec Strazynski i jego towarzysze już na pana czekają – oznajmił Bokobrodaty trochę nerwowym głosem.

Micuma ruszyła przed siebie bez żadnej komendy.

– Zauważył, że mierzysz w niego z Margaret – starała się ostudzić nieco moje zadowolenie z sukcesu dyplomatycznego.

– To prawda – przytaknąłem. – Aż chciałoby się powiedzieć: szkoda.

– Umówiliśmy się, że będziesz zbierał informacje, a nie wystrzelasz połowę miasteczka!
– zwrócił uwagę Blacharz.

Zamyśliłem się. Ale nie umawialiśmy się też, że połowy miasteczka wystrzelać nie mogę. To by jednak było zwykłe przekomarzanie się, nie miałem nastroju na zabawę. Z każdą chwilą coraz bardziej potrzebowałem dobrego jedzenia i snu.

– A Strazynski i inni księża? Myślisz, że pracują dla twojego nieprzyjaciela? – zapytałem, zamiast rozwijać drażliwy temat.

– Któryś z nich być może. Wystarczyłby jeden. Ale możliwe też, że wszyscy. Albo cierpią na skrajnie ciężką schizofrenię. Za dnia są księżmi dbającymi o swoje owieczki, w nocy sługami swojego boga. Jest jeszcze mnóstwo innych możliwości. Potrafię je wymyślić

szybciej, niż ty zrozumieć.

– To odwieczny problem ze sztucznymi inteligencjami. Rzadko kiedy powiedzą coś, co może się do czegoś przydać.

Micuma złośliwie się potknęła, ścisnąłem ją mocniej nogami. To pomogło, wystarczyła krótka przerwa.

– Przykro mi – powiedział Blacharz. – Niezbadane są ścieżki bogów. A tych najstarszych wręcz niemożliwe do pojęcia.

Przejechałem między dwoma domami, które stały bardzo blisko siebie. Można by wręcz powiedzieć, że tworzyły pierwszą ulicę w Jabłonkowie. Podkowy z lekkiego, a jednocześnie maksymalnie odpornego na ścieranie stopu zastukały na bruku, za oknem po lewej stronie poruszyła się zasłona. Z przodu dobiegał nieregularny odgłos rąbania siekierą. Nieregularny – uderzenia czasami brzmiały inaczej, ktoś nie za bardzo sobie radził. Minałem ogród przy kolejnym domu i zauważyłem drwała przy stosie drewna przed na wpół rozwaloną budą, która, sądząc po licznych prowizorycznych renowacjach, służyła za dom. Zamachnął się i odrąbał z polana jedynie drzazgę. Klnąc, cisnął siekierę na ziemię i pokuśtykał w stronę drzewa, gdzie na gałęzi kołysała się opleciona butelka. Kiedy pił, patrzył na mnie błyszczącymi, obojętnymi oczyma. Zamyślony spojrzałem na siekierę. Klin był teflonowy, stylisko z niemal niezniszczalnego tworzywa, na pomarańczowym tle wyryto nazwę producenta – Fiskar. Z pewnością porządny sprzęt, każdy miejscowy siedzący w środku lasu bardzo by o nią dbał. I na pewno nie była też tania. Za co ten zapijaczony niedojda ją kupił?

– Piękna. – Pokazałem na siekierę w trawie. – U kogo można taką dostać? Przydałaby mi się.

Zamiast odpowiedzieć, splunął i powiesił butelkę z powrotem na drzewie. Potem odwrócił się w moją stronę i jeszcze bardziej kuśtykając, zniknął w rozwalającym się baraku. Micuma zatrzymała się, jakby była bardzo ciekawa rozwoju sytuacji. Nie musieliśmy długo czekać. Facet wyłonił się z automatem w dłoni. Znowu wysokiej jakości produkt, którego ani u niego, ani u nikogo w tym mieście wśród gór bym się nie spodziewał.

– Wypad stąd – wycharczał.

Miałem wrażenie, że kiedy był w środku, zdążył jeszcze sobie golnąć. Jeśli strzelał równie szybko i dobrze, jak pił, należało go posłuchać.

– Dzięki za radę – odpowiedziałem. Kopyta zastukały o bruk.

Dostaliśmy się tą ulicą aż do głównej arterii Jabłankowa. Brygada robotników znowu latała dziury w nawierzchni. Tym razem zdecydowali się na gruntowną renowację i postanowili wyciąć odcisk stopy potwora. Korzystali z ogromnej, napędzanej naftą maszyny wyposażonej w obszerną diamentową tarczę. Widać karawana kupców, która kilka dni temu przejeżdżała przez Jabłanków, zdołała co nieco sprzedać. Albo niewiele żądali, albo miejscowi byli o wiele bogatsi, niż mogło się wydawać.

Hotel stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem. Zająłem się Micumą, a potem

usiadłem przy stoliku w restauracji.

– Pan sobie życzy? – głos Borysa był taki sam jak za ostatnim razem, kurtuazyjny, niezaangażowany. Nic nie wskazywało na to, że już mnie kiedyś widział.

– Coś do jedzenia, pożywne. Ojciec Strazynski jest jeszcze w mieście?

– Powiedziałbym, że tak, proszę pana.

O wilku mowa, a wilk tu, jak to już zwykle bywa. Strazynski i Saxon zjawili się, zanim zdążyłem zjeść zupę.

Wskazałem puste krzesła i dokończyłem. Kiedy siadali, zauważyłem, że Strazynski ma na szyi naszyjnik z jantarów. Nosił go pod koloratką, może to był różaniec. Na różańce i tym podobne rzeczy ludzie czasami reagowali agresywnie.

– Wydaje mi się, że ma nam pan coś do powiedzenia – zaczął Strazynski.

Wyglądał na zmęczonego, wręcz wyczerpanego.

– Nie wykończyliśmy demona – wypaliłem.

– Zorientowałbym się – stwierdził Saxon.

– Nie wątpię – zgodziłem się. – Zatem, ojczu, niestety, nie mam żadnej nadziei na pańską szczerą nagrodę.

Strazynski przytaknął.

– A pozostali?

– Wszyscy są martwi. – Wzruszyłem ramionami. – Tak to już bywa z demonami.

Przy słowie „demony” Saxon nieco się ożywił i spojrzał na mnie trochę mniej nieprzytomnym wzrokiem niż zazwyczaj. Mucha, której pod koniec jesieni już niewiele zostało życia, bzycała, leniwie pełznąca po blacie stołu. Nie była już nawet w stanie latać. Trochę przypominała mnie samego.

– Została z pana tylko niewielka część – powiedział Saxon z pewnością w głosie.

– Tak, walczyłem z demonem. Muszę się teraz poskładać do kupy.

– Tego się obawialiśmy – przytaknął Strazynski. – Teraz demon może się obrócić przeciwko nam.

– Wątpię. – Przyciągnąłem do siebie tacę z następnym daniem, którą właśnie postawił na stole Borys. – Walka nie została rozstrzygnięta. Nie będzie miał ochoty na spotkanie ze mną. On też musi wylizać rany.

Kłamałem, wiedziałem jednak, że walecznego demona w ogóle nie interesuje Jabłonków. Miasteczko było dla niego zapyziałą wiochą, którą zmiażdżyłby jednym palcem. I raczej by go to nie bawiło.

– Oby miał pan rację – powiedział Strazynski bez większego przekonania. – Ale mimo to musimy się przygotować na ewentualny atak.

– Jak?

– Zaczniemy fortyfikować Jabłonków.

– Aha.

Nie było sensu tłumaczyć, że jedyne, co mogłoby pomóc, to linie na wpół inteligentnych wieży strzelniczych czwartej generacji albo oddział wyspecjalizowanych czarodziejów.

– Zatrzymam się tutaj kilka dni, odpocznę sobie i pojedę dalej – zmieniłem temat. – Nie zawsze sprawy toczą się tak, jak człowiek sobie tego życzy.

– Jeśli chodzi o mnie i brata Saxona, jest pan tutaj miłe widziany. Ale niech pan nie liczy zbyt na gościnność zwykłych ludzi. Już się rozniosło, że w okolicy grasuje demon. Ludzie będą mieli panu za złe, że go pan podburzył przeciwko miasteczku.

– Jasne – burknąłem.

Na razie nie narzekałem na miejscową gościnność. Pieczeń wieprzowa, którą dostałem, smakowała wyśmienicie.

– A jak tam porucznik Janota? Gdzie mogę go znaleźć?

– Właśnie Janota jako pierwszy wprowadził niepokój w miasteczku. Wrócił z gór z wieściami, że demon odszedł, a potem spakował swoje rzeczy i odjechał. Kilka osób poszło w jego ślady. Jeśli panika się rozszerzy, Jabłonków się wyludni i wszelka praca – machnął ręką, jakby chciał pokazać wszystkie pola uprawne w okolicy – obróci się wniwecz.

– Janota... Nigdy go nie lubiłem – mamrotałem z pełnymi ustami.

Potem zebrali się do odejścia.

Brat Saxon na moment zatrzymał się w drzwiach.

– Ten demon... jaką naprawdę miał moc? – zapytał, a oczy lśniły mu ciekawością.

– Gdyby chciał, zrównałby z ziemią to miasteczko i wszystkie góry w zasięgu wzroku – odparłem poważnie.

Na twarzy wypalonego mężczyzny pojawił się cień szczęścia. Nie zadając więcej pytań, Saxon zniknął.

Jeszcze chwilę siedziałem w restauracji, czekając, czy zjawi się Gabreta. Zakładałem, że skorzysta z okazji, by ze mną porozmawiać. Wszędzie pustki, tylko z kuchni dobiegały odgłosy skwierczącego tłuszczu i rozbijania mięsa. Może pomagała matce. W zasięgu wzroku nie było nikogo, podniosłem się, kilkoma szybkimi krokami podszedłem do kuchennych drzwi i zajrzałem do środka.

Plecami do mnie stał tłusty mężczyzna przepasany fartuchem i przygotowywał mięso, sądząc po ilości, co najmniej dla oddziału wygłodzonych żołnierzy. Po cichu wróciłem na miejsce. W samą porę. Pojawił się usłużny Borys z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuję.

– Gabreta, ta mała dziewczynka. Gdzie ją mogę znaleźć?

Zrobił minę, jakby musiał wydobywać wspomnienia z głębin pamięci, dla której era dinozaurów była niedawnym epizodem.

– Odeszła razem z matką ze strachu przed demonem. Takich ludzi jest więcej – dodał.

– Dzięki. – Wstałem od stołu. – Potem przyjdę na kolację, teraz muszę odpocząć.

– Oczywiście, proszę pana.

W pokoju padłem na łóżko i od razu zasnąłem. Obudziło mnie natarczywe pikanie

głośnika. Blacharz był ciekawy.

– Nie mam żadnych specjalnych wiadomości – przyznałem otwarcie. – Poza tym nie możemy się tak często łączyć, inaczej nas namierzają – starałem się go zbyć, ale w końcu zdałem mu szczegółową relację z mojego dotychczasowego pobytu w Jabłonkowie.

– Fortyfikacje? To ciekawe.

– Dlaczego? – nie rozumiałem.

– Ponieważ bogowie są związani ze zwyczajami ludzi, którzy ich kiedyś wzywali. A jeśli wrócą i znajdą sobie nowych wyznawców, będą tak na nich wpływali, żeby chociaż częściowo wrócili do starych zwyczajów. Ten bóg mógł być kiedyś bogiem ludzi żyjących w ufortyfikowanych siedliskach. Przydałyby się informacje, na jaki rodzaj fortyfikacji się zdecydują.

– To ci pomoże? – trochę zwątpiłem.

– Tak. Drogą eliminacji ograniczyłem liczbę potencjalnych bogów do jedenastu tysięcy dwustu pięćdziesięciu dwóch – odparł Blacharz.

Nie byłem w stanie się zorientować, czy był z tego zadowolony, czy wprost przeciwnie.

– A co, jeśli to tylko pomysł Strazynskiego albo tego szaleńca Saxona?

– Wtedy się okaże, że zawężenie, którego właśnie dokonałem, jest bezzasadne, a ty... – sztuczna inteligencja zawiesiła głos.

– Umrzesz – dopowiedziałem za niego.

– Tak, można by to tak nazwać.

* * *

Po zmroku wymknąłem się z hotelu. W recepcji nikogo nie było. Zostawiłem klucz na zewnątrz, w zamku swojego pokoju.

Jabłonków wieczorem nie był zbyt wyludniony. Miałem wrażenie, że w przydomowych ogródkach panuje całkiem spory ruch. Słyszałem szelest liści, chociaż nie wiało. Szedłem środkiem ulicy. Po niebie pędziły chmury, księżyc to pokazywał się, to znikał, raz było jaśniej, raz ciemniej. Oko co chwilę przestawiało się na tryb nocny, umożliwiając mi dokładną obserwację mieszkańców miasteczka. Może jednak powinienem był zostać w pokoju, przez cały czas czułem straszne zmęczenie tego drugiego ja, uwięzionego w najgłębszych pokładach mojej świadomości. Swoje zresztą też.

Gdy mijalem boczną uliczkę prowadzącą gdzieś w stronę pól, ciemność wyraźnie przybladła, Oko natychmiast precyzyjnie wyostrzyło obraz. Na zmoczonym niedawnymi deszczami bruku rozpoznałem ślady opon pojazdów terenowych i podkutych kopyt. Przez chwilę nie wiedziałem, o co w tym chodzi, w końcu jednak przypomniałem sobie potężne podkowy z lekkiego metalu. Z jakichś powodów handlarze odjechali z Jabłonkowa właśnie wtedy. Dlaczego? Najchętniej podążyłbym ich śladem, ale wydawało mi się, że w tej okolicy

zbyt wiele oczu śledzi każdy mój krok. Zawróciłem w stronę głównej alei, po chwili jednak księżyc nieoczekiwanie zakryła gęsta chmura. Zniknęły ślady i droga; została ciemność bez horyzontu oddzielającego niebo od ziemi. Odwróciłem się plecami do centrum i ruszyłem na oślep szybkim krokiem, z lewą ręką wyciągniętą przed siebie, na wypadek gdybym zgubił kierunek albo miał na coś wpaść. Oko jak na złość odmawiało posłuszeństwa. Zdażyłem doliczyć do stu, zanim chmura się przesunęła i znowu odkryła księżyc. Byłem już daleko. Zgubiłem ewentualnych prześladowców, ulotniłem się jak duch – o ile nie mieli noktowizora czy innego porządnego sprzętu.

Droga prowadziła dalej, wiła się wśród pól, zwężała i stopniowo wznosiła coraz wyżej i wyżej. Po półgodzinnym marszu byłem przekonany, że prowadzi donikąd. Po kolejnym kwadransie karkołomnej wspinaczki miałem już niemal pewność. Kończyła się przy starej stodole otoczonej łąkami i lasem na wschodzie. Przypomniałem sobie Hekate i swój zapalnik. Z pewnością tam, po drugiej stronie, potrzebowała go bardziej niż ja teraz. Po chwili poszukiwań namacałem skobel i otworzyłem drzwi.

Wszedłem w ciemności zwiastujące najgorsze. W kieszeni znalazłem zapalną, zapaliłem ją o kciuk. W starciu z ciemnością migotliwe światło wywalczyło raptem remis, ale na chwilę wyłowiło z niej zaparkowane wozy handlowców. Stały jeden obok drugiego, na pierwszy rzut oka czyste i jak nowe, a mimo to w powietrzu czuć było krew. Dogasający ogień wzmocnił i podkreślił jej smak. Zdaje się, że ktoś w Jabłonkowie wpadł na pomysł, by za najbardziej wartościowy towar zapłacić ołowiem. Co prawda handlarze wyglądali na doświadczonych i przebiegłych, lecz ich wozy stały tutaj, a więc trafili na lepszych od siebie.

Najchętniej rozejrzałbym się dokładnie po stodole, ale miałem już zamówioną kolację, a najbardziej zależało mi na tym, żeby nikt się nie zainteresował, gdzie na tak długo zniknąłem. Północ to najlepsza pora na śledztwo.

Drogę powrotną znałem bardzo dobrze, mogłem zatem iść szybciej, jednocześnie informując Blacharza o nowych spostrzeżeniach.

– Jeśli ktoś wymordował handlarzy, żeby wziąć ich towar, dlaczego nie wziął też wozów? – rozmyślałem na głos. – Mógł na nich wywieźć łup. No tak, wozy łatwo zidentyfikować, dlatego nie warto ich pokazywać. Noszą ślady codziennego użytku, które równie łatwo rozpoznać co lufę dzięki bruzdom, jakie zostawia na wystrzelonym pocisku. Dlaczego jednak ich nie spalili? Albo nie rozebrał na części? Dlaczego zostawił je w stodole, gdzie trafiłby na nie każdy, kto poszukiwałby zaginionej karawany? – Nie trzeba geniusza, żeby połączyć fakty w logiczną i spójną całość.

– Niektóre przedmioty z ich asortymentu widziałeś w mieście – zauważył Blacharz. – Może nigdzie ich nie wywieźli, tylko zmagazynowali właśnie tam.

– Złodzieje mogli sprzedać tylko kilka drobiazgów. W przeciwnym wypadku to by się wydawało podejrzane – nie zgodziłem się.

– Jest jeszcze jedna możliwość – dodał Blacharz.

Ksywka, jaką mu nadałem, już nie pasowała do niego. Teraz jego głosowi nie można było nic zarzucić.

– No mów – ponagliłem go. – Za chwilę wejdem między zabudowania, nie chcę, żeby ktoś zobaczył, że gadam sam ze sobą.

– Sądzę, że to ostatnia rzecz, która by ich w tobie zaskoczyła – dorzuciła Micuma.

– Koń z poczuciem humoru?

– Uczę się – odbiła piłeczkę.

– W niektórych wczesnych kulturach rolniczych wozy były przedmiotem kultu – Blacharz wrócił do tematu. – Dlatego ich bogowi mogłoby się nie spodobać, gdyby je zniszczyli. Poza tym wozy mają zbyt dużą wartość.

– Jeśli weźmiesz pod uwagę te informacje, ilu ci jeszcze zostaje kandydatów?

– Zbyt wiele sobie obiecujesz po tym spacerku – zazgrzytała zębami Micuma.

– Trzystu sześćdziesięciu dwóch.

– Prawdopodobieństwo trafienia mniejsze niż w rosyjskiej ruletce. A teraz cisza – ofuknąłem oboje.

Do hotelu wróciłem wystarczająco wcześnie, by nie wzbudzić niepotrzebnego zainteresowania. Oprócz mnie w restauracji siedziało jeszcze sześciu gości. Wyglądali jak z jednego miotu. Wszelkie znaki na niebie i ziemi świadczyły, że przyjechali późno wieczorem i rano zamierzali ruszać w dalszą podróż.

Znowu dostałem nieujęta w jadłospisie zupę, a jako danie główne – jeśli wierzyć słowom Borysa – delikatną sarninę. Przyglądałem się apetycznej i o wiele większej niż duża porcji i nagle zupełnie straciłem ochotę na posiłek. To ze względu na zmęczenie. Wiedziałem jednak, że wkrótce minie, a ja poczuje zwierzęcy głód.

– Proszę mi to położyć na tacy, zjem u siebie – poprosiłem Borysa.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Zaniosę to panu do pokoju.

Wszedłem na górę. Podążałem wąskim korytarzem do swojego pokoju, kiedy nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Musiałem się oprzeć o ścianę.

Pępowina owijana wokół szyi noworodka, szelest plastikowego worka, płacz. Nie płacz, raczej krzyk dużo starszego dziecka. Dziki krzyk tłumiony kneblem, szelest worka, tym razem nie małego, plastikowego, ale o wiele większego, grubego, jutowego. Kolejny krzyk, rozpacz dorosłej kobiety. Przerwany oddech, stal w męskiej pięści. Jeden, drugi cios w brzuch, krew, zalew śliskich wnętrzności, chrzęst kości i śmierć. Śmierć.

Zorientowałem się, że siedzę na ziemi oparty plecami o drzwi. Za nimi mieszkała Gabreta z matką. Omotał mnie telepatyczny kontakt pomieszany z koszmarem nocnym. Gdzieś obok czało się Bardo, duch zamordowanego człowieka, który po śmierci nie chciał się rozproszyć i

stale unosił się w przestrzeni albo krył w jakimś przedmiocie. Nikt nie potrafił powiedzieć, z jakich powodów Bardo trwa i do czego zmierza. Wydawało mi się, że wiem. Drzwi były zamknięte. Nie chciałem ich wyważać, ale wpadłem na pewien pomysł. Spróbowałem otworzyć je kluczem od własnego pokoju i przy drugiej próbie zapadki niezbyt skomplikowanego zamka poddały się.

Pokój Gabrety i jej matki był większy niż mój i bardziej przytulny, a to za sprawą obrusów, robionych szydełkiem serwet i mniej lub bardziej oskubanych pluszaków. Nie zauważyłem nic, co miałyby jakikolwiek związek z niedawną halucynacją. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że dywan pod stołem jest zbyt nowy i kolorystycznie nie pasuje do pomieszczenia. Odciągnąłem go i zauważyłem ciemną plamę. W tym samym momencie, jakbym zyskał zdolność patrzenia w zaświaty, oślepiło mnie małe słońce schowane pod łóżkiem, służące matce i córce. Świeciło z siłą, która przerażała nawet mnie. Przypomniałem sobie, że w każdej chwili może nadejść Borys z jedzeniem. Mimo to klęknąłem i przez kilka minut starałem się wyciągnąć ze szczeliny między klepkami małe słońce – zagubiony pierścionek płonący emocjami pokoleń kobiet.

Włożyłem go do kieszeni, wyszedłem na korytarz i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Kiedy wchodziłem do swojego pokoju, usłyszałem na schodach kroki.

Pierścień w kieszeni mnie parzył, miałem wrażenie, że widzą go wszyscy w promieniu kilku kilometrów.

Rozległo się pukanie do drzwi. Borys wszedł, postawił tacę z jedzeniem i butelkę wina na stole.

– Wygląda pan na bardzo zmęczonego. Czy mogę coś dla pana zrobić?

Oczy miał widzące i niewidzące jednocześnie, kelner doskonały, jak za dawnych czasów.

– Nie, dziękuję. Jestem zmęczony, muszę się wyspać.

– To zwykle pomaga, proszę pana. Dobranoc.

Zostałem sam. Głowa mi ciążyła, czułem się dosyć marnie. Prawie tak samo źle jak po walce z demonem. Położyłem się na łóżku i od razu mi się polepszyło. Co się stało z Gabretą? Z jej matką? Czy to miało związek z moją sprawą? Z pewnością nie, to pewnie było zabójstwo na tle seksualnym.

Pierścień w kieszeni parzył coraz mniej. Potrzebowałem snu, odpoczynku, właśnie tak, jak powiedziałem Borysowi.

Jednak wątpliwości dręczyły mnie coraz bardziej. Nie mam w zwyczaju ot tak ich zostawiać. Wskoczyłem z łóżka. Głowa od razu zaczęła mi puchnąć, zniknięcie Gabrety i jej matki znów mnie niepokoiło. Pierścionek zaczął się powiększać, a jego żar przepalać do mojego obolałego mózgu. To wszystko nie działo się tak po prostu, bez żadnego powodu.

Zajrzałem pod poduszkę, do poduszki, do kołdry. Nic szczególnego. Dopiero pod materacem znalazłem fajansową płytkę z symbolem spirali, położoną w miejscu, gdzie śpiący zazwyczaj ma głowę. Przewróciłem łóżko i zobaczyłem, że na każdej z jego czarnych nóg

narysowano odrobinę jaśniejsze niż lakier koło, zmieniając je w wóz. Dokąd miał mnie wywieźć?

Sztuczna inteligencja chyba się nie myliła. Musiałem porozmawiać z Blacharzem, ale nie chciałem nawiązywać z nim kontaktu w hotelu. Przyszedł czas na nocną przechadzkę i dalszy etap śledztwa.

Nabiłem Margaret i sprawdziłem, czy bębenek Zabójcy jest pełny. Greysona zostawiłem w pokoju. Chciałem się tylko rozejrzeć, a poza tym w moim obecnym stanie był dla mnie zbyt ciężki.

Przez chwilę się wahałem, czy wyjść z hotelu przez okno, czy normalnie, drzwiami. Wizja kolejnego wysiłku fizycznego niemal sprawiła mi ból. Poza tym było już późno i wydawało się, że na parterze panuje spokój.

Zapomniałem o Bardzie – nadal czekało przy pokoju Gabrety. Tym razem nie skompilowało się z moim nocnym koszmarem, lecz usiłowało wskazać drogę, czy raczej ścieżynkę zaczynającą się koło starej lipy, nieopodal zasypanej studni. Dzięki kilku ostatnim przechadzkom po Jabłonkowie wiedziałem mniej więcej, gdzie to jest. W tej okolicy stał dom Janoty. Mogłem od razu sprawdzić, jak to było z jego rzekomym pospiesznym odejściem. To mi do niego nie pasowało.

Szedłem główną arterią, omijając szerokim łukiem remontowane odcinki, na których powierzchnia nie wzbudzała zbyt mojego zaufania, i próbowałem się połączyć z Blacharzem. Jak zwykle technika zawodziła wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna. Co więcej, miałem przeczucie, że kilka kroków za mną podąża nieproszony anioł stróż.

– Słyszysz mnie?

Odpowiedział mi niezrozumiały charkot. Po trzeciej próbie doszedłem do wniosku, że chyba rozpoznaję przytaknięcie w uszkodzonym sygnale.

– Fajans? Spirala? Porwanie dziewczynki wchodzącej w okres dojrzewania? – starałem się wyłowić z trzasku poszczególne słowa. Usłyszałem jeszcze kilka charkliwych dźwięków, których już nie potrafiłem zrozumieć.

– Muszę kończyć, mam problem – przerwałem połączenie. Ktoś naprawdę mnie śledził.

Oko w końcu opamiętało się nieco i udostępniło mi namiastkę widzenia w nocy. Cieszyłem się, bo również druga część mojego ja, wciąż spętana łańcuchem, była gotowa do współpracy.

Janota mieszkał w klasycznej chacie z bali wybudowanej w drugiej połowie pierwszego wieku po Krachu, kiedy nowoczesne technologie wprawdzie były już niedostępne, ale ludzie powoli zaczęli wierzyć, że mogłoby im się dobrze żyć także w świecie, który muszą dzielić z demonami, bogami, dewami i inną hołotą ze sfer. Później ktoś dodał masywne słupy z drewnianych pniaków i wyrył w nich symbole ochronne przeciw tym czy innym nieprzyjaciółom. Janota zaczął chyba budować ocieniony taras z kominkiem i wędzarnią. Chata stała kawalek za miasteczkiem, zaraz przy stoku góry łagodnie wznoszącej się z

samego dna doliny. Potrafiłem sobie wyobrazić, że trudno o lepsze miejsce dla mężczyzny, który cenił sobie samotność i otwartą przestrzeń.

Gdzieś za mną, zbyt daleko, żeby Oko mogło to dostrzec, coś zaszeleściło. Inne zmysły milczały, jakbym ich w ogóle nie miał. Coraz bardziej do mnie docierało, że walka z demonem zrobiła ze mnie w połowie kalekę. Użalanie się nad sobą nie miało jednak sensu. Teraz chciałem się dowiedzieć, jak to było z nagłym odejściem Janoty, nocnym towarzyszem zajmę się później.

Pierwszą wskazówkę dostałem już przy furtce w drewnianym, liczącym dziesiątki lat, nielichem płocie – pod podeszwą zaskrzypiał mi metal. Ten charakterystyczny dźwięk i odczucie, wszędzie bym je poznał. Na kilkumetrowym odcinku ścieżka była wręcz usiana łuskami. Klęknąłem i zacząłem dokładnie je przeglądać. Setki, tysiące łusek po nabojach różnych typów i kalibrów, pokrywające chodnik niczym błyszczący matowo dywan. Ostrożnie, po cichu kroczyłem w stronę domu. Z bliska dało się już zauważyć dziury po kulach w nasączonych olejem balach.

Specyficzne podejście do kwestii zabezpieczenia domu pod dłuższą nieobecność właściciela.

W środku zauważyłem, że niektóre strzały przeszły chatę na wylot. Napastnicy musieli używać wielkokalibrowej broni, ciężkich karabinów. Naczynia, szafy, stoły, krzesła – wszystko porozbijane i pomieszane w jedną wielką hałdę, której widok ucieszyłby samego boga chaosu. Nigdzie nie znalazłem ani zwłok Janoty, ani nawet śladu krwi. Porucznik najwyraźniej odszedł w jeszcze większym pośpiechu, niż twierdził ojciec Strazynski.

Pod koniec poszukiwań, kiedy już tylko rozglądałem się po pomieszczeniach, zauważyłem coś bardzo ciekawego – papier przybity gwoździem kilka centymetrów nad podłogą. To było przesłanie, zaczynało się jednoznacznie: „R. C”.

Dalej tekst był już nieczytelny. List został kilka razy trafiony, poszczególne skrawki zapisanego papieru wbiły się w drewno. Wyprostowałem się z głośnym westchnieniem.

Uważaj, ostrzegł mnie głos gdzieś na granicach świadomości, tam, gdzie mają dostęp martwi.

Może to było Bardo, a może Hekate albo Janota, jeśli zabili go gdzieś niedaleko.

Nie zastanawiałem się nad tym. Padłem na ziemię. Najpierw rozległ się odgłos pękającego drzewa, a zaraz potem huk. Ktoś strzelał przez pozbawione szyby okno. Nie mógł być daleko, dotarło to do mnie, kiedy odtworzyłem w pamięci ukształtowanie terenu w najbliższej okolicy. Chwyciłem nogę roztrzaskanego krzesła, które leżało obok, i rzuciłem nią w stronę uchylonych drzwi. Uderzenie – wystrzał nastąpił z minimalnym opóźnieniem, ale ja już biegłem. Bardzo powoli, hamowany zmęczeniem zrodzonym z pustki w samym rdzeniu mojego ja, a jednocześnie tak szybko, jak tylko zdołałem. Odbiłem się, wyskoczyłem przez okno i wylądowałem na brzuchu.

Następny strzał, nawet nie usłyszałem kuli. Zaryzykowałem trzy kroki w głębokim

skłonie, potem rzuciłem się w bok. *Prask*. Tym razem kula mi zaśpiewała. Wyciągnąłem Margaret i trzykrotnie pociągnąłem za spust. Za każdym razem strzelałem w inne miejsce, dokładnie tam, gdzie mógł się znajdować snajper. Marnotrawstwo amunicji, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ogluszony własnymi wystrzałami zostałem na ziemi i jednym ruchem wsunąłem do magazynka trzy następne naboje. Prawdopodobnie chybiłem, a ten gnój pewnie już uznał, że z Margaret mogę go ustrzelić tylko z bliższej odległości. Zabójca już nie mógł się doczekać na swoją kolej.

Czekałem na jego ruch. Czy trzy naboje i pokazanie swojej pozycji to nie zbyt wygórowana cena za tak nędzną korzyść? Ziemia była miękka, wilgotna i pachniała piachem, tylko w jedno biodro kłuł mnie spiczasty kamień – przynajmniej miałem nadzieję, że to kamień, a nie rana postrzałowa, której wcześniej nie zauważyłem. Potem nocną ciszę, przyprawioną prochem strzelniczym, przerwała kanonada. Z każdą chwilą głośniejsza, prawdziwa kanonada, przy której z ciała uchodzi życie. Ten gnój umierał.

Ostrożnie czołgałem się w jego stronę z palcem wskazującym na spuście Zabójcy. Wprawdzie oberwał, ale może nie był sam. Znalazłem go za krzakiem tarniny. Margaret rozpruła mu brzuch, twarz zmieniła we wspomnienie czarnej ospy. Nie żeby miało mu ono długo towarzyszyć. Obok niego leżał wielkokalibrowy karabin, automat z magazynkiem na pięć nabojów. Wiedzieli, kim jestem, teraz już na pewno.

– Kto cię przysłał?

– Skończysz w piekle – syknął.

– Będziesz jeszcze długo umierał – przypomniałem mu. – Powiedz, kto cię przysłał, to ci pomogę.

Próbował na mnie splunąć.

Sięgnąłem do ładownicy i wyciągnąłem tabletkę. Rozkruszyłem ją w palcach i rozsypałem po jego poszarpanej klatce piersiowej.

– To nie jest jad w dosłownym znaczeniu tego słowa. Mówi się o nim „powolna śmierć”. Już nie da się ciebie uratować, nawet czarami, bo też cię zabiją. Rozumiesz?

W świetle gwiazd i nocnym trybie pracy Oka jego źrenice miały fioletowy kolor.

Znowu próbował na mnie splunąć. Ledwo powstrzymałem chęć, by wyrwać mu wnętrzności i zostawić go w takim stanie. Umierałby jeszcze dłużej. Jedno było pewne. Historyjka Strazynskiego to bujda na resorach, a Janota nie zginął w domu. Może później, ale nawet co do tego miałem wątpliwości. Porucznik był bystry, szlag mnie trafiał, że nie mogłem przeczytać jego wskazówek. Jeśli tego gnoja nasłał Strazynski, to znaczyło, że mi nie wierzył, chciał się mnie pozbyć. Ale dlaczego? Nie zrobiłem niczego, co kazałoby mu wątpić, czy za kilka dni stąd zniknę.

Wizyta w chacie Janoty zrodziła więcej pytań niż odpowiedzi, skoncentrowałem się zatem na drugim celu przechadzki – miejscu, które wskazało mi Bardo. Stąd to był niecały kilometr. Wystarczyło wrócić uliczką do studni i skręcić w lewo na ścieżkę.

Teraz już nie miałem wrażenia, że mnie śledzą. A nawet gdyby – Margaret trzymałem w jednej dłoni, Zabójcę w drugiej. Obydwoje mieli apetyt. Ja też. Na wpeł ślepy o mały włos uniknąłem śmierci – dużo, dużo mniejszy niż zazwyczaj. Dlatego czułem się niepewnie i chętnie bym się z kimś zamienił.

– Słyszysz mnie? – odezwał się Blacharz.

– Tak, choć nie włączyłem nadajnika – potwierdziłem.

Miałem wrażenie, że odbieranie sygnału wyłączonym urządzeniem nie było w dobrym tonie. To już nie ta technika co kiedyś.

– Kosztowało mnie to dużo wysiłku i hardware’owych jednostek, które posłałem do Jabłonkowa. Na szczęście wiatr wieje w odpowiednim kierunku.

– Czego chcesz? – przerwałem jego przechwałki, dalej brnąc przez mrok.

Wszystkie sztuczne inteligencje lubią się pysznić.

Starałem się obserwować okolicę, by odróżnić zwierzęta od przypadkowych ludzi, wyczuć wszystkie nierówności terenu i nie połamać sobie nóg. Co rusz się potykałem, miałem jednak nadzieję, że ogólnie idzie mi już trochę lepiej.

– Musisz odejść, teraz, natychmiast – zakomunikował Blacharz. Jego głos po raz pierwszy niósł tak czystą i wyraźną emocję: strach.

– Dlaczego?

Po prawej stronie coś zaszeleściło. Moja ręka wystrzeliła w powietrze, choć nic nie dostrzegłem. Wiedziałem jednak, że Zabójca mierzy prosto między oczy wielkiego dzika. A więc zebrałem się do kupy, może dzięki poprzedniej akcji albo jeszcze czemuś innemu. W każdym razie bardzo mnie to cieszyło. Nie zamierzałem ustrzelić dzika tylko po to, by udowodnić sobie, że już mogę.

– Starał się ciebie zakłąć, złamać. Nie potrafię określić, w jakim stopniu mu się to udało, ale obawiam się, że teraz grasz w jego drużynie.

– Kto starał się mnie zakłąć? I dla kogo w tej chwili gram? – wycedziłem. Przy kolejnym potknięciu o mało co nie odgryzłem sobie języka.

Może nie byłem w aż tak dobrej formie, jak sobie wmawiałem.

– Oczarował cię mój nieprzyjaciel i według wszelkiego prawdopodobieństwa to dla niego teraz pracujesz.

– Właśnie zabiłem człowieka. Nie odniosłem wrażenia, że w jakiś sposób mu służę – odciąłem się.

– To stary bóg – Blacharz nadal starał się mnie przekonać i czasami przeskakiwał mu głos. – Drogi, którymi podąża, wydają nam się nielogiczne, niepojęte, nienaturalne.

Z każdą chwilą coraz bardziej bełkotał. Nie udawał, w przeciwnym razie użyłby jakiegoś zoptymalizowanego modułu do komunikowania się z ludźmi. Ja jednak byłem człowiekiem tylko w pewnym sensie – wolałem nawet nie myśleć, jak nikłym.

– To stary bóg prymitywnych rolników, okrutniejszy, niż większość ludzi potrafi sobie

wyobrazić. Wykorzystuje siłę, której w ogóle nie rozumiemy. Na przykład zakłócenia w naszej komunikacji, bez żadnego fizycznego uzasadnienia – przerzucił się z retoryki emocjonalnej na rzeczową.

– Żaden rozumny człowiek nie wierzy w fizykę. Nie wtedy, kiedy przed wykorzystaniem prawa Ohma trzeba się pomodlić – zgasilem go.

– Swoim postępowaniem prawdopodobnie realizujesz jego plany! – próbował dalej Blacharz.

Może miał rację, a może nie. Ale Margaret, Zabójca i Greyson były zbyt silnymi argumentami, by ich nie wykorzystać, i zbyt niepozornymi, by ktoś zdołał ocenić ich rzeczywistą wartość. Podobnie Nóż, lecz w tej rozgrywce nie zamierzałem po niego sięgać. Hekate słusznie mnie ostrzegła. Sam miałem wrażenie, że wystarczy go dotknąć, a nawet pomyśleć o posłużeniu się nim, by już być martwym. Bóg Noża, Ogun czy ktoś inny opętałby mnie, skrepował, wymazał z tego i pozostałych światów.

– Dostarczyłem ci następnych informacji. Do ilu koleśków zawężyła się teraz krąg podejrzanych? – zapytałem Blacharza.

– Nie powinienes nazywać bogów koleśkami – ostrzegł.

– Mam to w dupie! – Aż mną zatrzęsło z wściekłości. Czułem, że zbliżam się do miejsca, które wskazało mi Bardo, a pierścień w kieszeni palił jak stare ogniwo galwaniczne, jak uruchomiona bomba atomowa. Z takiego materiału robi się dobrą amunicję. Zabójczo dobrą.

– Ilu?

– Dwudziestu pięciu. Sami starzy, zapomniani bogowie, niewiele o nich wiadomo. Niezrozumiali bogowie, których logiki nie jestem w stanie pojąć.

Bał się, Blacharz panicznie się bał.

– Dobra – zacząłem, ale przerwało nam nagłe zakłócenie połączenia.

Albo zerwanie. Wszystko jedno.

W pierwszej chwili nawet nie zauważyłem, że już jestem na miejscu. Zwykły placyk otoczony kilkoma drzewami o białej korze, brzoźami albo osikami. Potem dostrzegłem na samym środku ciemniejszy fragment podłoża, a w końcu poczułem swąd. Wydobywał się z wnętrzości ziemi – cuchnący smród śmierci, starannie zaplanowanej, rytualnej, najgorszej. Musiałem jeszcze ustalić, w których dokładnie miejscach przebywali niedawno posłańcy największego skurwysyna ze wszystkich bogów śmierci.

Zastanawiałem się przez chwilę, skąd u mnie te myśli – Hekate. Znalazłaby jeszcze więcej inwektyw, stawiałaby się temu bydlakowi i wyzwalała go na pojedynek twarzą w twarz. Śmierć zbliżyła nas do siebie, ale nie przeszkadzało mi to. Pozostał tylko żal z powodu niesprawiedliwości, która się stała – Hekate była martwa.

Rozpadlina zaczynała się równie niespodziewanie jak cios nożem w brzuch. Na jej skraju znalazłem stalową drabinę prowadzącą do czarnego źródła smrodu. Wetknąłem Margaret do kabury i szczebel po szczeblu zacząłem schodzić. Trwało to dosyć długo. W smrodzie

rozkładającego się mięsa wyczułem woń dymu, dostrzegłem błyskający w dole ogień. Albo światło lampy.

Dziesięć metrów nad dnem zaczął wylaniać się przede mną malowniczy widok miejsca ofiarnego. Na podwyższeniu stał wóz z kołami zrobionymi prymitywną techniką, bez użycia wytworów rzemiosła kowalskiego. Jego boczną ścianę i dno pokrywała fajansowo-jantarowa dekoracja. Wokół wozu nad jeszcze niedawno płonącym paleniskiem znajdowały się gliniane naczynia. Oko pokazało, że popiół zaraz pod powierzchnią wciąż jest gorący. Naczynia były pełne wody, a w niej pływały kawałki mięsa – ręce, nogi, poćwiartowane korpusy. Zapach tej zupy był jeszcze gorszy niż duszący smród rozkładających się ciał. W kącie jaskini coś zaszeleściło. Skoczyłem i z wysokości dziesięciu metrów spadłem do głębokiego półprzysiadu. Zabójcę trzymałem przed sobą, w drugiej dłoni miałem latarkę. Na drewnianym stołku siedział mężczyzna w ubraniu przypominającym habit z prymitywnego, niebielonego płótna przewiązanego sznurem.

– Jesteś tu, bezbożniku. Jesteś tu, by ukorzyć się w świątyni boga, największego z wielkich.

Owiął mnie słodki, przyjemny zapach, przez chwilę zmagalem się z chęcią padnięcia przed nim na kolana. W kieszeni miałem jednak płonącą biżuterię, w dłoni – żadnego mordcu Zabójcę. Nie byłem też miejscowym przeciętniakiem truchlejącym ze strachu na widok odkrywki z czort wie którego piekła.

– Dla kogo pracujesz? – wydusiłem. Wydawało mi się to świętokradztwem, sztuczność zadanego pytania wrzynała się w moje ciało niczym stalowy szpikulec. Ale pierścień palił, promieniował, ból, który mi sprawiał, dodawał sił, żeby się temu wszystkiemu przeciwstawić.

– Uklęknij i okaż swą pokorę przed darami ofiarnymi.

– Dla kogo pracujesz?

Wysiłek był jeszcze większy.

– Jeśli nie uklękiesz teraz, uklękiesz później.

Ten osioł w habicie najwyraźniej nie rozumiał, jakie grozi mu niebezpieczeństwo ze strony Zabójcy. Szczególna moc tego miejsca stopniowo przenikała pod skórę, do każdego skrawka mojego ciała. Jeśli teraz nie pociągnę za spust, potem może mi się to w ogóle nie udać.

Zabójca zagrzmiał, księżulo padł rozpołowiony, a magia ustąpiła.

Westchnąłem głęboko. Nagle poczułem mdłości. Jeszcze przed chwilą jaskinia wydawała mi się świątynią, teraz widziałem w niej tylko magazyn maniakałnych morderców. Ni mniej, ni więcej.

Pierścionek palił już tak mocno, że jego światło przenikało rentgenowskim promieniem przez kurtkę i ściany naczyń, wydobywając z głębi zapomnienia ich zawartość. Defilowały przede mną fragmenty ludzkich ciał. Niektóre pływały w kotłach tak długo i były tyle razy gotowane, że na kościach nie został nawet kawałek mięsa. Promień nie zatrzymał się przy

żadnym z nich – Gabrety tu nie było.

Gdy światło zaczynało gasnąć, schowałem pierścionek do kieszeni i wygramoliłem się na górę.

– Blacharzu? Mam następne informacje – starałem się nawiązać kontakt, spiesząc z powrotem do miasteczka.

Głośnik odpowiedział ciszą. Miałem nadzieję, że duch chociaż mnie słyszy.

– Oby to ci wystarczyło. Zaczynam mieć wrażenie, że w tym mieście wszyscy oszaleli. I chcę się stąd jak najprędzej ulotnić.

Ale to nie była prawda. Chciałem jeszcze wyrównać rachunki. Hekate zginęła, bo Strazynski dał nam fałszywe informacje. Nie, sam siebie okłamywałem. Hekate zginęła, bo uratowała mi życie. Ale to przez Strazynskiego doszło do tego wszystkiego, nie miałem nic przeciwko, by zapłacił. A Gabreta? Dodatkowa zachęta.

Do hotelu dotarłem niezauważony. Tak jak poprzednio Jabłonków wieczorem wydawał się pulsować życiem, tak teraz panowała tu martwota niczym na zburzonym przed dwustu laty cmentarzu.

Ku swojemu zdziwieniu poczułem się nagle w pełni sił. Zapaliłem lampę naftową, zasłoniłem okna i usiadłem na łóżku. Oddychałem głęboko, dużo głębiej, niż powinienem po wejściu do pokoju oknem.

– Uciekaj, natychmiast uciekaj! – krzyknął głośnik zdeformowanym zakłóceniami głosem Blacharza.

Starał się za wszelką cenę zapobiec zerwaniu połączenia.

– Dlaczego? – spytałem odruchowo, ale już nie zdążył odpowiedzieć.

Siedziałem na łóżku, gapiłem się na ścianę i myślałem. Może miał rację. A może nie. Ale długi powinno się splancać.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem pierścionek i pomału obracałem go w palcach. Bardo matki Gabrety pomyliło się. Jej córka nie została ofiarowana w świątyni. Pewnie porwali ją jacyś chłopcy. Zabawili się z dziewczynką, a potem skrzyżowali jej kark i gdzieś porzucili zwłoki. Patrzyłem na krążek – płonął miłością przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Już nie było komu jej przekazać. Tak to już bywa na tym świecie. Bezrefleksyjnie sięgnąłem do torby, wyciągnąłem przenośną kuchenkę spirytusową, z jednego magazynka wydłubałem kilka kul i zacząłem ostrożnie topić ołów. Obwiązałem pierścionek cienkim sznurkiem i włożyłem do foremki. Pasował idealnie. Rozgrzałem foremkę nad ogniem i wlałem do niej płynny ołów. Nie zmarnowała się nawet kropelka. Sznurek w zetknięciu z ciekłym ołowiem spłonął. Kiedy skończyłem, trzymałem w ręku doskonałą kulę do Zabójcy. Nic nie zdradzało, że w środku ukryto klejnot o wartości, jakiej większość jubilerów nigdy nie widziała. To było najlepsze, co mogłem z nim zrobić. Nadajnik znowu ożył. Sądząc po trzaskach, duch znalazł jakiś inny kanał.

– Posłuchaj, Blacharzu – zacząłem szybko, żeby nie zdążył mi przerwać, zwięźle

opowiedziałem mu wszystko o swoich znaleziskach.

– Wiesz już, kto jest twoim nieprzyjacielem?

– Wiem! – okrzyk zagrział z niespodziewaną siłą. – Chodzi o boga z kręgu kultury otomańsko-fuzesabońskiej, wywodzącej się z terytorium oddzielonego łukiem karpackim. Istniała od osiemnastego do czternastego wieku przed erą chrześcijaństwa. Ten bóg niegdyś zapewniał swoim wyznawcom życie na najwyższym poziomie, bogactwem dorównywali Troi czy Mykenom. Handlowali jantarem, osiedlili się na skrzyżowaniu wszystkich szlaków handlowych między północą a południem i wschodem a zachodem.

Słuchałem entuzjastycznie cytowanych danych i dotarło do mnie, jak bardzo jestem głodny. Zwierzęco głodny. Nic dziwnego – po tak aktywnie spędzonym czasie. Sięgnąłem po sytą kolację, którą Borys zostawił na stole.

– Uciekaj! Uciekaj, póki jeszcze masz czas! – strofował mnie Blacharz. – Ten bóg był dużo silniejszy, niż się dzisiaj sądzi, tylko przez nieoczekiwany zbieg okoliczności popadł w zapomnienie. To stary, prymitywny i bardzo silny twór! – już prawie krzyczał.

Rozgryzałem pierwszy kęs. Musiałem się najeść, w tej chwili to było najważniejsze. Możliwe, że odejdę stąd jeszcze w nocy, ale nie wcześniej, nim napełnię żołądek.

– Jego wyznawcy zastawiają różne pułapki. Talizmany obronne, fajansowa ceramika, biżuteria z jantaru, święte symbole spirali i wozów – nadawał szybko Blacharz. – Podstawą uczyty była ofiara z dzieci i młodych ludzi, uprawiali kanibalizm.

Wyplułem wszystko, co miałem w ustach, ale już było za późno – zdążyłem połknąć kawałek. Podali mi ludzkie mięso. Wiedziałem, że teraz już zawsze i wszędzie rozpoznam jego smak. Choć wcale nie było złe, przeciwnie, wręcz wyśmienite. Znowu przysunąłem do siebie talerz.

– Uciekaj! Natychmiast!

Gadanina Blacharza zaczynała mnie irytować. Byłem w domu, między przyjaciółmi, dlaczego miałbym uciekać?

– Ofiary ćwiartowali, potem bardzo długo gotowali. Bóg potrafił wskrzeszać swoich zmarłych wyznawców.

Jak przez mgłę dotarło do mnie, że zaczynam myśleć inaczej, dziwnie, jakbym nie był sobą. Tym razem to już nie zapach mnie nęcił. Przypuszczano atak na wszystkie moje zmysły jednocześnie.

– Uciekaj!

Miał rację, szkoda, że od razu go nie posłuchałem. Z największym trudem odsunąłem talerz.

– Myślę, Blacharzu, że nie dam rady – powiedziałem całkiem poważnie.

Wiedziałem, dokąd teraz pójdę. Wprawdzie bóg starych Otomanów i Fuzesabonów – czy kim tam byli ci już od dawna martwi ludzie – jeszcze nie zawładnął mną całkowicie, ale mogłem przeciwstawić się jego rozkazom tylko przez chwilę. Zdążyłem sprawdzić Margaret

i Zabójcę, ostatnio nieco dyskryminowanego Greysona przewiesiłem przez ramię.

– Blacharzu, muszę iść. Nie potrafię tego powstrzymać. Ten kawałek mięsa, który zjadłem, był ostatnim elementem jakiegoś kurewskiego czaru. Ale może uda mi się ich zaskoczyć – wycedziłem.

Nawet mówienie sprawiało mi trudności.

– Nie idź!

Zakłócenia znowu zaczęły rozmywać sens wypowiedzianych słów.

– Starzy bogowie zawłaszczają wszystko. Zabij się, zabij! Tak będzie dla ciebie najlepiej! Oszalał.

– Ty byś się zabił? – zapytałem i ostatni raz rozejrzałem się po pokoju.

Nie chciałem zostawić tu nic ważnego. Jeśli zrobię pierwszy krok, nie zdołam się już zatrzymać.

– Tak! – to było jego ostatnie słowo, potem połączenie znowu się urwało.

Nie podporządkować się tajemnej sile to jak stawiać opór pożądaniu, chęci wypicia drinka po kilku latach przymusowej abstynencji czy następnym kolejkom po pierwszym toaście. Zorientowałem się, że wychodzę z hotelu, nie odważyłem się jednak skorzystać ze schodów. To by było zbyt niebezpieczne.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – Micuma dogoniła mnie po kilku metrach marszu główną arterią Jabłonkowa.

Wiedziała, co się dzieje, Blacharz prawdopodobnie się z nią skontaktował.

– Chyba nie. Najlepiej gdzieś się zaszyj, a jeśli nie zdołam podziurawić tego starego zgreda jak sito, nie pokazuj mi się na oczy. Mógłbym zacząć ci wypominać wszystkie twoje dotychczasowe grzechy. A prastarzy bogowie są strasznie mściwi – skrzywiłem się. – Prawie tak jak ja.

Popatrzyła na mnie badawczo, ale nic nie powiedziała.

Pewnie wyczuła, jak bardzo się boję, że nie dam rady. Co właściwie miało się stać? Po co te rytualne tańce wokół mnie? Mógł – mogli mnie zabić w o wiele prostszy sposób. Po co to wszystko? Bałem się jak jeszcze nigdy przedtem. Jak w czasach, których już nie pamiętałem. Co planował stary bóg?

Zmierzałem w stronę starego katolickiego kościoła, do tabernakulum, którego nie odważą się zbzezcześcić nawet obłąkańcy. Bo nad tabernakulum ma pieczę największy obłąkaniec tego świata.

Jabłonków tonął w nienaturalnej ciszy, powietrze brzemienne surową wilgocią chłodziło twarz, chrzęst żwiru pod nogami brzmiał jak huk wystrzałów. Kroczyłem z Greysonem w jednej i Zabójcą w drugiej dłoni, palce w gotowości na spustach. Siła, w której centrum się znajdowałem, umykała tym starannie wypieszczonym mechanizmom, tak jakby się ich brzydziła. Staralem się czerpać z nich odwagę, ale niezbyt mi to wychodziło.

Kościół był coraz bliżej, niczym olbrzymie monstrum wznoszące się aż do gwiazdzistego

nieba. Nie zdziwiłem się zbyt, kiedy paszcza bestii – wielkie, okute żelazem drzwi – otworzyła się przede mną. Czekali. Wszedłem z zapartym tchem.

Tradycyjną świątynną łódź przebudowano na okrągły amfiteatr, ławki zastąpiono glinianymi siedziskami, na których cisnęli się ludzie. Pośrodku, w zaskakująco najniższym punkcie pomieszczenia, czekał potwór. Szedłem pomału, czując na sobie setki ludzkich spojrzeń. Przyczepiały się, ślizgały po mnie, wyciskały piętno własnych słabości i niepowodzeń. I marzeń. Nawet to było częścią czaru.

Mimo unoszącego się wokół zapachu zapalonych kadzideł i lamp z wonnymi olejami z każdym krokiem coraz wyraźniej czułem smród rozkładającego się mięsa. Płomienie migotały, zamieniały ludzkie twarze w maski dawno zapomnianych zmarłych. Bóg potwór już na mnie czekał. Ogromny gliniany bałwan podobny do nażartego jeża morskiego, na którego starannie wypalone kolce ponabijano nogi, ręce, kawałki tułowia i głowy ludzi – dorosłych, dzieci, mieszkańców tego miasteczka.

Niosła mnie siła, której opisanie leży poza moimi możliwościami. Kiedy gliniany potwór poruszył się i skierował na mnie czworo oczu, przestało bić moje serce. Na kilka sekund, ale przestało.

– Tu jesteś. Nieposłuszny śmiertelnik, który dostarczy mi nowego ciała.

Teraz dopiero to do mnie dotarło. Bóg Otomanów i Fuzesabonów chciał wrócić raz na zawsze, ugruntować swoją egzystencję w tej sferze. Potrzebował materialnego ciała, nie papkowatej gliny. Dziecko, które począł i którym miał się stać, ukradł demon, lecz dzięki zbiegowi okoliczności uzyskał doskonały ekwiwalent – mnie samego, wyczerpanego do granic nicości. A nicość mógł napęlić sobą samym.

Nie dałem rady uwolnić się od spojrzenia czworga jego potwornych, błyszczących oczu, które widziały na niewyobrażalną dla innych stworzeń odległość.

– Zabijcie go, moi wierni. Z jego krwi powstanie moja potęga!

Jakby odwołał zaklęcie.

Zabij – moje pierwsze przykazanie. Zabij tego, kto chce zabić ciebie.

Dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach rzuciło się na mnie z długimi nożami. Uniosłem Zabójcę. *Prask, prask* – strzały z bliskiej odległości rozerwały ich na kawałki.

– Zabijcie go, moi wierni, a zostaniecie nagrodzeni! – zawył stary bóg, resztki dziecięcych ciał zatrzęsły się na jego kolcach.

Runęła na mnie cała żywa ściana. Schowałem Zabójcę, po czym chwyciłem Margaret i uniosłem Greysona.

– Stójcie! – wrzasnąłem.

Jakbym krzyczał do tsunami. Czekałem do ostatniej chwili. Dopiero kiedy poczułem cyrkulację powietrza spowodowaną ruchami kling, pociągnąłem za oba spusty. Warkot Greysona i Margaret grzmiał w burzy sześcioczęściowych serii wystrzałów, powietrze wypełniły jęczące odłamki wybuchających granatów, lawina ludzi zmieniła się w lawinę

krwi. Ostatniego mężczyznę, a właściwie jego korpus, który zaczął kasać mnie w łydkę, posłałem kopniakiem daleko od siebie.

Następna fala pomału się unosiła. Przecież to niemożliwe! Nie mieli instynktu samozachowawczego, szli prosto na śmierć!

– Zabijcie go, wierni, a odrodzicie się do nowego, lepszego życia!

Głos wżerał się głęboko do mojego mózgu, musiałem walczyć, by nie palnąć sobie w łeb, nie posłuchać rozkazu.

Błyskawicznie naładowałem broń, kolejna fala już nadciągała. Nie spieszili się, poruszali się w transie wywołanym obecnością ich boga, ich pasterza. Następne strzały, następni zabici. Powietrze było przesączone zapachem prochu, krwi, rozszarpanych wnętrzności. Nikt nawet nie jęknął.

– Ty gnoju! – zakląłem, zanim kolejni napastnicy sforsowali umocnienia z ciał swoich poprzedników.

Zamieniłem Margaret na Zabójcę i posłałem staremu bogu trzy kule. Glina zareagowała na nie jak woda na wrzucony kamień. Teraz wydawał się większy, to już nie był bałwan z gliny, tylko z jakiegoś wyglądającego na żywe tworzywa. Nie miałem czasu na porównania. Napierali ze wszystkich stron. Oddałem nawet kilka strzałów w stronę siedzisk i w pustą przestrzeń, żeby zdążyć przeładować. Zerknąłem przelotnie na boga. Znowu się powiększył, krew martwych spływała do niego, odżywiła go, transformowała. Każdą śmiercią, każdym trupem przyczyniałem się do jego wielkości.

– Właśnie tak! – odpowiedział na moje myśli. – A twoja własna śmierć ukoronuje moje wskrzeszenie! Połączymy się, ja stanę się tobą!

Zawahałem się. Czy nie lepiej strzelić sobie w głowę? Ale na to już chyba było za późno.

– Tak, jest za późno! – zagrzmiął krwawy bóg.

Wiedziałem, że nie kłamie.

– R. C, trzymaj się! – od strony drzwi dobiegło mnie wołanie.

W porównaniu z głosem boga brzmiało niczym pisk rozdeptywanej myszy. Ale to była moja ostatnia szansa. W drzwiach stał Janota z Val. W dłoni trzymał jakąś monstrualną broń, która przypominała miotacz ognia.

Jęknąłem. Śmierć zgromadzonych w kościele ludzi tylko wszystko przyspieszy.

Zastrzeliłem kobietę, która rzuciła się na mnie z siekierą. Miotacz Janoty zasyczał przeciągle, Val rzuciła przed siebie granaty z gazem usypiającym. Blacharz sprawnie wywnioskował, do czego będzie zmierzał stary krwiopijca, i zawczasu odpowiednio ich poinstruował.

Wstrzymałem oddech. Z tym akurat nigdy nie miałem problemów. Co innego potem znów zacząć oddychać – z tym było gorzej.

Bóg już nie siedział na swoim miejscu. Niezgrabnie, niczym trzęsąca się kula, ruszył przez salę w stronę Janoty i Val. Zaszedłem mu drogę.

– Nie zdołasz mnie zabić – ostrzegł pogardliwie.

Margaret wystrzeliła ostatnim nabojem. Bóg zatrzymał się. Na najwyższym kolcu rozpoznałem twarz Gabrety. Konwulsyjny grymas wiernie odbijał cierpienie ostatnich chwil jej życia. Widziałem obie ręce dziewczynki, tułowia i nóg już nie. Może je ugotowali, może to ja je zjadłem.

– Jestem nieśmiertelny.

Znowu ta przenikliwa, wżerająca się w mózg siła niszcząca w zarodku każdą myśl o oporze.

Sięgnąłem za pasek i położyłem dłoń na Nożu. Bóg przeciwko bogowi, inaczej się nie da. Samo dotknięcie rękojeści, bez żadnego nawet zamysłu, sprawiało mi potworne cierpienie, w mojej przerzedzonej duszy zaczęła rosnąć dziura.

Stary bóg zatrzymał się. Czworo oczu patrzyło na mnie, kręciły się w nich spirale.

– Nie zrobisz tego, to cię zabije. Nie, nie zabije, wyjdiesz na tym jeszcze gorzej – przemówił nagle bez buty w głosie.

– Albo ty, albo on. – Wzruszyłem ramionami.

– Możemy się dogadać.

Słyszałem za plecami, jak Janota idzie przed siebie. Od czasu do czasu eksplodował granat gazowy, grzmiał karabin.

– Wiele już zyskałem, mogę sobie nawet pozwolić na nagrodę dla ciebie. Potem jednak każdy z nas pójdzie w swoją stronę – zaproponował.

Kawałki torsów i kończyny zatrzęsły się, jakby bóg czekał w wielkim napięciu. Jedna para oczu patrzyła mi w twarz, druga obserwowała Nóż. Spirale co chwilę zmieniały kierunek obrotu. Zaczynała boleć mnie od tego głowa.

Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo.

– Dobrze – zgodziłem się. – Wskrzesisz te ofiary – wskazałem jego przerażające trofea – a ja nie użyję tego, co mam w pochwie przy pasie.

Klepnąłem rękojeść Noża. Dziura powiększyła się, ale ktoś, kto ma tak przerzedzoną duszę jak ja, może to wytrzymać. A jeszcze lepiej, kiedy ma dwie.

Bogowie mogą wszystko. Dopiero teraz w to uwierzyłem. Obcięte kończyny szukały swoich korpusów, gnijące mięso pozbywało się śladów rozkładu, smród zanikał, wybielone kości owijały się w tkanki, głowy wrastały w ciała.

Jako pierwsza ze wszystkich ofiar stanęła przede mną Gabreta.

Spirale znowu kręciły się w jednym kierunku, stary bóg cały się powykrzywiał. Zrozumiałem, że się śmieje. Dałem się złapać na lep?

– Musisz dotrzymać słowa, które dałeś bogowi. To niemożliwe – usłyszałem w uchu cichy szept Blacharza.

Stary bękart patrzył, jakby wygrał. Haczyk być może krył się w słowie „nagrada”. Chyba rozumiał przez to coś innego niż ja.

– A dlaczego muszę? – zapytałem cicho, nie czekałem jednak na odpowiedź.

Z pewnością skończyłoby się to zagładą świata albo czymś w tym rodzaju.

– Dobra, dotrzymam go. Nie użyję Noża. – Wykrzywiłem twarz w stronę starego boga.

Uniosłem olbrzymi rewolwer skonstruowany do zabijania nie ludzi przez nie ludzi. W Zabójcy został już tylko jeden nabój – a jaki, o tym bóg Otomanów i Fuzesabonów przekonał się, dopiero gdy pociągnąłem za spust.

Ciężka ołowiana kula kalibru, który bardziej pasował do małego mózdzierza, trafiła w sam środek ciała. Ołów wypalił się, ale pierścionek, nie tracąc prędkości, parł dalej do jądra tego przejrzałego wrzodu i dopiero tam wybuchł. Nawet prastary krwiożerca nie poradził sobie z siłą miłości całych pokoleń matek i córek. Rozpadł się jak toksyczna narośl rakowa, zniknął w gejzerze krwi, gliny i mięsa.

Kiedy umierał, śmiałem się, śmiałem się na całe gardło. Bardzo mi się to podobało. Już dawno było po wszystkim, ale mój śmiech jeszcze długo niósł się pod krzyżowymi sklepieniami. Wiatr oczyścił powietrze w zniszczonym kościele, pierwsi omamieni ludzie zaczęli się wybudzać.

– Zabiłeś boga – wyszeptał Janota.

– Niech mi to dopiszą do rachunku.

W kieszeni znalazłem jeszcze jeden nabój do Zabójcy. Wyciągnąłem go na światło budzącego się właśnie dnia, obejrzałem i włożyłem do komory.

– Miałem po prostu szczęście – powiedziałem do zdeorientowanych ludzi. – I odpowiednią amunicję.

Zbierali się niepewnie i wychodzili, jakby dopiero co przebudzili się z nocnego koszmaru, ale jeszcze sobie tego nie uświadamiali.

Przewiesiłem Greysona przez ramię i odwróciłem się w stronę wyjścia.

Spod sterty zwłok wygramolił się ojciec Strazynski.

– Zabiłeś naszego boga! Przecież w tym świecie ludzie potrzebują obrońcy, potrzebują boga! Pasterza!

Przyjrzałem mu się. Człowiekowi, którego inni poważali, szanowali, respektowali. Nic nie zrozumiał.

– Znajdźcie sobie innego.

– Jakiego? – jęknął.

Popatrzyłem na Gabretę. Wyglądała cudownie, dziewczynka tuż przed okresem dojrzewania, która ma przed sobą całe ciężkie i piękne życie. Nieskończenie lepsze od posiekania na kawałki.

– Znajdźcie sobie takiego, któremu nie będziecie musieli składać w ofierze swoich dzieci – poradziłem mu, a potem przez chwilę zastanawiałem się nad swoimi słowami.

Właśnie w nich skrywała się jedna z niewielu absolutnych prawd, ale Strazynski nie mógł jej zrozumieć. To on był winny temu wszystkiemu, co się stało. Podniosłem Zabójcę. Nawet

nie starałem się mierzyć, nos Strazynskiego znalazł się na wprost wylotu lufy. Spust poruszył się, zanim nawet zdążyłem go dotknąć. Wystrzał zagrział, zanim kurek uderzył w iglicę. Pocisk nakreślił na tynku abstrakcyjny fresk z krwi, kości i mózgu. Nic szczególnego ani wartego zachowania – po dzisiejszej nocy całe wnętrze trzeba będzie od nowa otynkować i pomalować.

Potem już nikt mnie o nic nie pytał, nikt mnie nie zatrzymywał.

* * *

Jeszcze tego samego dnia w południe odjechaliśmy. Miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego, ale nie był to trupi spokój cmentarza, raczej zmęczenie pijaka po zbyt długiej libacji.

Przed tablicą z napisem „Jabłonków” w przydrożnej kapliczce, która została po jakimś starym świętym, ktoś szybko wyrzeźbił postać nowego obrońcy miejscowych. Obrzydliwy pozszywaniec z implantowanym mechanicznym okiem. Przez ramię miał przerzucony automatyczny miotacz granatów, w dłoni trzymał niebezpiecznie wyglądający rewolwer.

Micama zatrzymała się i długo, w zamyśleniu przyglądała się dziełu nieznanego artysty.

– Masz może jakieś zabawne uwagi?

– Nie – odpowiedziała. – Myślę, że dobrze wybrali.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Koniec tomu pierwszego